



1846-1930
FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

DZIEJE RODZINY ŻYWOTOWSKICH

Z TRADYCJI I WSPOMNIEŃ OPOWIEDZIANE

I.

MARZENIA

(ROK 1846).



WARSZAWA — 1921.

„KSIĘGARNIA POLSKA” TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ.

Zakłady Graficzno Wydawnicze „Książka”
Warszawa, ul. Moniuszki № 11. Tel. 190-93.

I. KTO ZACZ I KTO GO RODZI?

Żywotowski? Żywotowski? Cóż to za nazwisko? Paprocki, który nie tylko poematy całe dopisywał do herbów różnych panów braci, ale zapisywał nazwiska „swego wieku”, godne zachowania w pamięci, o Żywotowskich — ani mru-mru. A jednak był to stary i dobry ród szlachecki, który w każdym pokoleniu składał ojczyźnie ofiarę krwi i zdrowia, służąc jej szablą. Historji tego rodu nigdy nie pisano, ale żyła wśród jego członków jako podanie, które z pokolenia w pokolenie przechodziło i z ostatnim Żywotowskim umarło.

Atanazy Żywotowski, szlachcic zagrodowy, siedzący wśród borów i piasków Mazowsza, zetknął się w gospodzie przy cienkim miodku z puszkarzem z Czerkas. Nie miał pojęcia, kędy są one Czerkasy — hen za światem, gdzie ludzi prawie niema, ale kraj straszecznie bogaty: zwierza wszelkiego taka mnogość, że suhaka z łuku byle kto ustrzeli, na wodach i oparzeliskach gęsi, kaczek, łabędzi huk, pszczoły nie w ulach, ale w ziemi miód składają. Jenó srodze dziki lud tam mieszka: Tatarami ich zowią — straszliwi rabusie, złodzieje i zbójcy. A Rusaki między nimi też się plączą, zmyślne bestje, ale, jak Tatarowie, dzicy i włóczą się po stepie dla rabunku.

O Tatarach cośnecoś imć pan Atanazy słyszał, zato o Rusakach — nic nie wiedział. Ale okropny w nim obudził się animusz rycerski, ażeby się z onymi dzikusami

zmierzyć, a obfitość chleba też go nęciła, osobliwie gdy puszkarz począł mu prawić, jako to tam w stepach tłustego barana za grosz kupić można. Bardzo mu się wydawały smakowite barany, jako że w domu i czarny chleb bywał marcypanem.

Puszkarz był na urlopie, ale wybierał się do Krakowa, a stąd aż do Baru na służbę puszkarską, kędy jest mocna twierdza kresowa, zbudowana przez królową Bonę, żonę szczęśliwie panującego króla Zygmunta. Na obronę tej twierdzy i granic państwa wysyłała królowa służy swego, Ślązaka Pretfica, a on siedział w Krakowie i ochotników werbował.

Przypasał pan Atanazy szablę na konopnych rapciach i w pochwie z lipowego drzewa schowaną, zawiesił łuk przez plecy, do rzemiennego pasa przytroczył torebkę z kęsem chleba i słoniny i ruszył do Krakowa. Wielce mu się Kraków podobał — wielkie miasto — ach, ach, ach! Mury — jako żywo nigdy takich nie widział. Gdy ujrzał pierścień Florjański a bramę, to aż głowę otworzył ze zdziwienia — co za potęga! Ludzi jak mrówek na rynku, a Sukiennice! Co tu bogactwa — hej, hej, mocny Boże! Chodził jak zając w ogrodzie, raz wraz rzucając wzrokiem na stronę, aby go kto nie najechał lub nie potrafił.

Ten i ów, widząc szlachetkę ze wsi, pytał:

— A skąd waść?

— Z Garwolina.

A ów ktoś spojrzał na jego rapcie konopne, na łuk własnej roboty, na szablę w drewnianej pochwie, odchodził, mruknąwszy:

— Widać, żeś waść z Garwolina.

Nie mógł pan Atanazy zmiarkować, po czym ludzie poznają, że on z pod Garwolina. Mądre chłopcy te Krakowianie!

Tak był zachwycony Krakowem, że chodził dzień cały jak otumaniony. Pytał tego i owego o Pretfica, ale nikt mu nic powiedzieć nie mógł. Przenocował w zajeździe

na Groblach, nowe łapcie nawiązał i znowu na miasto ruszył. Tuż przed bramą zajazdu natknął się na jakiegoś żołnierza i o Pretfica zapytał; ale żołnierz, zamiast odpowiedzi, zapytał, mierząc go od stóp do głowy:

— A skąd waść?

— Z Garwolina.

Żołnierz spoglądał na jego ubranie dziwne, na łapcie, na łuk jakiś dziwny i znowu zapytał:

— A czegoż waść chcesz od tego Pretfica?

— Ano... powiadają, że on ochotnika werbuje...

Żołnierz głową skinął.

— Aha! Także i gadaj! Werbunek odbywa się w gospodzie pod zamkiem, tam pewnie i tego Pretfica znajdziesz.

— A kędyż to ten zamek?

Żołnierz ujął go za ramię i odwrócił nieco.

— Widzisz ten krzyż? — Rękę w kierunku kościoła na zamku wyciągnął.

— Widzę.

— Idź tedy prościuteńko... tam zamek... Ludzi zapytasz, gdzie się odbywa werbunek, to ci pokażą.

Poszedł pan Atanazy uradowany. Nie dochodząc do zamku przed jakimś domem tłoczył się tłum. Spojrzał na znak — gospoda, a nad wrotami wielka wiecha wetknięta.

Znowu o Pretfica zapytał.

— Niema go jeszcze... — ktoś rzucił. Ale spojrzawszy przed siebie, dodał:

— Oto tam idzie... — ręką skinął.

Niebardzo się pan Atanazy domyślał i dopytywał, kto idzie, ale chcąc się nareszcie czegoś pewnego dowiedzieć, i onemu ktosiowi drogę zastąpił.

— Nie mógłbyś też mi waszmość powiedzieć, gdzie ja mogę widzieć jego miłość Pretfica?

— Otom jest — odpowiedział zagadnięty. — Czegoż sobie wasze życzysz?

Zatrzymali się obaj na placu.

— Słyszałem, że wasza miłość ochotników do woj-
ska zapisujesz.

— Zapisuję.

— Chciałbym się zaciągnąć...

Pretfic badawczym wzrokiem ogarnął Atanazego.

— Sługiwałeś już?

— Nie.

— A ochotę masz wielką?

— Mam.

Pretfic węża pociągnął.

— To daleko, panie bracie. Wiesz, gdzie?

— Wiem, między Tatarami.

— Ale czy wiesz, że kto tam idzie, ten głowę swoją
niesie?

— Proszę waszej miłości, tatarskie szyje także nie
z żelaza, a szablę mam dobrze wyostrzoną.

Pretfic uśmiechnął się, rzuciwszy okiem na szablę
Atanazego, wiszącą na konopnych rapciach.

— Chodźże waść za mną — rzekł z akcentem zado-
wolenia.

I oto w ten sposób praszczur Żywotowskich Atana-
zy powędrował na dalekie kresy ukraińskie i znalazł się
w Barze. Był to chłop roztropny, odważny, wytrwały, ma-
ło wymagający i rychło zrozumiał, że nie jest kołkiem
w płocie, ale żołnierzem, który broni bezpieczeństwa,
spokoju, mienia i życia tych wszystkich, którzy daleko
w głębi kraju mieszkają. Ażeby oni mogli pożytecznie
pracować, trzeba, ażeby ktoś za nich stawał, aby wgląd
państwa wróg się nie dostał. Tak, rycerska służba — to
wielka rzecz!

Wkrótce pan Atanazy stał się prawą ręką Pretfica,
a ludzie słusznie mawiali: „Od czasów Pretfica wolna od
Tatar granica“. Gdzie też Żywotowski nie bywał! Od Baru
aż po pola Oczakowskie, pod mury Oczakowa, po Biało-
bereże nad Dnieprem chadzał.

Ożenił się z taką samą szlachcianką zagrodową, jak sam, z pobliskich Barowi Wołkowiniec, wybudował dworek dla siebie w Barze i osiedził się na kresach. Miał syna jedynaka, jak sam był jedynakiem, a gdy ośmnastu lat dorósł, do wojska go oddał. I tak szło z pokolenia w pokolenie. Zawsze Żywotowskim jedynak się rodził i zawsze rycersko służywał. Ale nierychło dosłużyli się fortuny do swego nazwiska. Po ojcu pisano ich Żywotowskimi z Garwolina. Śladem tedy ojca chadzał syn, Tatarów pęszął, z Wołochami szarpał się, pod Pskowem biwakował, ale doczekał się nagrody na starość. Gdy Zygmunt III ozdawał „pustynie” na Ukrainie, hetman koronny i dla Żywotowskiego żądał nagrody za długoletnią służbę rycerską. Wtedy to otrzymał on „pustynię obapół Rośki”, od źródeł aż do wpadnięcia do Rosi. Dobry kawał ziemi, mało nie mila kwadratowa wokół. Stary Atanazy już dawno spoczywał na cmentarzyku obok twierdzy w Barze, a syn jego, także już starzec, osiadł nad Roską, prawie w pół drogi między jej źródłowiskiem a Rosią. W olbrzymim lesie lipowym i dębowym nad brzegiem rzeki, las przecinającej, wyrąbał obszerną polanę i dworek zbudował. Znalazł kilku osadników i opodal dworku osadził, a nową osadę swoją nazwał Żywotowem.

Wnuk Atanazego, także Atanazy, osiadł w dworku i osadę ojcowską rozszerzał. Znać krew w ich rodzie była rycerska, bo i ten w domu się nie osiedził. Ciągłe na kresach tłukł się, jak nie z Tatarami, to z kozakami. Był z hetmanem Koniecpolskim, już jako towarzysz pancerny, o dwukoń służąc, w Kijowie, gdy się hetman na zbuntowane kozactwo wybierał, którym nagle szlachecka wolność zapachniała. Wyćwiczwszy się w rycerskiem rzemiośle, mniemali oni, że szlacheckość polega na machaniu szablą, na rabunkach czabanów tatarskich, na włóczeniu się wołoskim szlakiem z gospodarczykami, ale nie na szlacheckiem życiu. Poczęli się tedy skupiać pod Borowicą. Na poskromienie ich wybierał się Koniecpolski. Słuchał mszy

świętej u Dominikanów w Kijowie, a w czasie czytania ewangelji miecz swój na ołtarzu położył, na znak, że Ojczyzny i Kościoła bronić będzie zawsze. Był tam i Żywotowski, podziwiał wszystkie piękności i starożytności miasta. Stamtąd ruszyły chorągwie przez Wasylów stepem ku owej Borowicy. Hetman rozbił pod Kumejkami watahę kozacką i harde głowy chamskie pochylił przed szablą.

Dziwne są czasem zdarzenia na świecie. Poumierali różni wodzowie kozaccy — Ostrzaniny, Skidany, Pawłuki, umarł i najzuchwalszy z nich Chmielnicki, ale nie ugasił się ogień kozacki. Jak się step pali, to niewidzialny płomyczek idzie spodem i pożar dalej niesie; tak szerzyły się bunty kozackie. Urwany w jednym miejscu łeb odrastał w drugim. Jak człowiek znałoguje się do dobrych czynów, tak samo i do złych, a gdy się w nich ukrzepi, najgorsze zbójnictwo bierze za bohaterstwo i zasługę.

Wichrzyli po Chmielnickim Wyhowski, Juryszko, a najjadowitszy z nich Doroszenko. Jeden z Żywotowskich, Łukasz, był pod Braclawiem z Sobieskim, gdy chorągwie polskie fortecę opanowali. Złapali tam paru drabów, którzy z wiechami zapalonemi biegali, pragnąc podpalić miasto, aby tumult wywołać i miasto zrabować. Jednego związanego przyprowadzili do Żywotowskiego. Szarpali go z boku mieszczanie i żydzi, pokrzykując głośno:

— Powiesić gałgan! Powiesić!

A Żywotowski w owym czasie był porucznikiem chorągwi husarskiej. Drab stanął przed nim z nachmurzoną, ponurą miną. Czupryna zwichrzona i krwią zapiekłą zlepioną, smugi zaschłej czarnej krwi od czoła aż do brody spadały. Odzież na nim w strzępach. A tłum otaczający go ryczy: |

— Powiesić gałgan! Powiesić!

Szedł powoli, brwi nasępiwszy, tylko przez smugi czarnej krwi widać było zbielełe policzki. Nic dziwnego — szedł na śmierć.

— Ty chciałeś podpalić miasto? — spytał Żywotowski.

Spojrzał nań groźnie.

— Nic ci sumienie nie powiedziało, że niszczyć chcesz
mienie tysięcy bezbronných ludzi?

A naokoło krzyczano:

— Powiesić go! Powiesić!

Kozak stał ponuro w ziemię zapatrzony.

— Jak się nazywasz?

— Żywotowski.

Pan Łukasz drgnął.

— Jak? — powtórzył. Zdawało mu się, że nie do-
słyszał.

— Żywotowski.

— Skąd?

— Z Żywotowa.

— Ach, ty duszo pieska! — krzyknął w uniesieniu.
I już podniósł obuszek, aby go przez łeb palnąć, ale się
pohamował. — Jak ty śmiesz nosić uczciwe szlacheckie na-
zwisko?

Kozak się usprawiedliwiał:

— Tak mnie w rejestrze kozackim zapisali.

— Ja na twojej szyi wypiszę nazwisko... Uciekłeś,
huncwocie, z domu, aby hajdamaczyć, niewinnych ludzi
niszczyć. Na to cię matka chowała?

Kozak podniósł oczy na pana Łukasza, jakieś błysz-
czące, dziwne, pokorne. Patrzyli chwilę na siebie
i milczeli.

Wreszcie kozak westchnął i rzekł niby sam do siebie:

— Ej, neńko moja, neńko!... Żał wahy ne maje...
Szkoda zmarnowanego życia...

Łzy potoczyły się po bladej, znekanej twarzy, odwil-
żały krew zapiekłą i, nowe rysy żłobiąc, na ziemię spadały.

Zamilkł i imię pan Łukasz. Zmiękczyło mu się serce.

— Odprowadzić go do więzienia! — rzekł.

Pożałował chłopca. Chciał go oddać Hanence do re-
gimentu. Ale mieszczanie ruscy, zwolennicy kozackiej
swawoli, podkopali się w nocy pod więzienie i pozwolili

umknąć Żywotowskiemu. Dosłużył się potem pono pułkownikostwa kozackiego.

Ostatnią rycerską usługę ojczyźnie oddali Żywotowscy pod Wiedniem. Była też to ostatnia wyprawa orężna imć pana Łukasza. Przyszły stare lata, osiadł w rodzinnym Żywotowie i pod kościołem, który sam wystawił, położył się na wieczny spoczynek.

Potem już długo nie było pola do rycerskiej służby w Polsce. Sasi zrujnowali politycznie, rozpijaczyli i rozpróżniaczyli całą Polskę. Bili się nie o ojczyznę, lecz o korony dla siebie — i zmarnowali Polskę. Przyszędł wkońcu Ciołek, strojny w koronki i w jedwabie. Ten przez czterdzieści lat tylko bawił się i kochał, a biedną ojczyznę szarpali Prusacy, Moskale, Austriacy — kto chciał.

W czasie konfederacji Barskiej zginął na okopach Baru wnuk Łukasza, a gdy przyszła potrzeba Maciejowicka, ręka starego Żywotowskiego już była nie do szabli.

Dopiero syn jego, już w dojrzałym wieku, wyostrzył turecką szablę, zdobytą przez dziada pod Wiedniem, i z nią wyruszył razem z Wacławem Kzewuskim pod Daszów. Szlachcic animusz rycerski miał, ale nie znał już komendy nowożytnej. Znał tylko: „naprzód! bij!“. Gdy tedy Orlikowski krzyknął: „w prawo — w tył!“ — to cała gromada szlachecka ruszyła się — w tył, a za nią i Żywotowski. Myślano, że trzeba się w tył cofnąć, aby bić Moskali, cofnęli się więc, a sołdaty wpadły im na karki.

Dostał w łeb szaszką i Żywotowski, ale nocą przyjechał do Lipowca — a konia miał dzielnego. Tam z rany wylizał się i do rodzinnego Żywotowa wrócił. Udało mu się: w polu go nie ujęto, służba domowa tyle wiedziała, że pana przez kilka dni nie było w domu. Nikt się temu nie dziwił, bo to się zdarzało często.

Nie obeszło się bez podejrzeń, ale tysiąc rubli, wsunięte do rąk sprawnika, a dwieście do kieszeni stanowego — zatarły podejrzenia. Z bronią go nie ujęto, dowodów nie było żadnych — i Żywotów był uratowany.

II. GOŚĆ NIEOCZEKIWANY.

Wyplątawszy się z pazurów moskiewskich, imć pań Łukasz zburzył stary ojcowski dom i zbudował nowy, obszerny. Tuż w ogrodzie, nad Roską, zwisały się ogromne skały granitowe. Pan Łukasz prochem je rozsadził i na rozłożystych, głębokich fundamentach dom zbudował. Dał wysokie podmurowanie od ziemi, a na nich wznosił ściany z dębowych bierwion, które w lesie jego wyrosły. Trzy lata schły dęby, zanim je do budowy wzięto. Nie był to żaden pałac, jeno zwykły, wygodny, obszerny dom zamożnego szlachcica. Chociaż pan Łukasz miał kilkanaście tysięcy morgów ziemi, nie bawił się w pana. Żył skromnie, dostatnio, a za zbywające pieniądze zbudował trzy folwarki, które grupowały się koło starej osady, założonej jeszcze przez ojca. Nazwano ją Nowy Żywotów, ale okoliczni mieszkańcy nazywali Żywotówką. Tworzyła ona zupełnie odrębny klucz, który od kilku lat pan Łukasz wydzierżawiał. Tyburcy Starykoń Żmijewski był kolegą szkolnym p. Łukasza z Krzemieńca; odziedziczywszy mały kapitałik po ojcu, przyjechał na Ukrainę szukać chleba; p. Łukasz wydzierżawił mu Żywotówkę z dwoma stepowymi folwarkami, a sam został przy Żywotowie, gdzie mu syn Marek, już żonaty, z żoną i dziećmi mieszkając z rodzicami, w gospodarstwie dopomagał. Rządził majątkiem daleki krewny Żywotowskich, Makary Dromirecki, wowiec bezdzietny, ale dopiero czterdziestki dobiegający, uczony agronom.

Nowy dom w starym, obszernym parku między lipami i dębami siedział szeroko i wygodnie, otoczony olbrzymimi werandami, a szesnaście białych kolumn ganku z wysokiego podmurowania domu przez szeroką, lipami sadzoną aleję patrzyło wprost na jasno-srebrzystą taflę Rośki, która w staw olbrzymi rozlewała się o kilkaset kroków od domu.

Przed gankiem, niby kobierzec zielony, był ogromny, okrągły gazon, okolony drogą dojazdową. Na prawo, w oddaleniu, podszytem krzakami bzów, leszczyny i wreszcie wieńcem lip, które tworzyły trzy kondygnacje zieleni, stał zakryty zupełnie od oczu folwark, łączący się z dworem tylko furtką. Na lewo, prawie ku końcowi obszernego dziedzińca, były oficyny, kancelarja zarządu, mieszkanie rządcy i kilka gościnnych pokoi dla gości urzędowych niższych stopni, którzy do dworu nie mieli dostępu.

W oficynach miał także mieszkanie pan Makary i tu w swojej osobistej kancelarji odbywał konferencje z różnemi osobami w interesach majątkowych.

Już się miało pod wieczór, gdy do tej kancelarji wszedł podróżny, młody i przystojny blondyn, który mało co trzydziestkę przekroczył. Ubrany był w kapotę szaraczkową, nankinową, także spodnie, w długie buty z cholewami wsunięte. Młoda, ładna, regularna twarz, okolona jasnym zarostem, była w górnej części prawie szerniała od słońca. Gdy, wszedłszy do kancelarji, zdjął kaszkiet, zdało się, że czoło jego było podzielone, niby ktoś nożem naznaczył, na dwie części — górną białą i dolną ciemną, jak reszta twarzy. Tylko jasne błękitne oczy rozumnie i żywo błyszcząły w ciemnem obramieniu.

Kancelarja była pełna różnych interesantów: ekonom, pisarz prowentowy, ogrodnik, wójt, nieodstępny sługa dworu i komisant do wszelkich interesów, żyd Awram, dzierżawca młyna, stary z siwą brodą, jeden z najdawniejszych mieszkańców Żywotowa, a przy progu stało pokornie kilku chłopów. Stali jak posągi nieruchome, utkwivszy spojrzenie w pana Makarego, jakby wzrokiem pragnęli zwrócić na siebie jego uwagę.

Na rypnięcie drzwi nikt nawet uwagi nie zwrócił. A podróżny odezwał się głośno:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Wszyscy mimowoli odwrócili głowy do progu, skąd głos się odezwał. Nastąpiła chwila ciszy.

Pan Makary odezwał się:

— A chodź waść bliżej!

Na to wezwanie tłum się rozstąpił, podróżny wysunął się naprzód i stanął przed Dromireckim. Twarz p. Makarego drgnęła nieznacznie, wąsa machinalnie pogładził, brwi ściągnął i spojrzenie, niby badawcze, niby zdziwione, trzymał chwilę na twarzy nieznajomego. Zrobił ruch, jakby się pragnął do niego zbliżyć, ale ostre spojrzenie podróżnego zatrzymało go.

— Czego waść sobie życzysz? — zapytał.

— Proszę wielmożnego pana — odezwał się podróżny z akcentem pewnej pokory — jestem organista bez kondycji... szukam miejsca... Nazywam się Fritz Holzschneider.

Rozmowa przybrała ton urzędowy.

— Skąd jesteś?

Fritz, zamiast odpowiedzi na pytanie, rzekł:

— Mam paszport, proszę wielmożnego pana...

Sięgnął do torebki skórzanej, przewieszanej przez ramię, i papier jakiś dobywszy, panu Makaremu podsunął.

Dromirecki głośno nazwisko przeczytał.

— Niemiecki paszport... — zauważył.

— Bom z niemieckiego kraju.

— Polak jesteś?

— Polak... ino mię Niemcy w szkole po swojemu zapisali. Ojciec mój nazywał się Drzewiecki i przy pile wodnej pracował, ale że to polskie nazwisko przez gardło niemieckie nie przejdzie, zapisali mnie do rejestru po swojemu.

Mówiąc to, trzymał jakiś papier w ręku,

— Umiesz grać i śpiewać dobrze?

— Umiem... Mam świadectwo z kapituły...

Nie powiedział, jakiej, ale papier trzymany w ręku wyciągnął ku Dromireckiemu.

Był to list polecający Holzschnedra jako uczonego organistę, który zbiera melodie pieśni kościelnych i chciałby znaleźć dla siebie na Ukrainie kawałek chleba.

Dromirecki, przeczytawszy, z poważną miną, półgłosem spokojnie odezwał się, niby sam do siebie:

— Świadectwo masz piękne... ale czy umiesz grać i śpiewać, o tem przekonamy się na Zielone Świąta.

Po chwilce namysłu dodał:

— Zostaniesz u nas czas jakiś... Właśnie nasz organista zachorował... zastąpisz go...

Do wójta się zwrócił:

— A co do paszportu... musimy go w policji zaświadczyć... — Oddał paszport wójtowi.

— Jutro masz być u stanowego w Tetyjowie... zostawisz go... U nas, panie bracie — dodał z uśmiechem — bez paszportu włączyć się nie można, bobyś się wnet w turmie znalazł.

Powiedziawszy to, głowę podniósł, szyję wyciągnął w kierunku drzwi i nad głowami wszystkich rzucił:

— A zawołajcie mi tam Hryhorka!

Organista stał z pokorną miną. Wszedł Hryhorko, koczaczek lat 17—18, ubrany w niby zupan z szarego sukna, rzemiennym pasem podpasany, w spodnie takiegoż koloru z szerokimi czerwonymi lampasami, do butów z cholewami. Miał młode, zwinne, zgrabne ruchy, oko żywe, ciekawe.

Stanął przed Dromireckim, czekając na rozkaz.

— Zaprowadzisz organistę do gościnnego pokoju... a potem pójdziesz do jaśnie pana i zameldujesz, że na kolację nie przyjdę, bo mam dużo zajęcia...

Hryhorko obrócił się na pięcie. A pan Makary odezwał się do organisty:

— Idźże waść za nim... tam się obmyjesz z kurzu, a potem pomyślimy o tem, aby cię nakarmić, boś pewnie głodny...

Organista uśmiechnął się.

— W podróży, proszę wielmożnego pana, częściej człowiek biedny bywa głodny, niż syty.

Dromirecki, wysłuchawsy, zakończył:

— No, ruszajże, bracie!

Gdy organista był już za drzwiami, rzekł do zebranych:

— Dobranoc panom... o reszcie pogadamy jutro.

Kilkanaście głów milcząco pochyliło się w stronę pana Makarego, a po chwili kancelarja była już pusta.

Za kancelarją było mieszkanie Dromireckiego, złożone z dwóch pokoiów: większego sypialnego i niewielkiego jadalnego, który służył jedynie wtenczas, gdy pan Makary nie chciał zetknąć gościa z dworem.

Gdy się kancelarja opróżniła, Makary otworzył wszystkie okna, świecznik z trzema woskowemi świecami wniósł do owego sypialnego pokoju, który bezpośrednio przez drzwi komunikował się z kancelarją, i w zamyśleniu przechadzać się począł. Był jakiś niespokojny, coś pomrukiwał, niby myślał głośno, bo półgłosem wyrwały mu się niby wyrazy jakieś, aiby wykrzykniki; w eszcie na werandę wyszedł, w głębokim fotelu usiadł i fajkę na długim cybuchu zapaliwszy, siedział zadumany. Dotykał powoli ustami bursztynu w cybuchu, wciągał dym, wypuszczał go kółkami przed siebie i milczał.

Wieczór zapadał coraz głębszy. Makary od czasu do czasu podnosił zamyśloną głowę, rzucał wzrokiem przed siebie, nasłuchiwał i znowu w milczącej zamykał się zadumie. Na ciemnem tle odbijało się jasno-srebrzyste zwierciadło wody, w której miljarde gwiazd odbijały się i zdawało się, że drgały jak żywe, rozsiane na wodzie. W dalekich oczeretach słychać było kwakanie dzikich kaczek, które zapadały na nocleg; derkacze grały swoją pieśń wieczorną. Z lasu dolatywał czasem huk sowy lub jakiś pisk spłoszonego ptaka, żalosny, jękliwy, niby płacz dziecka. Zdaleka, z krańców miasieczka słychać było szczekanie psa czujne, strażnicze, a z innej strony przez

ciche powietrze wieczorne odzywał się drugi, trzeci głos — urywał się, ginał w powietrzu.

Nad tą ciszą wiejską wisiała głęboka kopuła ciemno-lazurowego nieba, przecięta szeroką drogą mleczną, utkanną małemi brylancikami gwiazd, a dalej po bokach drogi paliły się wielkie djamenty różnych konstelacyj. Żaden głos ludzki nie przerywał tej wielkiej ciszy i spokoju. Tylko szum wody na młyńskich łotokach świadczył, że woda płynie...

Fajka powoli zgasła. Dromirecki oparł cybuch o poręcz fotelu i milczał.

— Czyż nigdy temu końca nie będzie? — wyrwało mu się z ust.

Posłyszał szmer w pokoju. Na progu werandy stanął Hryhorko.

— Czy podawać do stołu?

— Dobrze.

Ciemność nocy pokryła figlarny uśmiech kozaczka. Akcent głosu, niby trochę drwiący, niby tajemniczy, nie podobał się p. Makaremu, odrzekł mu przeto trochę ostro:

— Poprosisz do jadalnego pokoju.

Powiedziawszy to, siedział spokojnie, ale pomyślał:

— Zanadto sprytna bestja... trzeba go będzie oddać do koni...

Odnosiło się to oczywiście do Hryhorka.

Po długiej chwili zjawił się znowu kozaczek i krótko oznajmił:

— Do stołu podano.

Dromirecki podniósł się z pewnem niezadowoleniem i powolnym krokiem do jadalnego pokoju ruszył.

Przy nakrytym stole stał z pokorną miną organista i ujrawszy na progu Makarego, pochyleniem głowy go powitał.

— Siadajże waść! Zanim będziesz śpiewać, trzeba, abyś jadł.

Zajął miejsce na czole stołu, a ręką wskazał drugie obok siebie. Dwa tylko były nakrycia. Na stole masło, ser, chleb, karafeczka z wódką przepalanką własnego wyrobu, a dalej taca z przyborami do herbaty.

Hryhorko wniósł półmisek kopiasty klusek z serem i przed Makarym z tyłu stanął.

Gospodarz do gościa się zwrócił:

— W podróży kieliszek wódeczki nie zawadzi — prawda?

Organista głową zaprzeczył i rzekł:

— Dziękuję, nie piję.

Pan Makary z uśmiechem zauważył:

— Jakto — organista i nie pija?

— Organista musi nie tylko grać, ale i śpiewać, a wódeczka nagardło szkodzi.

— Mądrze mówisz.

Na Hryhorka skinął:

— Podaj panu półmisek.

Organista jadł z wielkim apetytem i dużo. Rozmowa była obojętna, przerywana i jakoś nie kleiła się. Makary był widocznie w złym humorze i nierozmowny. Mówiono o kościele, o organach, gdzie są największe i znakomite. Ale widocznie obu śpieszno było już wieczrę zakończyć. Po kluskach przyszły zrazy z kaszą. Ledwie pan Makary ostatni kęs połknął, odezwał się:

— Teraz możemy podziękować Panu Bogu za dary...

A do Hryhorka:

— Herbatę podasz na maleńkim stoliku w sypialni.

Organista głową skinął i wskazując drzwi, rzekł krótko:

— Proszę.

Usiedli na fotelach. Zapalili fajki i przerzucali się obojętnymi słówkami, dopóki Hryhorko herbaty nie podał i stołu nie uprzątnął.

Dromirecki, usłyszawszy kłopotanie drzwi, jako znak, że Hryhorko już wyszedł, porwał się nagle z fotelu i zawołał:

— Cóż to znowu za mistyfikacja?

Organista uśmiechnął się, brodę swoją jasną, złościstą i piękną pogładził i odrzekł:

— Widzisz, jakie wspaniałe wąsy i broda wyrosły mi w ciągu roku?

— Ależ poznać cię mogą!

— Kto? Nigdy! Przed rokiem byłem tutaj jako ogolony Francuz, kornijowajzer-antykwarz, skupujący starożytności, a teraz — organista.

— Bardzo się mylisz. Ani broda, ani wąsy nie odmieniają człowieka do niepoznania. Gdyś tylko wszedł i odezwał się: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — już cię poznałem.

— To ty tylko.

— Ręcę ci, że i Hryhorko poznał. Złapałem jego filuterne spojrzenia, spoczywające na tobie.

Organista zamyślił się i westchnął.

— To trudno, bracie — odrzekł w zamyśleniu — słubowałem swoje życie... a reszta od Pana Boga zależy...

— Wierz... rezygnacja dobra przed śmiercią, kiedy już wyjścia niema, ale w naszych warunkach potrzebna wielka ostrożność. Widzisz, co się dzieje... Wilno zamknęli, Krzemieniec zamknęli, Międzyrzec zamknęli, Winnicę zamknęli, Humań zamknęli... Całą psiarnię nowych ludzi sprowadzili sobie z głębi Rosji, aby nas lepiej pilnować... Zaliwski zginął, Potocki zginął... Szkół już [nie mamy żadnych...

Organista zamyślił się i rzekł:

— To też musimy walczyć, jakby Polskę wydobyć z pazurów moskiewskich. Jak nic nie będziemy robić, to się nic nie robi.

Dromirecki milcząco podsunął gościowi filiżankę herbaty.

— Robiliśmy... — zauważył.

— I przegraliśmy zawsze... a dlaczego? Przepolitykowaliśmy Polskę. Ciągłe dyplomacja! ciągłe dyplomacja!

Chce się nam Polski — mówił z ironicznym akcentem — z królem, z dworem, z całą gromadą dyplomatów... Polski wygadać nie można, trzeba ją wywalczyć. Książę Adam w Paryżu ciągle bałamuci, że Anglja i Francja zbawia Polskę...

Po chwilce dodał:

— Gadać o Polsce będą, ale bić się o nią — o, to co innego. Ręczę ci, że żaden Anglik ani Francuz palcem o Polskę nie ruszy.

Pan Makary głową pokiwał.

— Oj, marzycielu, marzycielu! Kiedyśmy nie odzyskali tej Polski sami, mając Kościuszkę i wojsko własne, kiedy Napoleon nie zdołał jej wywalczyć, kiedyśmy mieli Dąbrowskich i Kniaziewiczów, kiedyśmy w roku 1831 nic nie zrobili, mając dzielne wojsko, a na czele Prądyńskich, Chłopickich, Dwernickich; to cóż zrobimy teraz bez wojska, bez wodzów, skrupowani, rozbici?... Poczekaj! Minie jeszcze jedno pokolenie, a będziemy w dodatku do tego wszystkiego głupszy i o wiele gorsi, bo i szkoły nam odebrali, a dzieci nasze w szkołach moskiewskich i ducha moskiewskiego nadychają się.

— Wszystko to prawda... ale widzisz — naród to wielka siła, wielkie słowo. O przyszłość Polski walczyła tylko cząstka tej siły — szlachta.

Makary przerwał mu żywo:

— A ty chcesz, aby kto walczył? Hryhorki i Wojtki? Zaśmiał się złośliwie.

— Właśnie tego chce nasze Towarzystwo: Polskę odbudować i wywalczyć musi — lud.

— Długo będziesz, panie bracie, czekać, zanim z tego ludu wyrobisz obywateli... Dla chłopca ojczyzną jest jego wieś. Wszystko, co jest poza nią — jest jego wrogiem. Moskale boi się — więc słucha; od szlachcica zależny jest — więc słucha... Ojczyzna jest dla ciebie i dla mnie, ale nie niego. Alboż nie wiesz, że na to, aby kilkuset chłopów pociągnąć do powstania, trzeba było im pierwej po kil-

kanaście morgów ziemi podarować? On się bić będzie za zapłatę: czy mu zapłacisz ziemią, czy pieniędzmi, czy go siłą pociągniesz do wojska, jak robią Moskale, Prusacy i Austriacy; ale o ojczyznę? W Królestwie znalazłbyś może gromadkę, bo tam przynajmniej chłop i szlachcic do jednego kościoła chodzą i jednaką mową mówią; ale u nas? Każdy chłop — to ukryty hajdamaka. Niech tylko knuta moskiewskiego nie poczuje nad sobą — no, no... nie chciałbym doczekać tego.

— Trzeba, by chłop był obywatelem, a wtenczas zrozumie, co to jest ojczyzna, i walczyć o nią będzie.

— Ależ, mój kochany, nie przeczę temu. Ja tylko mówię, że on dziś nie rozumie tego wyrazu „ojczyzna“; a jakże chcesz, aby bił się o coś, kiedy nie wie, o co? Chłop bije się dobrowolnie i nastawia swoje życie tylko o rzecz realną; jeden z drugim krwawić się będzie o kurę lub wieprzka; ale o ojczyznę? Przecież to coś niepojętego dla niego, abstrakcyjnego.

Organista, słuchając, zauważył, niby sam do siebie:

— Wracamy do dawnego tematu...

Wstał niecierpliwie i przeszedł się kilka razy po pokoju. Nagle zatrzymał się przed Dromireckim.

— Trzeba, ażeby ojczyzna miała dla chłopca realną wartość, a wtenczas on się o nią bić będzie. Dajcie mu ziemię, a ja wam jutro pół miliona kos postawię w szeregu i czarne ręce chłopskie odzyskają nam ojczyznę.

Dromirecki głową kiwał.

— Hej, hej! Chciałbym tego dożyć i widzieć twoich chłopów walczących dobrowolnie o ojczyznę! Gdy ich zaciągniesz do wojska przemocą, a gdy jeszcze przed pułkiem zaśpiewasz i zagrasz, — pójdą z bagnetem na działa — z pewnością, bo chłop nasz ma fantazję i bić się lubi; ale gdy tych pół miliona rozpuścisz do domu i powiesz jedno słowo: „wolność“, to wiesz, co będą robić?

Wstrzymał się i w twarz organisty patrzył, jakby odpowiedzi czekał, a potem rzucił gwałtownie:

— Pójdą rabować ciebie! Taka dusza chłopska na Rusi, taka i u was.

— Rabuje, bo biedny.

— Rabuje, bo ciemny i chciwy, a ty chcesz, ażeby w ciągu roku lub dwóch zmienił duszę swoją. Na to długich pokoleń potrzeba; potrzeba, aby nikt nie przeszkadzał w kształceniu go, ażeby z pacierzem o chleb powszedni powtarzał, że wolność ze szkodą bliźniego jest swawolą i zbrodnią.

Dromirecki wypił po tych słowach ostatni łyk herbaty i dokończył z uśmiechem:

— Dokończymy rozmowy jutro, a teraz idź spać.

— Dobrze, ale powiedz mi jeszcze, co z Helenką?

— Jakto, co? Przecież dziewczyna zadurzyła się w tobie po same uszy... Wie, że przyjedziesz, boś przecie pisał do Marka; nie wie tylko, kiedy się zjawisz i skąd spadniesz...

Podał rękę organiście.

— Dobranoc... Podszedł do taśmy, wiszącej przy ścianie, i na Hryhorka zadzwonił.

III. WE DWORZE.

Któż to był ów gość tajemniczy?

Jeden z tych, którzy chcieli budować Nową Polskę.

Nazywał się Tadeusz Słomowski i był najmłodszym synem Ignacego, dziedzica dużej wsi na Podolu, który na własne oczy widział, jak Głowacki i Świstacki kosami zdobywali armaty na Moskalach, i oglądał Kościuszkę na koniu w białej sukmanie.

Na polach racławickich urodziła się legenda o chłopie, wybawicielu Polski, i odżyła w tułaczach marzeniach na bruku paryskim, ze smutku i nieszczęścia, z tęsknoty za opuszczoną rodziną i zgniebioną ojczyzną. Z paryskiego rojowiśka emigracyjnego przez Towarzystwo Demokra-

tyczne wyleciała jak ptak złotopióry, niosący na skrzydłach swoich nadzieję, do Polski i ustami wysłańców swoich głosiła odrodzenie i Nową, Młodą Polskę, zbudowaną „rękami czarnymi od pługa“.

I uwierzono w nadzieję — liczbę. Jak dawniej wierzo-
no w moc szabli szlacheckiej, tak poczęto wierzyć w moc
kosi; jak wierzoło w ofiarność i miłość szlachty dla
utraconej ojczyzny, tak wierzyć poczęto w ilość i siłę
rąk chłopów.

Słomowski był jednym z archaniołów, który otrąbiał
w Polsce na cztery strony świata zwycięstwo nowej idei.
Przyniósł on tę wiarę do dworu w Żywotowie, rzucił jak
jasno płonąca pochodnię w serce Marka, syna Łukasza,
ale i własne serce w starym dworze szlacheckim zostawił.

Imć pan Łukasz, jak wszyscy Żywotowscy, miał syna
jedynaka Marka i córkę Helenę. Jako człowiek już po
szóstym krzyżyku, spisał swoją wolę ostatnią: Żywotówkę
z folwarkami oddał Markowi, posag, bardzo znaczny, dla
Helenki przeznaczył i, jako człowiek przezorny, ulokował
go w banku w Londynie, przeznaczając odsetki do dys-
pozycji księcia Adama Czartoryskiego. Dyspozycję co do
Żywotowa odłożył na później, ale wypowiedział życzenie,
że, gdyby innej woli nie zostawił, Żywotów miał iść do
podziału pomiędzy brata i siostrę.

Na zaloty pana Tadeusza patrzył wyrozumiale. Wie-
dział, że jest dobrym człowiekiem, a jakkolwiek ojcu
skonfiskowali Moskale majątek, Tadeusz, który w roku
1831, wówczas młodzieniec, z wojskiem emigrował, ukoń-
czył szkołę dróg i mostów i jako inżynier, piękną przy-
szłość miał przed sobą. Ale fala miłości ojczyzny ponio-
sła go na wędrówkę po kraju. Wyszedł młodzieńcem,
wrócił mężem dojrzałym. Jako komiwojażer od „anty-
ków“, zetknął się w Żywotowie ze znajomymi ze swego
dzieciństwa. Helę znał dzieckiem — ujrzał rozkwitłą różę.
Cóż dziwnego, że młodzi pokochali się? Trudno było
młodym zagradzać drogę do szczęścia. Przeszkód nie

było żadnych. Ponieważ zaś pan Tadeusz do kraju wrócić nie mógł, postanowiono w zimie wyjechać zagranicę, a młodą parę ślubem małżeńskim połączyć w Paryżu, gdzie też młodzi zamieszkać mieli.

W chwili takich nadziei i planów zjawił się Tadeusz w Żywotowie.

Właśnie w tym samym momencie, kiedy organista wymawiał na progu kancelarii Dromireckiego: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, starzy Żywotowscy siedzieli we dwoje tylko w małym saloniku, przytykającym do werandy ogrodowej. Na środku okrągłego wielkiego stołu stał trójramienny świecznik, a łagodne i spokojne światło woskowych świec jasnością trochę mglistą ożywiało salonik.

Pani Barbara kładła pasjans. Pan Łukasz, pochylony do świecznika, trzymał w ręku niewielką książeczkę w zielonej okładce i czytał uważnie. Namarszczone czoło, oczy utkwione w kartę zadrukowaną świadczyły, że czytał ze skupieniem. Od czasu do czasu jakiś muskuł drgnął mu na twarzy, poruszyły się siwe wąsy i znowu oczy biegły po szeregu drukowanych liter z pewnem natężeniem.

Pani Łukaszowa z niezmaconym spokojem układała pasjans.

Wreszcie pan Łukasz oderwał wzrok od książki w górę, pod sufitem chwilę niemi wodził, wreszcie odezwał się:

— Gdzie też to los tych biednych Polaków nie rzuca! Łukaszowa talję kart w ręku zatrzymała w powietrzu.

— Cóż tam ciekawego? — spytała.

Pan Łukasz w zamyśleniu odrzekł:

— Ano, nic...

Ale widocznie nie było to nic, bo po chwili spytał:

— Czy ty pamiętasz Henryka Ligenę z Borszczajówki?

— Pamiętam... to ten piękny, słuszny młodzieniec, co przyjeżdżał do Abramowiczów i kochał się w ich Zosi.

— Otóż wyobraź sobie... umarł, ale gdzie? Aż na Sycylii...

Uwaga ta spotkała się z protestem.

— Ale co ci Pan Bóg dał! Przecież niedawno jeszcze widziałam na jego grobowcu napis: „Henryk Ligenza umarł w r. 1839. Ciało jego — garść prochu, a duch żyje wiecznie i unosi się nad nami“.

Przypomnienie to było słuszne i trochę zbiło z tropu pana Łukasza, ale jeszcze oponował.

— Ależ, moja Basiu! Ty zawsze musisz zaprzeczać! Czytaj... patrz... Henryk Ligenza... zmarły w Morreale... w roku 1840... Był tam jakiś pan Stefan Szczęsny Bogdan Mielikowski i widział grobowiec i długi napis...

Basia nie dała się przekonać.

— Jeżeli jeden Henryk Ligenza umarł w roku 1839 na Ukrainie, a drugi w 1840 pod Palermo, toć rzecz oczywista, że było dwóch Ligenzów tego samego imienia.

Tym razem pan Łukasz, pokonany logiką Basi, zamilkł. Nie dał jednak za wygraną, bo po chwili odezwał się:

— Mądry to był człowiek ten Ligenza i o Polsce myślał, a dobrze zrobił pan Mielikowski, że to jego pisanie wydrukował, bo nieraz tak się zdaje, jakby ten Ligenza o szlachcie polskiej pisał...

Odwrócił kilka kartek zielonej książeczki i czytać począł:

„I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem, niosącą sztandar, na którym napisane było: „naród“, ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące jakby za pogrzebem.... Wielu z nich dźwigało szczątki łańcuchów na nogach i dłoniach, byli bardzo bladzi i bardzo znużeni, nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach trzymali zemdlale niewiasty, podobne do umarłych aniołów, wielu z nich znaczyli ślady swoje krwią, z ran płynącą.... Długom patrzył, czyli kto ich nie przywita miłosiernem słowem lub uściskiem bratnim. Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usunął.... Oto lud, co schodzi z ziemi i nie powróci nigdy“.

Zapanowała cisza. Pani Łukaszowa trzymała króla czerwiennego w rękę i położyć go na stole nie śmiała, a on lekko drżał w jej rękę. Woskowe świece płonęły światłem spokojnem, jakby nad głową umarłego.

Śród ciszy, niby szept jakiś, przeleciało ledwie do słyszalne westchnienie pana Łukasza.

— Tak, tak, moja Basiu... Dotychczas narodem była szlachta — ona stworzyła Polskę, ona biła się o Polskę, ona mieniała nadzieje swoje na kajdany, na Sybir, na więzienie, na stryczki szubienicy, płaciła za te nadzieje mieniem i szczęściem domowem... Ligenzą pokazuje nam wędrówkę jej przez dzieje pōśród narodów obcych, które nie mogą zrozumieć, że oni biją się, cierpią i pragną ojczyzny, bo mają własną ojczyznę... Jeszcze jedno, dwa, trzy pokolenia, i zostaniemy — tylko historją.

Pani Łukaszowa spojrzała ostro na męża.

— Ot, głupstwa waszmość pleciesz! Wierzysz, co jakiś Ligenza napisał, a nie wierzysz w sprawiedliwość Bożą.

Tym razem pan Łukasz oburzył się.

— O takiej sprawiedliwości dobrze na ambonie gagać, ale gdzieś ty ją widziała w życiu? Sprawiedliwość to tylko to, co sobie szablą zdobędziesz, co siłą od drugiego wydrzesz. I my tylko siłą możemy ojczyznę odzyskać.

— Jużci siłą... ale szlachty coraz mniej, coraz gnuśniejsza, trzeba ją inną siłą zastąpić.

Pan Łukasz zdziwionem okiem spojrzał na żonę.

— Czy nie myślisz ty, jak pan Tadeusz, że szlachcica chłop zastąpi, a szablę cep i kosa?

— Wszystko w rękę Boga — rzekła z pokorą Łukaszowa.

— Pan Łukasz nie przyjął tego z równą rezygnacją.

— Terefere! — zawołał. To najtańsza robota i najłatwiejsza polityka: zostawić wszystko Panu Bogu — niech się za nas bije.

Tu znów pani Łukaszowa oburzyła się.

— Bez wiedzy Pana Boga włos z głowy ludzkiej nie spadnie.

Pan Łukasz uśmiechnął się żartobliwie.

— Nie wiem, czy z wiedzą Pana Boga, czy bez Jego wiedzy, włosy mi na głowie wypadły, a łysinę muszę baranią czapką ogrzewać.

Nagle twarz jego spochmurniała.

— My giniemy, giniemy! — rzekł z mocą. — Co rok nas mniej, co rok ubożsi, co rok Sybir i więzienia pełniejsze. Szlachta, która broniła ojczyzny, ginie, a kto ją zastąpi? Cham? Dla niego ojczyzna — to jego krowy, woły, wieprze... Gdy mu wół, obżarłszy się cudzej trawy, pęknie, to go opłakiwać będzie żałośniej, niż żonę i dziecko — a dla ojczyzny co daje? Słuchaj, ja ci ręcę, że kiedyś, kiedyś, gdyby istotnie chłop zwyciężył, to ręcę ci, że on przedewszystkiem rzuci się do rabunku... Ci, którzy z jego łona, z jego duszy wyjdą, staną się największymi rabownikami ojczyzny, a będą wołać głośno, że ją budują... Dużo wody upłynie, zanim chciwość chłopskiej duszy przemieni się w szlachetność i poświęcenie. On teraz podobny jest do dziecka, które pragnie — jeść tylko.

Pani Łukaszowa słuchała spokojnie uniesienia męża i jakby dla zakończenia dyskusji, ze zwykłą rezygnacją rzekła:

— Wszystko w ręku Boga.

W tej chwili za otwartymi drzwiami saloniku szmer dał się słyszeć i weszli Marek z żoną.

Pani Łukaszowa zwykłym swoim spokojnym głosem spytała:

— Czy już kolacja podana?

— Walenty już prosił.

Po tych słowach wstała i do jadalnego pokoju wyszła, zostawiając za sobą resztę towarzystwa.

Pan Łukasz spytał syna:

— Nie miałeś żadnej wiadomości od Tadeusza?

— Przed kilkoma dniami — jak ojcu mówiłem — pisał, że przyjedzie organista.

Na progu ukazała się milcząca twarz Walentego.

Ruszyli się wszyscy.

Idąc już, pan Łukasz rzucił przed siebie:

— To znaczy, że w nowej szacie?

— Oczywiście.

Nazajutrz około godziny dziesiątej rano w wielkim salonie, którego okna wychodziły wprost na gazon, siedziała pani Łukaszowa z córką. Helenka miała przed sobą krosna i coś bardzo pilnie wyszywała, a pani Łukaszowa, schylona nad wielką księgą, czytała. Były to „Żywoty Świętych“ Skargi, ulubione jej ranne czytanie. Siedziały obie milcząco. Wtem na dziedzińcu zaskomlił ulubiony chart Helenki Dolot. Podniosła głowę od krosienek i spojrzała. Szedł Dromirecki z jakimś panem z waszecia ubranym, z wielką jasną brodą, w kaszkiecie niegdyś szafirowym, a teraz od deszczu i słoty zblakłym nieco. Chwilkę wpatrywała się milcząco, a potem krzyknęła:

— Mamusiul! On...

Pani Łukaszowa zdjęła powoli okulary z nosa, na książkę położyła i w kierunku wskazanym przez córkę spojrzała.

— Ależ co ci Pan Bóg dał! To pewnie ktoś do ojca z interesem.

Helenka nie dała się zbić z tropu.

— Ależ on, mateczko, dalibóg on... przecież go poznaje...

— Broda... — zauważyła matka.

— Mateczko... mama zapomina, że go widziała przed rokiem... Teraz z konieczności zapewne zapuścił brodę.

— Może... masz lepsze oczy...

— Z pewnością, z pewnością! — zareczła Helenka.

I nie omyliła się. Był to pan Tadeusz. Razem z Dromireckim poszli wprost do skrzydła dworu, gdzie była kancelarja pana Łukasza.

Żeby zamaskować osobistość Tadeusza, Dromirecki odezwał się głośno do Walentego, aby służba kredenso-wa słyszała:

— Zamelduj, że przyszedł organista, szukający kon-dycji; czy może się widzieć z panem?

Po chwili za obydwojama zamknęły się drzwi kancelarii.

Ujrawszy Tadeusza, pan Łukasz rozstawił ręce i pod-niósł je do góry z gestem zdziwienia.

— Oj, ty szaleńcze, szaleńcze! — zawołał.

Potem życzliwie podał mu rękę i uściśnął mocno.

— Siadajże i gadaj, co to znowu za mistyfikacja.

Usiedli wszyscy.

Tadeusz zaczął trochę nieśmiało:

— Musiałem jechać... rozkaz...

— Trzeba się już było trzymać tytułu komisanta... łatwiejszy miałeś przystęp do dworu,

— Dworów my jesteśmy pewni. Trzeba się zbliżyć do chłopu. Wszyscy prawie zgodzili się na to, że jeżeli przyjdzie jednoczasowy rozkaz, aby poddanym ogłosić wolność z poddaństwa i darowiznę ziemi, bez wyjątku za-stosować się do tego należy.

— A rząd, myślisz, będzie milczał? — przerwał pan Łukasz.

— Przedewszystkiem rząd będzie zaskoczony faktem dokonanym, nawrócić będzie się lękał, boby to groziło buntem chłopów, którzy nie chcieliby zrzec się dobrowol-nie wolności i własności.

Pan Łukasz głową kiwał.

— Gdyby się to nawet i udało, skończy się na skó-rze szlacheckiej.

— Nic rząd nie zrobi! Będzie bezsilny! — wołał go-rączkowo Tadeusz. Z jednym byłaby łatwa sprawa, ale gdy to samo uczynią wszyscy, rząd nie pociągnie do od-powiedzialności wszystkich.

Zdawało się, że argumentu tego nie można było zwalczyć.

Tadeusz ciągnął dalej:

— Gdy chłop będzie wolny i uwłaszczony, okaże się posłusznym woli swoich dziedziców, a wtenczas my będziemy rozporządzać milionami kos.

Przez chwilę zamyślił się pan Łukasz.

— Gdyby nawet tak się stało, jak mówisz, to może chłop i stanie po stronie szlachcica tam w Królestwie, ale tu? Czy nie wiesz, że z kozakami szarpaliśmy się długo, że kilkadziesiąt lat zaledwie minęło od rzezi hajdamackich? Przecież to niepodobieństwo, ażeby on teraz z nami poszedł.

— Chodzi o to, ażeby on przeciwko nam nie poszedł. Wolność i własność, otrzymane z naszej ręki, będą go trzymać w przyjaznem usposobieniu dla nas, a znajdzie się niewątpliwie dużo między nimi ochotników, którzy z nami pójdą. Jeśli w całej Polsce lud będzie wolny, to i przychylnym dla tej Polski będzie i bić się o nią będzie, bo znalazł w niej wolność i własność.

Rozmowa ożywiła się.

— Skoroście rozpoczęli robotę, to już chyba za późno cofać się; chociaż w porę cofnąć się jest rzeczą równie mądrą, jak w porę zacząć. Ale nie o to idzie. Argumenty twoje są logiczne, niewątpliwe, ale rzeczywistość rzadko z logiką chodzi w parze. Może was spotkać zawód — właśnie ze strony chłopu. On rozumuje inaczej, niż my. A jeśli on powie: pan teraz daje nam wolność, bo mu kosa chłopska potrzebna, a potem ją tak samo odbierze, jak dał, i powie: ruszaj do cepa! Przyjdzie zaś Moskal i powie: i tobie, chamie, wolności się zachciało? Ja ci wolność pokażę! Lepiej siedzieć cicho — pomyśli — i nie ruszy się.

Tadeusz nie dał się zbić z tropu.

— W Królestwie chłop ma mało ziemi i za ziemię w piekło pójdzie, a na Rusi pamięta o tem, że był kiedyś wolnym, i wolność umie cenić.

— Ale ja też i rozumie po swojemu — dodał pan Łukasz.

Ażeby pokonać uporczywość gospodarza, Tadeusz rzekł:

— Towarzystwo Demokratyczne ma najlepsze relacje ze wszystkich stron Polski... Szlachta jest niecierpliwa i radaby dziś rzucić się do broni, a za szlachtą pójdzie lud wolny i uwłaszczony. Teraz od Wilna po Odeszę mam się przysłuchać, jaki jest nastrój wśród ludu i czy można na nim polegać. W Królestwie chłop jest pewny, z Galicji najlepsze dochodzą wieści, że chłop z nami pójdzie, a na Rusi musimy tylko nasłuchiwać i pozostawić ją w rezerwie. Musiałem przybrać na siebie ten strój, aby się do ludu wogóle lepiej zbliżyć. Pański surdut razi go.

— Cóż myślisz robić?

— Ruszę stąd od dworu do dworu aż do Odessy, a stamtąd wrócę wprost do Paryża i zdam raport Centralizacji naszej.

— A masz ty dokumenty w porządku?}}

— Mam.

Dromirecki dodał:

— Ma formalny paszport pruski i polecenie od władzy biskupiej, że jest organistą, szukającym kondycji.

— Trzeba paszport zameldować u stanowego.

— Już oddałem wójtowi, który dziś właśnie do Tetyjowa pojechał.

— To dobrze.

Do Makarego się zwrócił:

— Musisz, mój kochany, naszego gościa w oficynie zatrzymać, aby nie budzić czujności służby... Na obiad i na kolację będziecie przychodzić do nas.

Tadeusz schylił głowę na znak zgody i podziękowania.

— Dziękuję najserdeczniej. Nie będę długo nadużywać gościnności szanownych państwa... Kto szuka kondycji, nie może długo na miejscu siedzieć — dodał z uśmiechem.

Ażeby nadać przybyciu Tadeusza pozór, pan Łukasz, żegnając się, zwrócił się głośno do Walentego:

— Mój Walenty! Poszlij kogo do księdza proboszcza, niech powie, że przyjechał organista szukający posady, i proś księdza proboszcza, aby dziś był łaskaw przyjść do nas na kolację.

A do Tadeusza rzekł:

— Waszeć przyjdź także na wieczerzę, to z księdzem proboszczem pogadacie... to jego wydział.

Tadeusz uklonił się jak mógł najniezgrabniej.

— Całuję rączki jaśnie wielmożnego pana...

W tej chwili właśnie Hryhorko znajdował się w kre-densie. Walenty zwrócił się wprost do niego:

— Ty bajdykujesz, chłopcze — hajda do księdza i powiedz, coś słyszał, a wracaj rychło, bo do stołu trzeba nakrywać.

Hryhorko bardzo był chętny do takich wycieczek, bo parę godzin mógł spędzić bez kontroli. To też niebardzo się śpieszył z powrotem i zjawił się dopiero przed podaniem wazy na stół. Tych terminów trzymał się zwykle dość pilnie.

Walenty, jako szef służby, napadł na niego.

— Ciebie nigdzie posłać nie można — gderał niezadowolony — bo zamiast sprawić się, gdzie ci każę, za dziewczętami gonisz.

Hryhorko niby się oburzył.

— Ho! Alboż to noc, czy co?

— Ty i w dzień potrafisz.

Hryhorko bronił się:

— Panu Walentemu to ino dziewczęta i dziewczęta w głowie...

Wybuch śmiechu towarzyszył tym słowom, nie bez ironji wypowiedzianym, bo Walenty już sześć krzyżyków na plecach nosił. Oburzył się przeto.

— Cap jesteś! — rzekł z gniewem. Bierz wagę i ruszaj do kuchni!

Po obiedzie Walenty przypomniał sobie, że trzeba zdać sprawę z tego, [co ksiądz powiedział, więc znowu Hryhorka zagadnął:

— A cóż ci kazał powtórzyć ksiądz proboszcz?

— Ano, powiedział: „Niech ich djabli wezmą, tych włóczęgów! Pewnie znowu jakiś pijus do kieszeni pańskiej zagląda“...

— Ale czy przyjdzie, czy nie?

— Powiedział: „Przyjdę, przyjdę... a powiedz tam kucharzowi, że ja dziś na wieczery będę... on już wie“.

Przy wieczery była obojętna rozmowa o muzyce, o organach, a ksiądz proboszcz opowiadał, gdzie są jakie najosobliwsze organy, które własnymi oczyma oglądał. Największe, jakie widział, były w Norymberdze, a najlepsze, jakie słyszał, w Genewie: niewielkie to, ale schludne miasteczko, tylko strasznie heretyckie. Toć to tam przecie Kalwin uczył różnych nowinek, a heretyka Serveta na placu publicznie spalono. Kościoły katolickie na lutrów zabrali, a w katedrze na onych wielkich organach koncerty dają...

Pani Łukaszowa przerwała z oburzeniem:

— Koncerty? W kościele?

— W kościele, pani dobrodziejko, jak Boga mego kocham, w kościele... a ludzie schodzą się wieczorami tak, jak w Dubnie na kontrakty schodziła się szlachta słuchać śpiewu pani Catalani, która też (Boże odpuść grzechy!) tak słono kazała sobie płacić za to śpiewanie, że jakiś poeta także zaśpiewał:

Mościa pani [Catalani,
Czy nie można trochę taniej?

Tadeusz i Makary zaśmiali się, a pan Łukasz dodał:

— Tak, tak, tak... świętą prawdę ksiądz kanonik mówi... Cisnęli się do tej pani Catalani jak do ołtarza... sam widziałem... warjowali i młodzi i starzy.

Rozmowę o pani Catalani przerwała pani Łukaszo-
wa, której te koncerty w kościele wydawały się czemś
ókrupnem.

— Proszę księdza kanonika... i to tak za biletami lu-
dzie chodzili, jak do teatru — może?

— Tak samo, proszę pani 'dobrodziejki, i jeszcze
z różnemi komedjami.

To w jeszcze większe podziwienie wprawiło panią
Łukaszową.

— Z komedjami? — krzyknęła prawie.

A ksiądz kanonik mówił, głową w takt kiwając:

— Kościół był ciemny... gdzieniegdzie gorzała świecz-
ka, a słuchacze siedzieli w ławkach i słuchali. W tem
półświecie, w tej ciszy zdawało się nieraz, że to komus'
De profundis grają... Niby człowiek w grobie był zamk-
nięty... a tu nad nim organy huczą ponuro...

Pan Łukasz przerwał opowiadanie.

— A, też ksiądz kanonik tak opowiadasz, jakbyś
tam był.

Ksiądz, niez mieszany, odpowiedział:

— Kiedym wracał z Rzymu, gdzieś towarzyszył księ-
dzu prałatowi Żelechowskiemu, który tam świętopietrze
woził, tośmy z powrotem wstąpili do tego gniazda he-
rezjarchów, a ksiądz prałat, chcąc się naocznie przekonać
o tych dziwach, był na koncercie (Panie mu przebaczyć, bo
już nie żyje!) i mnie za sobą iść kazał.

Pani Łukaszowa, oburzona, dokończyła:

— No, kiedy już koncerty w kościele dają, to i ko-
niec świata niedaleko...

Tymczasem koniec wieczery przerwał rozmowę.

Gdy już od stołu wstali, pan Łukasz zbliżył się
do żony:

— Moja Basiu! Każ nam herbatę podać na weran-
dzie... strasznie gorąco...

Dobłą myśl miał imć pan Łukasz, gdy prosił, aby
herbatę podano na werandzie, bo wieczór był cudowny —

jeden z tych cichych, uroczych, spokojnych, jakie chyba tylko na Ukrainie bywają. Nie czuć było w tem powietrzu zapachu róż, jak w jakiejś willi florentyńskiej lub pod Neapolem, ale czuć było ów dziwny zapach, który można byłoby nazwać bujnością życia. Na niedostrzegalnych falach wiatru płynęły wonie kwitnących łąków żyta i pszenicy, które się za Roską rozciągały w dal nieskończoną i mieszały się z miodnemi zapachami lip, z oddechem lasów, roznoszonym cichym wiatrem dokoła, z wonią przeogromną ziół i kwiecica, które bujność swego życia wysyłały na nieobjętą przestrzeń nieba, usianego gwiazdami na tle blado-błękitnem.

Długą ścianą ogromna weranda, niby salon wielki, zwracała się ku Roście i przesycona była jakimś dziwnym, upajającym aromatem. Zdawało się, że na tle bogatej, pełnej życia natury tego kraju tylko jacyś dziwnie szczęśliwi ludzie mieszkać mogli i z nieprzebranego bogactwa jej korzystać.

Weranda była, niby salon letni, ozdobiona klombami kwiatów, krzakami szerokolistnych roślin egzotycznych, otoczona bluszczem, kapryfolją i niby podzielona na dwie części, tak że środek, który był wyjściem do ogrodu, był wolny od wszelkich mebli, gdy po obu stronach werandy stały stoły, otoczone kanapą i fotelami plecionymi z trzciny.

Większa część towarzystwa skierowała się pod przewodnictwem pani Łukaszowej na prawo, a ksiądz proboszcz z panem Łukaszem zajęli boczne fotele. Hela z Tadeuszem i Makarym rozmawiali nieco na uboczu i niby machinalnie skierowali się w przeciwną stronę werandy, gdzie na stole leżały książki i rozmaite wydawnictwa obrazkowe.

Pani Łukaszowa, bardzo zaintrygowana koncertem w kościele genewskim, jako osoba nabożna i prawowierna, rozpytywała księdza o różne barbarzyńskie zwyczaje tego heretyckiego miasta. Dromirecki, pragnąc zakochaną

parę zostawić niby zajęta przeglądaniem obrazków, udając ogromnie zaciekawionego opowiadaniem księdza kanonika, zbliżył się do tego stołu i tak stanął, że osobą swoją zakrył ich przed okiem pani Łukaszowej. Z tej krótkiej chwili skorzystała Helenka.

— Dokad pan jedzie — wiem; ale kiedy pan zamyśla wrócić?

Przeglądała niby obojętnie widoki Paryża.

— Nie wiem... sędzę jednak, że nie wcześniej, jak za miesiąc.

Hela leciuchno westchnęła.

— Wie pan... ja się tak boję... — rzekła, nie podnosząc oczu od książki.

— Czego?

— Nie wiem... Ten strój pana więcej budzi podejrzenia, niż poprzedni...

— Jestem zupełnie bezpieczny... papiery mam w porządku.

— A jeśli kto pana pozna?

— Wątpię bardzo... z tą brodą, jak u św. Onufrego...

— Po głosie poznają... z twarzy...

— Najtrudniej było tu się ukryć... a jednak, widzi pani... nikt nie poznał.

— Kto wie?...

Tadeusz, jakby pragnąc uspokoić wątpliwości i twogę dziewczyny, rzekł z miękkim, pełnym miłości akcentem:

— Jeszcze trochę... jeszcze spokoju, a szczęście nasze już będzie tylko naszym...

Hela uśmiechnęła się ledwie dostrzeżonym uśmiechem.

— Szczęście... — wyszeptwała.

W dźwięku jej głosu był jakiś rzewny smutek. Serce mu drgnęło, jakby doznał nagłego ułucia. Zdało mu się, że jest zbrodniarzem wobec tej cichej, bezbronnej dziewczyny, że sztylet w jej piersi zanurza, a mówi o szczęściu. Czyż nie przysiągł, że będzie sługą ojczyzny — aż do końca? że jej tylko, nikomu innemu, odda swoje życie? A dla

niej cóż pozostanie? Może chwilki ulotne, w których będzie mniej smutku i niepokoju, niż radości.

Nagle ksiądz proboszcz powstał i zbliżył się do nich, jakby umyślnie chciał słówko powiedzieć na osobności.

— Kiedyż w drogę? — zapytał.

— Chciałbym w poniedziałek... po mszy...

Ksiądz palcem mu pokiwał.

— Tylko ostrożnie — rzekł — abyś nam wszystkim biedy nie nawarzył.

— Jestem zupełnie spokojny i pewny.

— Pewności, panie bracie, na ziemi niema, a spokojnym możesz być dopiero w Paryżu, bo tam cię pazury moskiewskie nie dosięgną.

W tej chwili wniesiono tacę z nakryciem, a za Walentym postępował Hryhorko z drugą tacą, na której były ciastka i cukier.

Hela poszła do stolika, przy którym siedzieli rodzice, a ksiądz kanonik rozmawiał jeszcze z Tadeuszem. Wreszcie wszyscy znaleźli się przy wspólnym stole i rozmowa potoczyła się o sprawach miejscowych.

Po odjeździe księdza kanonika do domu i po odejściu Dromireckiego z Tadeuszem w kredensie znaleźli się tylko Hryhorko i Walenty. W drugim pokoju kredensu słyhać było głośnie śmiechy, bryzganie wodą i przerzucanie się żartami, — tam odbywało się pomywanie naczyń. Większy pokój, zastawiony wzdłuż ścian szafami z naczyniem stołowym i srebrami, jako bezpośrednio dotykający jadalnego pokoju, był siedzibą Walentego i kilku innych, tak zwanych kozaczków.

Walenty z Hryhorkiem zajęci byli obliczaniem srebra przed schowaniem do szaf.

Hryhorko tak się kręcił, jakby miał coś na języku, a wstrzymywał się powiedzieć. Odezwał się wreszcie nieśmiało:

— Oj, mnie się coś zdaje...

Walenty mu przerwał:

— Tobie się zawsze coś zdaje... Ile masz łyżeczek?
— Jedna... dwie... trzy... pięć... Mnie się zdaje, że ten organista już tu był...

Walenty jakby się ocknął.

— Co ty pleciesz?

— Bih-me, że tak.

— Zwarzjowałeś! Kiedyż ty tu organistę widziałeś?

— Organisty — nie, ale tego ogolonego pana, Francuza, co tu przed rokiem się kręcił.

— Durny, durny, co się tobie majaczy! Tamten był Francuz, a po polsku ani be, ani me, a to Polak; tamten kupiec, a to organista; tamten ogolony, a ten z brodą i wąsami.

— Tak, tak, to wszystko tak, ale to ten sam. Broda i wąsy wyrosły mu, to prawda, ale oczy się nie zmieniły, głos się nie zmienił, a jak chodzi i rusza się, to akurat — tamten.

— Idź, durny, idź... — przeczył Walenty.

— Bih-me, że tak. Jakżeby to panowie zapraszali organistę do swego stołu? Nasz organista tyle lat już gra, o nigdy go pan dziedzic nie zaprosił do stołu.

Argument ten zachwiał powagę Walentego. Budzić się w nim poczęły pewne wątpliwości i obawa, ażeby państwo nie dowiedzieli się, co Hryhorko gada.

— Idź, durny, idź... — powtarzał. — A ja ci powiem: trzymaj lepiej język za zębami, abyś nie spróbował, jak pachną różgi Sydorka.

IV. W DRODZE.

Na godzinę może przed zachodem słońca „zwozczyk“ w bardzo niewybrednym wehikule, czemś pośredniem między litewską kałamaszką a kibitką, wioził z góry, od nowego miasta Odessy do portu dwóch podróżnych. Jednym z nich był znany już nam pan Tadeusz, dru-

gim — równy mu prawie wiekiem nieznajomy. Zbliżając się do obszernego placu przed portem, furman, kacap z ryżą brodą, w watowanym „jermaku“, choć słońce grzało mocno, zapytał, na wiatr rzucając pytanie:

— Dokąd?

Nieznajomy odparł równie krótko:

— Pod górą zatrzymasz się.

Ręką wskazał na jakiś niewielki biały budynek.

Przeciskając się powoli przez gromadki ludzi, snujących się na placu, powózka zatrzymała się.

Nieznajomy, towarzyszący Tadeuszowi, wetknął zwozcykowi niewielką srebrną monetę, dodając:

— Oto masz „griwiennik“.

Jakkolwiek moneta była mała, widocznie zadowolila furmana, bo z pewnem uszanowaniem uchylił przed nim baraniej czapki, która, jak i watowany jermak, niezbyt odpowiadała żarowi lipcowego słońca.

Tadeusz, oprócz tej samej torebki płóciennej, którą widzieliśmy już w Żywotowie, nic więcej przy sobie nie miał.

Wysiadłszy z kałamaszki, obaj młodzi panowie, zwróceni w stronę morza, rozpierzchłym wzrokiem wodzili po tłumie, mrowiącym się koło przystani i grobli.

— Między czumakami znajdziesz zapewne takich — odezwał się nieznajomy — którzy w waszą stronę jadą.

Tadeusz, dla którego widok portu i niezwykle, gorączkowy ruch, jaki tu panował, był nowością, zapatrzyony w tę kłębiącą się masę ludzi, odrzekł roztargniony:

— Rozglądnę się między nimi.

W tej chwili zbliżył się do nich żyd; nie widać było, skąd przyszedł — jakby z pod ziemi wyskoczył. Nie trudno było poznać w nim potomka wędrownego Izraela, który, ukochawszy srebrniki Judasza, po całym świecie ich szukał. Ostrzępiony u dołu chałat, niegdyś czarny, teraz zrudziały, ruda, płomienista prawie broda, takżej pejsy, skrecone ślimakowato, ostry nos, krogulczy prawie, na podo-

bieństwo sępiego dzioba ku wąsom skręcony — wszystko to zdradzało nie tylko semickie pochodzenie, ale semitę wyhodowanego na polskim chlebie. Zbliżając się do stojących na uboczu nieco Tadeusza i nieznajomego, uchylił kapelusza, okazując brudno-czarną założoną jarmułkę, i spytał łamanym językiem polskim:

— Czego panowie szukają? Może czego trzeba?

Nieznajomy opryskliwie odpowiedział:

— Nic nie trzeba, nic.

— Może panowie potrzebują kantoru jakiego?

Rzucił okiem na nieznajomego, który był dostаточно ubrany.

— Może interes do „tamożni”?

— Nie.

— Może wina? Mam alicante, porto, cheres, maderę... czerwone prosto w pipach...

Byстрыm rzutem oka zmierzył wartość ubrania nieznajomego, spojrzał na dewizkę złotą od zegarka i prawił dalej:

— Może do dworu oliwy, migdałów, szafranu, parmezanu, cytryn, rodzynek — wszystko mam.

Tadeusz zachowywał się obojętnie, ale nieznajomego drażniła żydowska natrętność.

— Nic nam nie trzeba... daremnie się wysilasz.

Żyd, doświadczony w sprawach ludzkich, poznał z akcentu odpowiedzi, że już koniec, że tych gojów na żadną zachętę nie złapie. Jak niewiadomo skąd się zjawił, tak niepostrzeżenie zniknął w wirującym tłumie ludzi.

Uwolnwszy się od żyda, wmieszali się w ciżbę.

Tadeusz widocznie po raz pierwszy oglądał port odeński, bo ciekawem i zdziwionem okiem wodził dokoła. Wszystko go interesowało.

— Cóż to bieleje na wzgórzu? — zapytał.

— Dawna twierdza turecka.

— A ta czerwona chorągiew nad tym gmachem pod górą?

— Czerwona? To znak, że urząd portowy jeszcze urzęduje... Po zachodzie słońca ściągają chorągiew.

Tadeusz przyjął wyjaśnienie milcząco.

— A ten okręt, co na końcu grobli stoi samotny?

— Brandwachta.

Spostrzegłszy, że Tadeusz pytające spojrzenie na niego zwrócił, dodał:

— Okręt strażniczy... Rano wystrzałem armatnim daje sygnał rozpoczęcia robót, a wieczorem — ukończenia.

Duży plac między zameczkiem tureckim a portem wypełniało różnobarwne i różnonarodowe rojowisko ludzi. Tłumy robotników, pokrzykując i potracając się gorączkowo, pędziły groblą, niosąc na plecach lub wioząc taczkami wory pszenicy, paki i paczki różnych towarów, z krzykiem, hałasem i wzajemnem wymyślaniem sobie, rzucając swój ciężar do łodzi lub na pokład okrętów. Do grobli podjeżdżały „wałki” czumaków, mając wozy naładowane workami. Jeden śpieszył przed drugim, wymijając się wzajemnie, aby co rychlej, zanim wystrzał armatni da znak ukończenia roboty, wory ze swego wozu wyładować i wycofać się z tego piekielnego tłumu. Co chwila słychać było nawoływania czumaków: sob, sob, sob! cabel cabel! cabel! tu lub ówdzie suchy trzask uderzenia biczyskiem wołu po głowie — jako zachętę do cofnięcia się. Śród tego tłumu rozgorączkowanego, zdawało się, że woły tylko zachowywały olimpijski spokój, znosząc cierpliwie pokrzykiwania czumaków, bicie i kurz, unoszący się nad nimi niby chmury. Zmęczone, bite, targane, stały w milczącym zamyśleniu, czekając swojej kolei, i tylko ślina długimi srebrnymi pasmami zwisała aż do ziemi z ich ust spragnionych.

Od czasu do czasu odzywał się ryk wołu, niby krzyk rozpaczny, gdy zniecierpliwiony czekaniem jeden drugiemu rozpruł brzuch nogiem.

Konie, jakby podniecone hałasem ludzkim, wierzgały i kwiczały, gdy się o nie otarło ostre jarzmo wołowe.

Śród poryku wołów, kwiku i rżenia koni górowały głosy ludzkie w dziwny, niewyraźny chaos splecione, i niby szum wiatru, zapowiadającego zbliżającą się burzę, unosiły się w kłębach kurzu, wiszącego nad tą masą ludzi, bydła, koni, poruszających się na placu portowym. Zdało się, że wszystkie narodowości Europy zbiegły się do tego otwartego okienka, jakie nowe państwo od pół wieku zaledwie otworzyło w Odessie na morze Czarne.

Tu biegł gorączkowo wysmukły Francuz i rzucał frazesy przed siebie równie szybko, jak krok, którym szedł, nie troszcząc się zupełnie o to, czy go kto rozumie. Ówdzie powoli, niby żółw, w pończochach i pludrach, posuwał się Niemiec i bełkotał, jak gdyby kluski w gębie obracał. Ocierał się o niego czumak w wysokiej baraniej czapce, w brudnej, zasmolonej koszuli i w równie brudnych hajdawerach, wpuszczonych w buty. Szedł leniwie, batóg trzymając w ręku i mrucząc sam do siebie, zawsze to samo, ile razy był zniecierpliwiony: „sto czortiw-by w jo-ho mamu...” Otarł się o Mołdawian, ubranych pomimo lata, w baranie kożuchy, którzy, idąc ociężałym krokiem, jak ich woły z kosmatą grzywą na łbie, rzucali do siebie niby od niechcienia: badiu, badiu... Tu Włoch z Liworno, który przywiózł rodzinę dla barbarzyńców, pędził, jakby go kto gonił, i dzwonił, niby dzwonek srebrny, swoje: si, si, si; ówdzie z tłumu dołatywało: „panie dobrodzieju”, zapomocą którego ekonom, transportujący pszenicę pańską, tłumaczył policjantowi, aby mu jak najrychlej przepuścił jego wałkę do ładowania.

Niedługo temu tłumowi przypatrywali się obaj przybysze.

— Tu z pewnością znajdziesz czumaków z pod Żywotowa... Ja pożegnam ciebie — mówił nieznajomy — bo bym ci tylko przeszkadzał. Surdut w chłopie naszym budzi zawsze podejrliwość.

— Niestety.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Tak, tak, Tadeuszu! Marzenia wasze bardzo wyprzedzają przyszłość. Może was spotkać wielki zawód.

— Oj, ty pesymisto! A nie słyszałeś, co mówił ten szlachcic, który z Galicji Dniestrem pszenicę spławiał do Akermanu — że lud pójdzie z nami?

— Czekajmy czynów!

— Niedługo czekać... Ale, masz słuszość... wracać do domu... a ja przed wieczorem muszę się jeszcze pokręcić między czumakami. Pamiętaj tylko, że i twoje „państwo Mińkowieckie“ musi także wystąpić konno i zbrojno — dodał z uśmiechem.

Ze wzmianki o „państwie Mińkowieckiem“ można było domyślić się, że tym nieznajomym był jeden z potomków słynnego Ścibora Marchockiego.

Po odjeździe Marchockiego Tadeusz w tłum się wmieszał, chodził i nasłuchiwał, skąd jaka wałka czumacka i kiedy odchodzi. Ale nikt w stronę Żywotowa nie jechał.

Zbliżył się tedy do starej twierdzy Chadżybejskiej i usiadł u stóp gołych prawie murów, pod którymi rosło kilka karłowatych akacyj i kilka wysmukłych topoli. Na prawo miał przed sobą młode miasto, które rozrastało się dopiero i na płaskowzgórzu, wzniesionem nad morzem, na gołym i równym prawie stepie zabudowywać się zaczęło. Na płaszczyźnie stepowej pomiędzy wiatrakami sterczały małe domki z blado-żółtego miejscowego muszlowca, kryte słomą, wyglądające zdaleka jak białe punkty, na nagim stepie rozrzucone. Tylko bliżej morza wznosiło się kilka większych murowanych budynków i długą linią ciągnął się bulwar nadbrzeżny, wystawiony na wiatry i wichry morskie, a zasłonięty tylko nikłemi akacjami.

Przed sobą miał port cały i morze. Siedział i milcząco przypatrywał się ruchliwemu tłumowi, który przed nim burzył się, huczał, a tysiące odgłosów, jakie się z niego wydobywały, płynęły kędyś na morze i tam bez echa ginęły, albo unosiły się wraz z tumanami kurzu, wyrwały

się w step i tam z ciszą wieczorną zlewały się w jeden wielki szum, do głośno płynącej wody podobny.

Wieczór się zbliżał. Trzeba było o noclegu pomyśleć. Wracać do miasta już nie miał zamiaru i nie po to zresztą przyjechał tutaj, aby wracać. Siedział, patrząc na morze, i rozmyślał nad tem. Pierwszy raz w życiu oglądał morze Czarne. Znał tylko zatokę Genuęńską i morze Śródziemne. Mimowoli nastroczały mu się porównania. Jasno-szafirowe, jak niebo nad niem wiszące, morze Śródziemne i posępne, groźne morze Czarne. Mieniło się ono wprawdzie jak Proteusz w różne barwy do zachodzącego słońca, ale jego cisza i uśmiechy do światła miały w sobie coś zdradliwego. Na powierzchni to marszczyło się w srebrne i złote fałdy, niby uśmiechało się łagodnie, to wypogadzało twarz swoją, wyrównywało zmarszczki i błyszczało pogodą rozciągniętego nad niem szafiru i coraz dalej, dalej w głąb i dał uciekając mglistą, kończyło się ciemną kreską, dzielącą od zwieszającego się nieba.

Nagle dał się słyszeć wystrzał od morza, echo jego popłynęło w dal bezbrzeżną i utonęło w zielono-szafirowych falach. Był to sygnał ukończenia roboty.

Jeszcze długą chwilę kłębiło się rojowisko ludzkie, ale powoli ludzie rozchodzili się w różne strony, a długie linje wozów czumackich skierowały się ku najbliższej stacji pocztowej.

Tadeusz wiedział, że ma iść drogą, wiodącą przez bałkę Kujalnicką, która wprost aż do Ananjewą wiodła. W nadziei, że w pierwszej lepszej karczmie podnocuje albo w stepie razem z czumakami, poszedł w tym kierunku. Wałki szły powoli, posuwając się niby wąż jakiś olbrzymi, nad którym unosił się obłok kurzu. Morze zostawił za sobą. Droga wiodła nieco pod górę w step. Na gołej płaszczyźnie, niby olbrzymy jakieś, stały w pewnem oddaleniu od siebie wiatraki, kiwając ku miastu drewnianemi swemi pięściami, a niżej nieco połyskiwały spokojne wody limanu Kujalnickiego.

Nareszcie, już bliżej stepu, trochę, ciszej, spokojniej — tylko za nim jeszcze morze ludzkie szumi.

Szedł przy jakiejś wałce i rozmawiał z czumakiem, leżącym na brzuchu na wozie, wypełnionym suszoną rybą taranią.

— A dokąd wy jedziecie?

— Pod Humań... do Dubowej... — odburknął czumak.

— To nie moja droga — pomyślał Tadeusz.

Czumak bokiem spoglądał na niego i myślał, jak go zagadnąć: przez „pan“ czy przez „ty“; wydawał mu się niby ekonom.

— A wy kudy? — spytał po rusku.

— Do Lipowca.

Nie chciał powiedzieć prawdy.

— Po służbie może? Ekonom, czy jak?

— Nie, organista... — i dodał: za służbą.

Czumak, nie zmieniając swojej pozycji, spytał:

— To niby panom w kościele gracie, czy jak?

— A tak...

Zamilkli obaj. Po chwili Tadeusz odezwał się:

— Będzie tu po drodze karczma jaka, aby podnocować?

— A ot, miniemy wiatraki, to i karczma będzie... Tam wszystkie wałki podnocowują... Step czumaki zajmują dla wołów — wyjaśnił.

Wtem wiatr od limanu powiał i taką chmurę kurzu podniósł, że ledwie w tym obłoku widać było długą linię posuwających się wozów. Tadeusz mimowolnym ruchem czapkę na czoło nasunął, aby mu wicher nie porwał. Czumak, tyłem zwrócony do morza, leżał obojętnie wśród kurzu, który się koło niego wicherzył, i z zielonej glinianej fajeczki, na płaskim i krótkim cybuszku osadzonej, smoktał ambrozię poławskiego bakunu. Wąska smuga sinego dymu wiła mu się nad ustami i nad głową.

Czumak widocznie nudził się i rad był, że znalazł towarzysza do rozmowy. Odezwał się niby od niechcenia:

— Niezadługo z tej pohanej bałki Kujalnickiej w step wyjedziemy, tam będzie swobodniej.

— A przecież bałką najbliżej do Ananiewa.

— Prawda, że bliżej, ale po jakiego bisa jechać między górami i kurz łykać, kiedy step pod bokiem. Czy stanąć gdzie z wałką, czy woły popaść, to miejsca dosyć.

Po chwili dodał:

— W stepie człowiek jak ptak na swobodzie.

— Święta prawda.

W tej chwili wiatr z innej strony zawiał i odsłonił płaszczyznę stepową. Długa linja wozów powoli wysuwała się pod górę. Spojrzał poza siebie — już morze znikło mu z przed oczu, tylko w dole na lewo błyszczało we mgle zachodzące słońce, szeroka tafla limanu, a nad Odessą wisiała szara opona dymu i kurzu.

Wjechali w step. Czumak nie zmienił ani na chwilę pozycji leżącej, ani zielonej fajeczki z ust nie wypuścił.

— A ot i Parszyweńka — zauważył od niechcienia.

Tadeusz nie wiedział, o co chodzi. Czumak dodał, głową skinąwszy przed siebie:

— Karczma...

Zwrócił w tym kierunku spojrzenie i zdało mu się, że widzi jakiś punkt ciemny na horyzoncie, ale budynku żadnego.

— Gdzie?

— Ondyczki — przecedził czumak przez zęby.

Tadeusz nie dopytywał się więcej.

— Idźcie na przełaj — odezwał się czumak — to prędzej dojdziecie. Tak, jak ludzie idą.

W kierunku wskazanym widział rzeczywiście linję, naznaczoną kilku punktami w pewnem oddaleniu od siebie, które wydawały się ruchomemi. Poszedł tym śladem.

Ledwie kilkadziesiąt kroków oddalił się od wałki, gdy posłyszał za sobą niby śpiew, niby monotonne jęklliwe zawodzenie. Z wiatrem leciały do niego wyraźnie słowa:

Chodysz czumak, chodysz czumak
Sim hod do Donu,
Ta ne było pryhodońky
Nikoły Jomu...

Wiatr roznosił echo po stepie i rozpływał się z niem razem między niebem a ziemią.

Step nie miał już zieloności wiosennej, ale przedstawiał się jako szaro-złocisty wielki kilimek, rozesłany pod niebem. Trawa już była stłoczona, pożółkła, zwiędła, pyłem przysypana. Im dalej od drogi, tem otaczało go powietrze czystsze, a wiatr od morza, który ich pyłem zasypywał, łagodnym pocałunkiem muskał brodę i wąsy Tadeusza, chłodził mu czoło. Mimowoli zdjął czapkę z głowy i powoli ledwie widocznie wydeptaną ścieżką szedł przed siebie zamyślony. Niekiedy podnosił głowę, wzrok puszczał stepem, jakby pragnął dojrzeć tę karcznię, którą czumak nazwał tak niegrzecznie. Step wydawał się spokojny, bez życia.

Nagle z kępy burzanów opodał od ścieżki, zwiędłych przedwcześnie, spalonych od słońca, których nagie prawie gałązki chwiały się od wiatru, zerwało się stadko wron i z krzykliwym hałasem w step odleciało, a od burzanów wrzask i klekot ptasi dolatywał. Zboczył ze ścieżki i zajrzał tam — nowe stado wron spłoszył. Siedziały na nieogryzionych jeszcze kościach szkieletu wołu i kłóciły się o resztki.

— Ano... jakaś „przygoda“ stała się czumakowi — pomyślał i poszedł dalej.

Zmierzch już zapadał. Zdawało mu się, że ponad czuby zwiędłej złocistej trawy w dali krzyż wyrasta. Czy to nie złudzenie? Zbliżył się — wśród trawy mogiła, świeża jeszcze, bo zielenią nie porosła, a na niej krzyżyk z czerwonej łoży nadmorskiej wetknięty w ziemię. Oba ramiona konopnym sznurkiem związane. Wiatr stepowy targał widocznie krzyżem na wszystkie strony, bo i główne ramię na bok pochylił i skrzywiło się boczne.

Zatrzymał się przed tą nieznaną samotną mogiłą i nad tym krzyżykiem, przyjazną ręką zrobionym, wetkniętym na mogile, kryjącej ukochane zwłoki. Różne myśli plątały mu się w głowie. Żał mu było tego nieznanego biedaka, który tu na wieczny położył się spoczynek. Jakaś dziwna analogja nasunęła mu się między tą nieznaną mogiłą a własną wędrówką. Może i ten niespokojną duszą marę szczęścia gonił po świecie i zamiast szczęścia znalazł samotną mogiłę? Trochę czasu minie, a wiatr zwali na ziemię krzyżyk, świeżą ziemię rozniesie po stepie, na mogile porośnie trawa i nie pozostanie śladu najmniejszego, gdzie leżą kości wędrowca. Gdyby przyjaźń przyniosła kiedy w te strony jaką duszę życzliwą, któraby się na grobie pomodlić chciała, nie znajdzie już tego miejsca, gdzie ukochane zwłoki spoczęły.

Smutek go ogarnął. Przypomniwał sobie dom rodziny, który młodzieńcem opuścił, rodziców, wygnanych z tego domu, śmierć ojca ze smutku i żalu, że na głowę wszystkich nieszczęście sprowadził, własną tułaczkę i niedolę, i lży mimowoli puściły się z oczu. Żał mu się zrobiło tej przeszłości, tak niedalekiej, szczęśliwej, pełnej nadziei, — uciekał myślą do lat swoich dziecinnych, do matki, która żyła na łaskawym chlebie u krewnych; ogarnął go bezbrzeżny smutek i gorycz. Zdawało mu się, że tę przeszłość całą także pokryła mogiła, a w tej mogile zostało żywe serce jego i bije mocno, jakby się pragnęło z pod ziemi wydobyć, i tęskni do życia. A zły duch jakiś, czarny i złośliwy, szepce: „Koniec, koniec... wszystko przepadło, pogrzebane, umarło... Życie dla tych, co po tobie przyjdą, przed tobą — nic, nicość...“ Czyż tylko nic? tylko nicość? Czyż ze śmiercią nawet wspomnienie o ludziach ma ginać?...

Krzyk ptastwa obudził go z zamyślenia.

Daleko na płaszczyźnie stepowej dostrzegł jakieś skupienie, nad którem unosiły się w powietrzu stada krzykliwych wron. Zdawało mu się, że to skupienie porusza

się. Nic innego — pomyślał — tylko musi to być owa Parszyweńka, o której czumak mówił, a ta ruszająca się masa — to ludzie, bydło i konie.

Im bardziej się zbliżał, tem bardziej urozmaicał się widok. Przy drodze stepowej, która wiodła wzdłuż ponad bałką Kujalnicką, rozpoznał karczemkę. Była to zwykła stepowa „ziemlanka“, chata w ziemi wykopana, o ostrym, spadzistym dachu, w jedną stronę pochylonym, na którym bujna samosiejna rosła trawa, już w słońcu, jak cały step, spalona. W trawie wygodnie leżały kozy i na tłum, kotłujący się przed karczemką, patrzyły obojętnie. Karczma była obszarpana, odarta i wyglądała jak żebraczka. Przy niej ani listka zielonego, ani nawet karłowatej akacji, która najchętniej w zgodzie ze stepem żyła. Było coś w jej całym wyglądzie budzącego współczucie i odrazę i niby litość. Nazwa „Parszyweńka“, którą jej czumacy nadali, była jak przylepiona do niej.

Ale miała i wielką zaletę, którą podróżni wysoko cenili: studnię o kilkadziesiąt kroków tak obfitą, że nigdy w niej wody nie zabrakło, choćby tysiąc wołów naraz wodę piło. Długie na trzy sążnie koryto lipowe mogło naraz dwadzieścia wołów przy sobie pomieścić. Dzięki tej studni, wałki czumackie wołały kierować się górą stepem, niż ciągnąć bałką Kujalnicką, gdzie woda nie była tak zdrowa ludziom i wołom, jak obok Parszyweńkiej.

Ledwie rząd rosyjski postanowił założyć miasto przy tureckim porcie Chadżybejskim, ledwie poczęli ściągać się ludzie do osady, przywędrował także i żydek z Bałty i na stepie, przy samym prawie bocznym wylocie z bałki Kujalnickiej na step, zbudował, a raczej wykopał karczemkę. Podróżni, z powodu jej mizernego wyglądu, odrazu ją nazwali Parszyweńką. Ale Pan Bóg tej Parszyweńkiej dał szczęście. Siedział tu niepozorny żydek Herszko, nazwiska nie miał. Burlacy stepowi dali mu nazwisko, nie mniej pieszczotliwe, niż karczmie: Parszywy. Z czasem imię zatartało się, a pozostało tylko nazwisko. Długo czas siedział

tu z żoną i dwoma bachurami, a wodę musiał beczką z bałki wozić. Step nie należał jeszcze wtedy do nikogo. Herszko pobudował się, a raczej wkopał się na nim, i—siedział. Trzymał krowy, owce, pasł, gdzie chciał. Zagarnął stepu może na pół wiorsty dokoła. Nikt go nie ruszał, bo chodziło o to, aby kraj pusty jak najrychlej skolonizować. Człowiek cenił się na wagę złota, ludzie osiadali bałkami, a w step rzadko kto się wychylał.

Kiedys przyszedł do Parszyweńskiej burłaka stepowy—niedobitek kozacki, który wolał włóczyć się po stepie, jak zwierz bez stałego legowiska, niż zapisać się w kozaki potemkinowskie lub uciekać nad Dunaj. Sprzedał żydowi skórę lisa, a dostał za to pół kwarty wódki i bochenek chleba. Wódkę wypił, chleb do torby schował i w step poszedł. Ledwie godzina minęła—wrócił.

— Oj, żyde, żyde! — powiada — czemu ty tutaj studni nie wykopiesz?

— A gdzież tej wody szukać? Step wielki dokoła.

— Woda jest... niedaleko od ciebie.

Herszko zaśmiał się.

— Pewnie, że jest, bo ziemia na wodzie stoi, ale dostać jej — sztuka.

— Ja tobie dostanę. Co dasz?

Żyd myślał, że burłaka żartuje, ale oczy mu błysnęły chciwością. „Jeśli ja będę miał wodę, to wszystkie wałki czumackie, które jadą na jeziora po sól i rybę, nie bałką pojadą, ale stepem koło mojej karczmy. Woda przy karczynie — oj, oj, oj!” — cmokać z radości począł.

— Dostań! Będziesz miał u mnie do końca życia kawałek chleba.

— Udawys ty swoim chlibom! Daj mnie hroszy, ja chleba kupię.

— Od każdego wiadra po groszu będziesz brał.

— Dobrze.

Było to wczesną wiosną, — ledwie trawa poczęła zielenieć.

Burłaka znikł nagle. Herszko już zapomniał o nim i o studni, gdy nagle kozak przyszedł do Parszyweńskiej z towarzyszem.

— Dawaj horiłki, żyde! zaczniemy kopać studnię.

Ale Herszko był ostrożny.

— Nu, jak zaczniecie kopać, będzie i horiłka.

— Dawaj ryskali, pohana wirol

Zabrali ryskale i w step poszli. Chodzili, stawali, rozmawiali, wreszcie zaznaczyli czworobok po pięć sążni na każdą ścianę i zaczęli kopać.

Żyd żartował:

— To będzie nie studnia, jeno stawok... a bude ryba — ha?

— Czekaj, bisowa wirol, do zimy!

Zapuszczali się coraz głębiej. Żyd kupował drzewo, robili rusztowanie. Już ze dwa sążnie wkopali się, gdy pokazała się wilgotna ziemia, znak nieomylny, że i woda jest niedaleko.

— Studnia z wodą na stepie to studnia z pieniędzmi — mówił Herszko do żony — tylko czerpać.

Radość w Parszyweńskiej zwiększyła się, gdy pewnego dnia burłaka przyniósł żydowi radosną nowinę, że nie dalej jak o wiorstę cd karczmy jest kamień muszlowy, ale lepszy, niż ten, który biorą do budowy domów koloniści, bo twardy. To ułatwiało robotę, bo drzewo było i kosztowne i zdaleka trzeba je było sprowadzać.

Wreszcie we wrześniu pokazała się woda — po siedmiu miesiącach kopania. Herszko mało ze skóry nie wyskoczył z radości. Woda buchnęła odrazu z taką siłą, że nawet robotę utrudniała, ale źródła były ze wszystkich stron. Teraz już żyd nie żałował pieniędzy. Sprowadził robotników i obmurowali studnię, która stała się prawdziwie złotodajną dla Herszka.

— A cóż się stało z burłaką?

Żyd dotrzymał słowa. Pozwolił mu brać po groszu od wiadra wody, ale burłaka wszystkie te grosze przepi-

jał u Herszka. Usłużny żyd wlewał w niego gorzałki, ile tylko zażądał, bo koniec nie trudno było przewidzieć. Im prędzej zapije się na śmierć, tem rychlej wszystkie dochody ze studni wpadną do kieszeni żydowskiej.

Burłaki już dawno nie było, tylko studnię czumacy nazywali burłacką.

Skąd wpadł na pomysł wykopania tu studni ten włóczęga stepowy? Idąc kiedyś z bałki w step, spostrzegł źródelko pod górą, nachylił się, czerpał dłonią wodę i pił dosyta. Napiwszy się, powędrował prosto przed siebie. O dwie wiorsty może od tego miejsca stała Parszyweńka — wprost jak strzelił.

— Musi tu być niedaleko woda, skoro z jaru wypływa — pomyślał.

I oto był początek burłackiej studni i początek za-
możności, a później bogactwa Herszka. Starego Herszka już dawno nie było. Siedział syn jego i zbierał pieniądze. Prowadził wielki handel pszenicą w Odessie, miał własny kantor, ale brat jego mieszkał w Parszyweńskiej i zbierał po dwa grosze od każdego wiadra wody.

Taką miała historję przydrożna niepokazna karczma stepowa. Im bardziej się ku niej zbliżał Tadeusz, tem wyraźniej przedstawiał mu się widok, który miał przed sobą. Nie wiedział jeszcze wówczas, że założycielem dynastji, królującej w tej maleńkiej karczemce stepowej, był Herszko Parszywy. Na szyldzie jednak odeskiego kantoru widniało wielkimi literami wydrukowane nazwisko założyciela Parszyweńskiej: Magnus Goldweitzer und Söhne. Dlaczego „Magnus“ i „Goldweitzer“? Tego nikt nie wiedział. Było to tajemnicą kantoru. W domu żona i przyjaciele Magnusa nazywali poprostu Moszkiem, a złożone z dwóch wyrazów nazwisko świadczyło chyba o tem, że pszenicę mieniał na złoto. Wiedzano tylko, że Srul z Parszyweńskiej bywał częstym gościem w kantorze Magnusa i że pokrewieństwo łączyło dostojnych współników.

Słońce co tylko było zaszło, gdy Tadeusz dotarł do Parszyweńkiej. Z pośród otaczającego ją tłumu ludzi, koni, bydła, wozów dolatywał coraz wyraźniej szum jakiś, który w jeden strumień wszystkie głosy ludzkie połączył. Było w tem coś podobnego do szumu dalekiej wody, do pomruku roju pszczelego, który już dostał młodą matkę i wraz z nią chce w świat wylecieć. Szum ten jednostajny przerywał odgłos piszczałki lub jakiś wykrzyk dziki, urwany, który wybił się w górę ponad inne głosy i rozplynał się w powietrzu.

Mnóstwo bydła, ludzi, koni tłoczyło się w dwóch punktach przeważnie: koło „ziemlanki“, otoczonej zewsząd ludźmi i wydającej się niby odosobniona baterja, do której wszyscy z hałasem szturm przypuścili, i koło studni. Olbrzymi żóraw, pochylony nad nią, co chwila skrzypiał i podnosił się do góry z pełnem wiadrem, a przy studni stał pejsaty żydek, wyrostek może osiemnastoletni, i wiadro przytrzymał wiszące na drągu, pełne wody, nerwowym, drżącym ruchem ręki, w którym wyrażała się jakaś łapczywa chciwość. Przy pustem korycie tłoczyły się woły, poszturchując się rogami.

— Lej, żydzie! — wołał jakiś osmolony czumak.

— Nu, co to „lej“? A hroszy? Ile wiader?

— Dziesięć! Masz hrywennyk!

Tkał mu w ręce małą monetę srebrną.

Żydek wrzucił ją do kieszeni pod chałatem takim samym gorączkowym ruchem, jak wszystko robił.

— Chodźcie ciągnąć! — wołał. Co? Ja wam ciągnąć będę? Prędzej! Widzicie, ludzie czekają!

Zaskrzypiał żóraw przy studni, połała się woda. Jedno wiadro po drugim wlewano do koryta. Nagle żydek krzyknął:

— Hodi! Dziesięć już!

— Breszesz, pohany, osiem dopiero.

Żyd wrzeszczał:

— Dziesięć! Dziesięć! Ja liczyłem dobrze. Prawda? — pytał stojących.

— Breszesz! Osiem! — krzyczano z tłumu.

Kłótnia zakończyła się nareszcie. Przystąpiła druga walka czumacka — znowu żóraw skrzypiał, znowu kłótnia, aż dopóki ostatni wół nie napił się wody. Wtenczas żydek zamknął drąg od żórawia na kłódkę, to samo zrobił z nakrywą od studni i wsunął się jak do piwnicy do Par-szyweńkiej.

Litościwy Magnus Goldweitzer und Söhne, ażeby ludzi nie pozbawić wody, w nakrywie studziennej pozostawił obszerny, okrągły otwór, ale takiej wielkości, że mogło wejść do niego tylko małe naczynie do czerpania wody. Kto chciał bydło poić, musiał płacić od wiadra.

Koło karczemki istny bazar, jak w porcie. Wszystko tu było, czego dusza czumacka zapragnąć mogła. Nad prostym stołem, nad którym rozpięte były szaragi, wisiały rzemieńne i konopne batogi pięknie plecione, z guzami już nawiązanymi, aby oszczędzić czumakowi trudu nawiązywania, w smole już wykąpane lub jeszcze oczekujące kąpieli; obok nich rozwieszone postronki, „nałykacze“, tasiemki różnobarwne. Na stole leżały szydła, igły, nici, paski do spodni, noże; obok stołu — maźnice już smołą napełnione, na dowód, że nie przeciekają, ogromny ceber z mazią lub dziegciem, w którym pływał oblepiony muchami czerpak drewniany, mieszczący kwaterkę. Opo-dal — na jednej kupie kawony, na drugiej — melony, a tuż obok rozcięty kawon nęcił spragnione usta karminową barwą swego mięszu, przekrojony melon pokazywał przechodniowi swoje złociste ciało, iskrzące się kryształami cukru.

Przy kramiku stała tłusta żydowica i ochrypłym głosem zachęcała do kupna, wyliczając po kolei wszystko, co tylko miała na stole, pod stołem, na wieszadle.

— Batogi, oczkury, zaścieżki, noże! — krzyczała gorączkowo.

Siadała nerwowo na stołeczku tuż za swoim kramikiem, zrywała się z niego również nerwowym ruchem i znowu krzyczała:

— Smoła, maźnice, dziegieć, kwaczel! Kupujcie! Kupujcie!

Znowu przysiadła, znowu wykrzykiwała zmęczonym, chrypliwym głosem, wyliczając i chwając wszystko, co posiada.

Ten i ów osmolony czumak w wysokiej baraniej czapce lub w „brylu“, kapeluszu samodzielnym, połamany w bójce, wypłowił od słoty, z kurzem na ronie, z przyklepanem denkiem, lekceważąco, obojętnie, milcząc przypatrywał się skarbowi, rozwieszonym na szragach, raczej z ciekawości, niż w chęci kupna. Wówczas tłusta żydówka znowu zrywała się ze stołka i śledziła bacznie, na jakim punkcie zatrzymają się oczy czumaka; chwyciła konwulsyjnie batóg, rzemień, nóż, podsuwała pod oczy czumaka i swoim chrypliwym głosem wykrzykiwała:

— Kupujcie! Kupujcie! Takiego oczkura w Ananjewie nie znajdzie! Takiego noża w Odessie nawet niema!

Rozwijając przed oczyma czumaka długi rzemienny oczkur, pokazywała nóż, składała go, otwierała, znowu składała.

— Prawdziwy stalowy... a sprężyna jaka! O, o, o! — patrzcie!

Trzaskała sprężynką w oczach czumaka, który patrzył na te wszystkie zabiegi milcząco, spokojnie, obojętnie i, nie rzekłszy ani słowa — odchodził.

Przy innym kramiku wywiązała się kłótnia o cenę jakiejś drobnostki, ze strony żyda gorąca, namiętna, nerwowa, krzykliwa, połączona z rzucaniem się na wszystkie strony, jakby go pszczoły kąsały, ze strony czumaków — spokojna, zimna, ale w dosadnych bardzo wyrazach wypowiedziana, które, zwyczajem ruskiego chłopca, znieważały nie tego, który się kłócił, lecz — jego matkę.

Równie ożywione towarzystwo skupiało się koło stołów kawonów i melonów. Ten i ów przychodził, brał z kupy, co mu się podobało, oglądał, ważył w rękę, naciskał obiema dłońmi i przykladał do ucha, nasłuchując szmeru wewnątrz, żeby miało dowodzić, że kawon jest soczysty i cukrzysty.

Grupka czumaków otaczała stosy kawonów i melonów, za którymi stał kacap brodaty w czerwonej koszuli na spodnie opuszczonej i jednostajnym, spokojnym, zimnym głosem powtarzał:

— Chersońskie kawony! Prawdziwie chersońskie! Po-probujcie!

Na dowód doskonałości tkał każdemu zbliżającemu się do kramu w rękę kawałeczek różowego, soczystego kawona, powtarzając nieznośnie:

— Chersońskie kawony! Prawdziwie chersońskie! Po-probujcie!

Tadeusz kręcił się czas jakiś w tym tłumie, nasłuchując, czy kto nie jedzie w stronę Tetyjowa, Wołodarki lub Białej Cerkwi, ażeby się do Żywotowa mógł dostać.

Zmęczony trochę, znużony i spragniony, zbliżył się do kupy kawonów, przy której stał kacap, ażeby kupić.

Wybrał na oko niewielki kawonek.

— Co to kosztuje? — zapytał.

— Dwie kopiejki — krzyknął Moskał.

Ktoś z grupy czumaków, przyglądając się kawonom, odezwał się:

— Drogo! Na bazarze w Odessie po kopiejce były.

Kacap odciął się jak z noża:

— Jedź do Odessy i kup sobie!

Mimo wszystko Tadeusz nie targował się. Wyjął z kieszeni dwie kopiejki miedziane i w rękę wetknął kacapowi milcząco.

— Spożywajcie na zdrowie! — posłyszał w odpowiedzi.

Trzymając w rękę kawon, Tadeusz rozglądał się, gdzie-by usiąść i zabrać się do spożycia. Rzucił okiem na stu-

dnież — już tam nie było nikogo. Woły czumaków, napojone, pasły się już w stepie. Podążył więc do studni i na zrębie koryta usiadł. Wydobył nóż, odkroił kawałek kawona i jeść począł.

W tym tłumie czuł się osamotnionym i smutnym. Te kości rozrzucone po stepie, o które kruki i wrony staczały walki, tu i tam wznoszące się ponad trawą stepową niewielkie kopce ziemi, w które przyjazna ręka na ostatnie pożegnanie krzyżyk wetknęła — wszystko to wywoływało w nim nastrój posepny. Połykał powoli, bez smaku kawałki kawona dlatego tylko, że był spragniony, że pełne usta jeszcze miał kurzu i pragnął je odwilżyć trochę. Jeszcze nie spuszczał oka z tego ludzkiego mrowiska, kłębiącego się koło lichej stepowej karczemki. Patrzył, a przed oczyma jego rozsuwała się przeszłość.

— Taki obszar, taka potęga, tyle skarbów — wszystko zmarnowane! Od morza do morza sięgała niegdyś Polska — i utraciliśmy wszystko. Na północy odpędził nas Krzyżak, środek zabrał chciwy i dziki Moskal, od morza, niewiadomo nawet kiedy, odsunął nas Tatarzyn i Turek, stepy aż po Oczaków wymknęły się nam przez niedołęstwo... Wszystko zmarnowane! Piaskiem zasypane te miejsca, gdzie Witold na koniu wjeżdżał, mącąc morskie fale spienione; na dziedzictwie Jazłowieckich i Buczaackich rozparł się kacap z kawonami, osiedlił się żyd-karczmarz, pajak stepowy, tarantula, który w ziemi gniazdo sobie wygrzebał i stamtąd łapy chciwe dokoła wyciąga; na Chadżibeju, skąd niegdyś Carogród polską pszenicą się żywił, rozbrzmiewają wszystkie języki świata, tylko język starych dziedziców tej ziemi odżywa się trwożliwie i cicho... Czyż ty, ziemio bogata, w którą tyle krwi polskiej wsiąknęło, na zawsze już stracona dla Polski? Czyż brudny pastuch mołdowański, który tu zawędrował z owcami i bydłem, czyż burlaka stepowy, przepijający ostatnią koszulę u żyda, zapomnieli już na zawsze imienia Polski?

Noc już zapadała. Na niebie poczęły ukazywać się gwiazdy. Hałas przed Parszyweńką zmniejszał się. Towary z kramików żydowskich spoczęły w skrzyniach; kaczap nakrył swoje kawony i melony oponą konopną i pod wozem stojącym obok, jak pies, położył się na straży. Zdała na stepie błysnęły ognie. To czumacy, obsiadłszy wkoło ognisko, warzą sobie kulisz, leżą na brzuchach, głowy do ognia zwróciwszy, i pykają z nieodstępnych lulek swój bakun zielony. Rozmawiają, śmieją się, żartują.

I Tadeusz o spoczynku myślał. Nic innego nie pozostawało, jak wprosić się na nocleg do Parszyweńskiej lub przysiąc się do jakiego ogniska czumaków, a rankiem rozpyta, czy kto w jego stronę nie jedzie. Zdecydował się prosić o nocleg czumaków. Wolał przespać się pod gołym niebem, niż w niechlujnej karczmie.

Powoli poszedł w step, kierując się ku najbliższemu ognisku czumackiemu.

Zatrzymał się przed jednym. Istny obóz. Szerokiem półkolem zatoczone wozy pozostawiały tylko tyle wolnego miejsca, że niby przez bramę wejść można było do środka. Daleko pasły się woły, a od stepu wiatr nocny przynosił odgłos śpiewów monotonnych, żałosnych — znak, że straż czumacka czuwa. Wszedł przez tę bramę i powitał leżących głosem:

— Sława Bohu!

— Słowa Bohu! — odpowiedziano mu chórem.

— Ale nikt pozycji swojej leżącej przy ognisku nie zmienił, tylko badawcze spojrzenia skierowały się ku niemu.

— Czy pozwolicie, panowie czumacy, przenocować koło was?

— Prosimy — odezwało się kilka głosów.

Inni, jak gdyby zmiarkowali, że decyzja nie od ich woli zależy, odezwali się:

— Jaka wola pana atamana, taka i nasza.

W tej chwili powstał od ogniska starszy już czumak z siwiejącym wąsem i zapytał:

— A skądże Pan Bóg prowadzi i dokąd?

— Z Odessy idę... po służbie.

Istotnie dość skromne ubranie Tadeusza świadczyło o prawdzie.

— Jakiejże to służby szukacie?

— Organistą jestem.

Mało kto wiedział, co to za godność. Ataman wytłumaczył:

— To tak, jak djak u nas... w cerkwi śpiewa.

Egzamin widocznie zadowolił atamana wałki, bo dodał:

— Siadajcie koło ognia i spróbujcie naszego kuliszu.

Tadeusz zbliżył się do koła. Czumacy ścisnęli się, aby miejsce zrobić. Podziękował i usiadł, przykucnąwszy po turecku.

Gdy już siedział, ataman zwrócił się do jednego z czumaków:

— A weźcie-no, Hryńku, ze dwie taranie i wrzućcie do kociołka, aby nasz kulisz smakował gościowi.

Właśnie woda zaczęła bulkotać w kazanku.

Posłuszny Hryńko, nie opłókawszy nawet wodą, wrzucił taranie do kociołka, wiszącego na wysokim trójnogu z żelaznych prętów, złączonych u góry kółkiem, które umożliwiało ustawianie trójnoga na dowolną szerokość.

— A w którą stronę za chlebem idziecie? — pytał ataman.

Tadeusz pokorną minę zrobił.

— Chciałbym się dostać albo do Białej Cerkwi, albo do Wołodarki. Mówią, że tam panów dużo i kościoły są.

— Kościoły są i panków niemało — potwierdził ataman.

— To naszej wałce jak raz po drodze — ktoś się odezwał.

— Tadeuszowi radośniej uderzyło serce.

— A dokądże wy jedziecie?

— Do Małego Żywotowa.

Ucieszył się ogromnie, ale nie zdradził się ze swoją radością. Udał, że nie wie, w której to stronie.

— Gdzież to ten Mały Żywotów?

— Jak miniecie Lipowiec, to w bok trochę od szlaku na Skwyre — jedna droga idzie na Skwyre, a druga na Mały Żywotów, Wielki Żywotów, Bohajówkę, Tetyjów, wprost na Wołodarkę i Białą Cerkiew. Tą drogą i do Kijowa dojdziecie.

— Byłem tam kiedyś, ale bardzo dawno — nie trafiłbym.

Wiadomość ta uczyniła go rozmowniejszym i śmielszym.

— To wy do samej Białej Cerkwi jedziecie? — dopytywał się.

— Ba, ni, do Żywotówki. Odwieźliśmy pszenicę, a kupili tarani.

— Na sprzedaż?

— Dla pana. Wysłał naszą walkę przodem... w drodze gdzieś dogoni...

Jakby na uzupełnienie tych słów, dodał:

— Żwawyj panok! I z ziemi, i z wody pieniądze wyciągnie. Jakoś bo i nazywają go dziwnie. Żona zawsze klucze do niego: „ty bury! ty bury!”

Czumacy zaśmiali się chórem, a rozmówca ciągnął:

— Niebardzo on bury, ale czarny jak cygan. Nie jest to pan z panów, ale z Iwana pan.

Oczywiście, nastęrczała się Tadeuszowi okazja odbycia dalszej podróży razem z czumakami. Nie poruszał wszakże tej kwestji, ażeby nie budzić podejrzliwości i nie zdradzić się ze swoją radością. Począł więc wypytywać dalej:

— A jeszcze tam kościół w waszej Żywotówce?

— U nas niema, ale pięć wiorst dalej, w Żywotowie jest.

— Jakże to tak jakoś jednakowo nazywa się? — pytał niby naiwnie.

— Bo to taki do jednego pana należy... i nazywa się po swojemu — Żywotowski... Stary Lach — dodał — jego praojce od kozackich czasów tu siedzą.

Chcąc do wyznań zachęcić, spytał Tadeusz:

— A nie krzywdzi was?

— Nie. Bogiem a prawdą powiedziaławszy — nie. Dobry Laszok! Nie skąpy i w biedzie poratuje — czy skoty-
na komu padnie, czy chałupa się spali, to i parę bycz-
ków podaruje i chatę postawi...

Tadeusz, niby niechcący, wtrącił:

— Szkoda tylko, że to ziemia nie wasza...

— Ziemia nie nasza — to prawda... Mówią, że kiedyś
była niczyja, kto ile chciał, tyle brał... Chłop, zwyczajnie
głupi, wziął tyle, ile mógł zaorać i zasiać, a pan zagarnął
dużo. Śmiał się chłop z pana, że rady sobie nie da, a te-
raz pan z chłopą się śmieje...

Ugotował się kulisz. Zaprosili i Tadeusza do wie-
czerzy.

V. Z CZUMAKAMI.

Gdy już kulisz spożyli, pozapalali fajki, ten i ów do
swego wozu poszedł; niektórzy jeszcze leżeli przy ogni-
sku. Leżał i ten, który Tadeuszowi informacji co do ko-
ściołów udzielał i jechał z innymi do Żywotówki. Zamoż-
ny chłop i choć się z poddaństwa nie wykupił, ale miał
zastępcę, a sam czumakował, wożąc pszenicę do Odessy,
a stamtąd sól z limanów i taranię suszoną na słońcu.
Z trzema parowicami chodził.

Wstał wreszcie i czumak z Żywotówki. Podniósł się
i Tadeusz, rozglądając się, gdzieby znaleźć miejsce i przy-
tulić się, aby podnocować, a chłód wieczorny już się
czuć dawał. Ubrany był lekko, a noce były chłodne.

Czumak zagadnął:

— A gdzież wy będziecie nocować?

— Koło ognia przeleżę jakoś.

Rzucił okiem na jego lekkie ubranie.

— My po czumacku... pod wozem... zawsze cieplej.
Do Tadeusza zwrócił się:

— Chcecie, to chodźcie... prześpimy się razem... mój wóz niedaleko.

Tadeusz, ogromnie uradowany, podziękował czumakowi.

Poszli w kierunku stojących szeregiem wozów.

— A jakże was zwać? — zagadnął Tadeusz — abym wiedział, komu dziękować.

Czumak obojętnie rzucił:

— Semen, taj hodi.

Zbliżyli się do wozu. Semen wydobyl płachtę i rozścielił na ziemi.

— Tu zawsze lepiej, jak przy ogniu.

Spojrzał na lekki kabacik Tadeusza.

— Będzie wam zimno... poczekajcie... mam tu zapasną czuhainę.

Ściągnął z wozu świtkę i wetknął w ręce Tadeusza.

— A teraz spać, bo czut' świt walka wyruszy w drogę.

Przeżegnał się głośno zamaszystym krzyżem i wsunął się pod wóz. Za jego przykładem poszedł Tadeusz.

Zmęczony pcdróżą, zasnął mocno, jak się często zaspia w pierwospy. Koło północy zerwał się nagle — zbudziło go pianie koguta. Słyszac przez sen, zdało mu się, że jest na wsi, ale rzucił okiem na niebo, wzrok jego spotkał się oko w oko z nachylonym łbem Niedźwiedzicy i oprzytomniał.

Szmer zbudził i czumaka.

— To mój „piweń“ już się wyspał i daje znać o sobie... ale jeszcze do rana daleko.

Ledwie świt począł szarzeć, ten i ów zerwał się i poszedł w step po woły, aby je co rychlej napoić i uniknąć ścisku.

Wstał i Tadeusz i poszedł umyć się do studni razem z Semenem.

— Za umywanie się żydzicha hroszi ne berè! — rzekł po drodze Semen.

Umyli się.

— Teraz muszę podziękować ątamanowi za kulisz i za gościnę i w drogę ruszać trzeba, póki chłodek, to się dobrze idzie — zauważył Tadeusz.

— To prawda, ale jeśli chcecie, to was podwiozę aż do Lipowca.

— Dziękuję bardzo.

— Lepiej jechać, niż chodzić — dorzucił czumak półżartem, — bo i nogi całe i buty całe.

— Święta prawda...

Spojrzał Tadeusz na swoje buty już dobrze podchodzone i uśmiechnął się z zadowolenia, że je oszczędzić może.

Posmarowano osie, opatrzone koła, czy obody całe, i wałka, wyciągnawszy się w jedną linię, ruszyła stepem.

Semen i Tadeusz jechali na jednym wozie, a stąd i rozmowy dłuższe ich zbliżyły. Tadeusz nie wystąpił nigdy z roli organisty. Był zatem także w oczach czumaków robotnikiem, nie pańszczyźnianym wprawdzie, ale pracującym na chleb powszedni. W oczach chłopca każdy „pan“ jest próżniakiem; za pracę uważają tylko zajęcie ręczne.

Nagadali się dowoli, siedząc obok siebie. Gdy się nadarzyła w stepie jaka kańczemka na wzór Parszyweńskiej (inne zdarzały się chyba na wielkich krzyżujących się traktach), Tadeusz zapraszał czumaka na kieliszek gorzałki. Czumak nie odmawiał nigdy, ale po każdym poczęstunku dzielił się z Tadeuszem chlebem, solą i surową słoniną, którą we dwójkę, siedząc na wozie, spożywali. Woły szły równo, spokojnie, cicho. Słońce doskwierało z góry, tylko step równy i bezdrzewny kędyś daleko na horyzoncie kończył się wiszącą nad nim blado-siną mgłą.

Rozmowa coraz była żywszą, coraz inną. Semen, z początku ostrożny i nieufny, powoli stawał się coraz rozmowniejszym i szczerzym, a Tadeusz zrećźnie na tę szczerść go wyciągał.

W miłej gawędzie minął dzień cały. Noc spędził znowu pod wozem z Semenem, a przy wspólnem ognisku zajadał kulisz jaglany razem z innymi. Stał się niby czemś nieodłącznem od wałki, jak kogut siedzący na wozie i wykrzykujący godziny wypoczynku. Przez wdzięczność za gościnność, Tadeusz rano i w południe pomagał smarować maże czumackie i znosił badyle burzanów na rozniecenie ogniska pod kulisz.

Wzajemna usłużność i wspólne życie zbliżało go coraz bardziej do czumaków. Gdy już ich dobrze usposobił, postanowił wybadać, co też myślą o wolności i o tem, co się dzieje.

Rozglądając się po stepie, odezwał się, niby sam do siebie:

— Tyle ziemi dał tu wam Pan Bóg, że tylko siał i orać.

Zamilkł, czekając odpowiedzi czumaka. Czumak milczał — jakby się wahał z odpowiedzią.

Tadeusz głową pokręcił.

— Tyle ziemi! — powtórzył.

Czumak nie wytrzymał.

— Ziemi dużo, ale czort wie, czyja — odezwał się niechętnie.

— Ludzka... — wtracił Tadeusz.

— Ludzka, ta nie nasza — odburknął Semen.

— Jakto nie wasza? — niby zdziwiony, zapytał Tadeusz.

— Car porozdawał swoim generałom... sprowadził tu Niemców, Mołdowanów, Serbów, żydów nawet, a oni, zamiast orać — świnie tu wypasają i woły.

Tadeusz westchnął.

— Taka to sprawiedliwość na świecie — wtrącił niby od niechcenia.

Rozmowa urwała się. Czumak widocznie lękał się wypowiedzieć, co myśli. Tadeusz czekał z ostrożności, aby się nie narzucać. Jechali w zamyśleniu. Ażeby jednak na rozmowę wyciągnąć czumaka, odezwał się znowu, niby na wiatr rzucając słowa:

— Oj, hulali tu kiedyś kozacy, hulali!

Znowu milczeli. Wreszcie czumak odezwał się niechętnie:

— Bułò — ta propało!

Tadeusz nie odpowiedział zrazu, ale odgadnął, że znalazł właściwy punkt zahaczenia dla wyciągnięcia czumaka na rozmowę.

Po chwili zagadnął znowu:

— Prawdę powiedziawszy, to ja się zlaszył. Dziad mój był kozakiem w Korsuńskim kurzeniu, jak Moskałe Sicz rujnowali... Jedni uciekali do Turka, a drudzy nad Kubań... ci mieli rozum, bo dostali ziemię; a dziad mój (niech mu będzie królestwo niebieskie!) do Polski powędrował, siadł pod Śmiłą, jak Potiomka ziemię rozdawał, i zaraz się z Laszką ożenił; a po matce i my się polaszyl. Ale — zamyślił się przez chwilę i dodał — chciałoby się do dawnych czasów wrócić.

Takiem przyznaniem się do krwi kozackiej zjednał sobie zupełnie czumaka.

Semen westchnął.

— Hej, hej! Kozacka wolność nie wróci się — rzekł. Prawda, że kozacy bili się z Lachami, ale za kozackimi samopałami chłop brał ziemi, ile chciał, podatków nie płacił, budował się, gdzie chciał... woły w stepie hodował, konie także... najmita trzymał i raz na tydzień poryślał go na pańszczyznę — i tyle. Wszystkiego było wbród...

Tadeusz podpowiadał:

— Nikt nie wiedział, co to na szlaku stanowy i sprawnik... wszystko to moskiewskie porządki.

— Święta prawda.

— Tak, tak — przytakiwał Tadeusz — jakby nie Moskałe, toby i pańszczyzny nie było. Oni to wprowadzili pańszczyznę, a panom się podobała i trzymają się jej.

Czumak skinieniem głowy milcząco potwierdzał te słowa. Tadeusz ciągnął dalej:

— Kto wie? Ludzie powiadają, że panowie chcą uwolnić chłopów od pańszczyzny, ale car nie pozwala, bo z tego ma dochody.

Semen zaprotestował:

— Albo to prawda? Jak wilk tłustą owcę uchwyci, to nie wypuszcza jej z zębów dobrowolnie — prawda?

— To, to prawda. Ale Moskał i panom sadła za skórę nalał, nic dziwnego, że chcieliby się go pozbyć. Może to dlatego i ziemię chcą oddać chłopom, aby razem z nimi Moskali się pozbyć. Jeśli to tak — to możeby i dawna wolność wróciła.

— Dobrze to głodnemu o chlebie bałakać!

Ażeby się nie zdradzić z natarczywością, Tadeusz zamilkł.

Jechali jakiś czas w milczeniu. Tadeusz myślał o tem, w jaki sposób rozpocząć rozmowę na nowo, ażeby wybadać, co też na dnie chłopskiej duszy leży. Spostrzegł daleko zrywające się stadko wron, które żerowały widocznie na jakiejś padlinie.

— Ot, — rzekł niedbale — taka głupia wrona, i ta ma wolność, leci, gdzie chce; a człowiek, niby na podobieństwo Pana Boga stworzony, siedzi w niewoli...

Zamilkł. A po chwili, niby z akcentem przekonania, dodał:

— A ja powiadam: to nieprawda, co ludzie mówią, że chłop durny jak wrona, bo pan durniejszy od chłopca — i sam cierpi, i chłop koło niego cierpi. Gdyby miał rozum, to dałby chłopu wolność, powiedział: „Bierz sobie ziemię, ty ją orzesz, ty siejesz — niech będzie twoja; ale bierz kosę do ręki i chodźmy razem na Moskale — on

i ciebie i mnie za łeb trzyma. Wypędzimy go razem — i tobie i mnie będzie dobrze“.

Semen wysłuchał milcząco i zauważył spokojnie:

— Może to byłoby i dobrze... ale wszystkiej ziemi pan nie odda...

— A wy oddalibyście daremnie wszystko, co macie?

— Nie — zaprotestował czumak.

— Pan także żyć musi... ziemia wszystkich karmi.

— Co prawda, to prawda.

— Niech pan odda połowę tego, co ma, to i ludzie będą mieli dosyć, i jeszcze zostanie — prawda?

— Prawda, ale gdzież wy takich panów znajdziecie? Panowie toby się może jeszcze znaleźli, ale im przeszkodzą komisarze i ekonomy, bo oni ze skóry chłopskiej żyją.

Tadeusz, widząc wahanie się Semeną, zapalał się:

— A ja wam powiadam, że przyjdzie czas, kiedy sami komisarze powiedzą: niech ta ziemia, którą każdy z was orze, będzie waszą; ale trzeba wypędzić Moskala, bo póki on tu siedzi, nie będzie w kraju wolności.

Czumak rzekł zamyślony:

— Możeby i poszli... kto wie? Chłop na ziemię łakomy.

Po chwilce zagadnął chytrze:

— A z pańszczyzną coby było?

— Gdyby ziemię podarowali, to pańszczyznaby znikła. Ale kto wie, czy co byłoby z tego?

— Z czego niby?

— Z tego, że gdyby chłop ziemię durnyczką dostał, to razem z panem poszedłby precz pędzić Moskwę.

Czumak głową pokiwał:

— Straszno... Moskal — to siła.

— Prawda, że siła... ale gdyby chłop z panami zebrali się razem...

Zaśmiał się przymusowym śmiechem.

— Ale gdzie tam! Czy to możliwe, aby chłop z panem razem szli?

Zamilkł i czekał odpowiedzi.

Czumak rzekł z pewną mocą:

— Gdyby panowie naprawdę ziemię dali i wolność, to pójdą — bihme pójdą! Słyszę ja nieraz, jak starzy ludzie w karczmie gadają: pierwej tu był pan, niż Moskał... Nie pan przyszedł do Moskala, ale Moskał do pana... Jak przyszedł, tak i pójść może... Kto go nie prosił, ten i wyprosić może...

— To wy myślicie, że chłop poszedłby z panem na Moskala?

— Jakby tak było, jak mówicie — toby poszedł. Nie kto inny, tylko Moskał i pana i nas za łeb trzyma.

Tadeuszowi serce rosło, gdy słuchał tej mowy. Uderzała ona w ten sam ton, który i w jego odzywał się sercu. Cieszył się w głębi duszy, że pomyślną wieścią będzie mógł podzielić się z Centralizacją paryską.

Wybadywał więc czumaka dalej.

— Takich rozumnych, jak wy, to chyba niewieluby się znalazło.

— Hej, hej! Oby tylko rusznicę w ręce dali, a szablę ostrą! Starzy powiadają: „Źle było z Lachami, tośmy się bili; ale z Lachami to człek był wolny... Czeladź gorzelniana i różni hołodniańcy rabowali... to prawda... rabowali Gonta i Żeleznik — drabów nigdy nie zabraknie; ale gospodarz, co na roli siedział, miał wszystkiego dowoli i nikt go na pańszczyznę nie ciągnął“... Starzy jeszcze ochotniejsi od młodych, bo młode lata pamiętają i powiadają: „Co rok to gorzej... Jak się teraz nie upomnicie o wolę, to moskiewską pużkę (nahajkę) wachać będziecie“. Gdyby ktoś tylko krzyknął: razem, chłopcy! — to pójdą.

Tadeusz z zadowoleniem wysłuchał tej mowy, a później dodał niby od niechcenia:

— Aby ochota była, to i ataman się znajdzie.

Rozmowy na ten temat powtarzały się w ciągu dnia. Siedząc na wozie, bałagurzyli ze sobą, ciągle kręcąc się koło tego samego tematu.

Nagle na godzinę jeszcze przed wieczorem wałka zatrzymała się w stepie. Ataman, który jechał na pierwszym wozie i był niejako gospodarzem całej wałki, odezwał się:

— A co, chłopcy, podnocujemy tutaj? Trawa ładna, czaharnik niedaleko — jest gdzie i woły popaść i chmyzu narąbać pod kulisz.

— Dobrze! Dobrze! — odezwały się głosy.

Ataman nawrócił swoim wozem w step, a za nim podążając, zaskrzypiały maże czumackie i za atamanem postępując, poczęły wielkie koło zataczać, zostawiając tylko szeroką bramę do wyjścia. Wyprężono woły, odpędzono na paszę, wyznaczono straż, jaka komu z kolei wypadła, i w pół godziny zapłonęło ognisko. Warzył się przy niem kulisz, leżeli czumacy, palili swoje nieodłączne lulki i rozmawiali. W towarzystwie ich znalazł się i Tadeusz. Oswoili się z nim czumacy i on się z nimi oswoił — zdawało się, że był częstką wałki.

Jeszcze słońce nie schowało się na horyzoncie, gdy już kazanek z kuliszem był wypróżniony. Rozpoczęła się rozmowa o Odessie, o bazarach odeskich, później przeszła na Parszyweńką: opowiadano, jakie to żyd szczęście w stepie znalazł w burłackiej studni; a teraz, nie siejąc i nie orząc, pieniądze zbiera.

Ktoś wyjął „sopiłkę“ — rodzaj fletu bardzo prymitywnie z bżyny urobionego, i pogwizdywał nieskładnie.

— A dajcie-no waszą dudkę! — odezwał się Tadeusz.

Wziął sopiłkę i grać zaczął. Z początku nieskładnie mu szło, ale wypróbowałszy instrument, grał coraz lepiej melodje różnych pieśni ludowych. Próbował najpopularniejszych, jakie znał. Wywoływało to i podziwienie i uznanie. Słuchano bardzo pilnie. Ten i ów, podchwyciwszy znaną melodję, pocichu mruczał słowa ulubionej piosenki.

Tadeusz pogwizdywał na tej dudce to przeciągłe i smutne, jak podróż czumaka, piosenki, to wesołe pi-jackie, a twarze słuchaczy chmurzyły się i pokręcano wą-

sy w milczeniu lub wypogadzały się, gdy Tadeusz w ton burłacki uderzał:

I wmer — ne tużyła,
I żyw — ne lubyła,
W syru-zemlu zakopała,
Niżeńkamy prydoptała...

Gdy się melodja urwała, czumacy w jeden głos krzyknęli:

— Hu-ha! Hu-ha!

Zawtórowano śmiechem powszechnym słowom nie-pocieszonej wdowy, a jeden odezwał się rubasznie:

— Czortową detyna, ne Laszok!

Tadeusz przyjął tę pochwałę obojętnie, a po krótkiej przegrywce wygrywać począł melodję bardzo popularnej pieśni kozackiej. Twarze rozjaśniły się i do wtóru sopiłki huknęły głosy czumackie chórem:

Oj, na hori ta ženci žnut',
A po pid horoju,
Jarom dołynuju
Kozaky jdut'.

A po peredi Doroszenko
Wede swoje wisko
Sławne zaporoske
Choroszeńko...

Już mgła wieczorna osiadać poczęła na stepie, a na niebie począł wysuwać księżyc tarczę swoją bladą, która wkrótce miała rozpaść się i blaskiem swoim step zalać. Głosy czumackie płynęły po stepie z jakimś dzikim akcentem i w dalekiej przestrzeni odbijały się głucho. Tadeuszowi wydało się, że tym stepem maszeruje wojsko kozackie, że ze starym Doroszeńką pod Chocim do Władysława ciągnie z kozakami

Сагајдацны —
Щчо проминіав жінку
За ти́ти́н та́ лу́ку,
Необачны́й.

Wspomnienie przeszłości ożywiło surowe zwykle, zamysłone twarze czumackie. Budziły się w ich pamięci opowiadania dziadów i ojców o przeszłości i może rzeczywiście w duszach tych potomków niegdyś butnych kozaków, zakutych przez Moskwę w pańszczyźnianą niewolę, odzywały się echa lepszej przeszłości. Zadumane surowe twarze świadczyły, że w tych niemych napozór duszach odbywa się jakiś cichy bunt.

Nagle sopiłka zamilkła.

Głowy od ognia podniosły się do góry i wszyscy naraz nasłuchiwać poczęli. Istotnie śród nocy rozlegał się miarowy turkot kół. Po szybkim tempie echa można się było domyślać, że ktoś jedzie dobrimi końmi. Coraz bliżej i bliżej — słyhać wreszcie uderzenia kopyt końskich o suchy szlach stepowy.

— Jakiś panok... — ktoś zauważył obojętnie.

— Dobre konie... — dodał inny — kute...

Po chwili kilka głosów odezwało się:

— Do nas jedzie.

W szarem półświecie widać było długi, dobry szaraban podróżny, we cztery konie zaprzężony, który wprost na ognisko czumackie podązał i zatrzymał się o kilkanaście króków przed wałką. Obok furmana siedział lokaj, a na siedzeniu pańskim jakaś postać, ubrana w białe płócienny bałachon, płaszcz od kurzu, z kapturem na głowę nasuniętym. Gdy się konie zatrzymały, podróżny ostrym głosem zapytał:

— A skąd panowie czumaki?

— Z różnych stron — odezwało się naraz kilka głosów.

— A niema tu czumaków z Żywotówki?

— Są... są...

— Zawołajcie-no atamana!

Wstał od ogniska ataman i do szarabanu się zbliżył. Podróżny, nie zdejmując kaptura z głowy, pytał:

— Wszystko dobrze?

— Dobre, proszę pana.

— Taranię macie?

— Mamy.

— No, to i chwała Bogu — rzekł podróżny trochę wesoło — ja tu z wami podnocuję, a raniutko do domu pośpieszę... Powiem waszym żonom, że wracacie szczęśliwie. Idźcie do swego ognia, panie atamanie, a ja tu niedaleko od was prześpię się.

Szaraban stanął trochę na uboczu. Furman konie wypręgać począł.

— Rozpakuj tłumok, Ignacy! — zwrócił się podróżny do lokaja.

Ignacy jakoś niechętnie brał się do roboty.

— Czy jaśnie pan tu chce nocować?

— A gdzie? Koło szarabanu mi pościelisz.

— Możeby jaśnie pan dalej pojechał? Milka stąd są karczmy Szamrajowieckie... tam byłoby bezpieczniej.

Podróżny zdziwionem okiem rzucił na lokaja.

— Dlaczego?

— Niech jaśnie pan spojrzy, jakie to hajdamackie twarze... Niebezpiecznie między nimi nocować...

Podróżny niecierpliwie rzucił:

— Dureń jesteś! Ściel!

Wyjął kapciuch z tytoniem, nałożył fajkę i poszedł do ogniska, przy którym siedzieli czumacy, aby zapalić.

Któż to był ten podróżny?

Dzierżawca Żywotówki, imię pan Tyburcy Żmijewski, herbu Starykoń. Chłop jak dąb, o zawiesistych wosach, trochę rubasznych ruchach i postaci, która zdradzała niezbyt stare szlacheckie pochodzenie. Wyglądał na ekonomę Tulczyńskiego klucza, który na majątkach Potockich dorobił się własnego majątku, a mając trochę wyższe, niż ekonomiczne, aspiracje, szukał na chlebie posesorskim zbliżenia się do panów-braci, już wcześniej ozdobionych szlachecką koroną ukraińskiego typu. Od kilku lat dzierżawił Żywotówkę, sam woził do Odessy własną pszenicę, dorobił się dużej fortunki i marzył już o tem, żeby awan-

sować na dziedzica. Ażeby się zbliżyć do ekonomicznego marzenia nabycia tymczasem własnej wioski jednej, zanim do niej inne dołączać będzie, i do swoich pryncypałów, z którymi często o polityce mówić wypadało, zaprenumerował sobie „Gazetę Warszawską“, jedyne pismo, które w sprawach europejskich wyroki ferowało. Jakkolwiek krzemieńczanin, miał trzeźwy, prosty rozum małego szlachetki na dorobku, który pozwalał mu płynąć z prądem i być demokratą o tyle, że winowajców raz tylko na tydzień w skórę bijał, a dla pozorów sprawiedliwości sam przy tej operacji asystował, skarżąc się niezmiernie co sobota, że mu to psuje apetyt do klusek. Nie przeszkadzało mu to wyglądać jak bawół i zmiatać kluski z apetytem wilczym.

Zbliżywszy się do ogniska, zapalił fajkę na długim cybuchu, a spostrzegłszy, że czumacy na widok „swego pana“ podnosić się poczęli, skinął ręką po ojcowsku, po błażliwie, dając znać, ażeby nie wstawali.

— Nie wstawajcie! Nie wstawajcie! Odpoczywajcie!— rzekł.

Mimo to wszyscy powstali i otoczyli kołem pana posesora. Pan Tyburcy, herbu Starykoń, rozmawiał z atamanem o tarani, o tem, że podrożała, że pszenica nie tak płaci, jak zeszłego roku, bo więcej nawieźli.

Nagle rzucił okiem na stojącego obok z pokorną miną Tadeusza i zapytał atamana:

— A cóż to za panok?

— Jakiś biedaczysko przyczepił się po drodze i wędruje z nami.

Tadeusz z najpokorniejszą, o ile mógł, miną, ukłoniwszy się trochę niezgrabnie, rzekł:

— Służby szukam, proszę jaśnie pana.

„Jasność“, przyznana wobec wszystkich czumaków, podobała się bardzo panu Tyburcemu i łagodnie go usposobiła.

— A jakiej służby waszeć szukasz?

— Organistą jestem z zawodu, jaśnie panie... uczonym organistą.

Wyraz „uczony“ zaimponował Tyburcemu. Rzekł tedy protekcjonalnie:

— Dobrze, żeś trafił na moich ludzi... możesz być bezpieczny.

— Bogu dziękuję, jaśnie panie, i jaśnie panu.

Pokora wzruszyła pana Tyburcego.

— Jeśliś głodny, chodź waść ze mną, a podzielimy się kawałkiem chleba.

Tadeusz skłonił się pokornie i za panem Tyburcym, który, skinąwszy głową do czumaków, do swego wehikułu podążył, szedł z kaszkietem w rękę.

Przed szarabanem lokaj rozścielił wielki kilim, wyłożył na nim podróżną walizkę, skromnie zwaną „puzderkiem“, ułożył przy niej różne koszyki i stojąc oczekiwał przybycia jaśnie pana. Zbliżywszy się do tej zastawy, pan Tyburcy odezwał się:

— Musisz tu waszeć usiąść po turecku. Siada tak sułtan turecki, to i szlachcicowi polskiemu można i temu, kogo się do równości przypuści.

Tadeusz pokornie głową skinął — godził się i dziękował.

Usiedli obaj: Tadeusz po turecku, a Tyburcy, herbu Starykoń, wyciągnął się jak długi.

— A podajno puzderko! — odezwał się do lokaja, chociaż puzderko stało tak blisko, że ręką mógł dosięgnąć. Lokaj podsunął walizkę.

Pan Tyburcy wyjął z kieszeni kluczyk, który wisiał na sznureczku, przymocowanym do kamizelki, i otworzył puzderko. Szereg flaszek kwadratowych rzucał się odrazu w oczy, a każda dla ostrożności była w osobnej przegródce. Większą część puzderka wypełniały różne specjały: kiełbasy, sardynki, szynka, sery różne. W górnej części przymocowane do pokrywy tkwiły łyżki, noże, widelce.

Jakby dla usprawiedliwienia się, pan Tyburcy odezwał się:

— Trzeba ze sobą zapasy wozić, bo w karczmach oprócz śledzia i haniebnie podłej śmierdziuchy nic więcej nie dostanie.

Tadeusz uśmiechnął się potakująco.

Lokaj począł wydobywać z koszyków chleb, bułki, pierogi, a pan Tyburcy wyjmował po kolei duże flaszki i do woskowych świec, płonących w podróżnych latarniach, zbliżał, badając kolor każdej. Ostatnią w rękę zatrzymał.

— Kminkówka... dobra — zauważył — prawdziwa gdańska.

Wypił sam i nalawszy kieliszek, podał Tadeuszowi.

Zaczął się posiłek... Pan Tyburcy otworzył puszkę sardynek i przy sobie postawił, a Tadeuszowi podsunął chleb i masło, roztopione nieco i półpłynne z powodu upałów. Szlachcic herbu Śtarykoń kilkakrotnie zakrapiał kminkówką sardynki i szynkę, ale Tadeuszowi już nie proponował.

Obaj jedli z apetytem.

Nad nimi księżyc w pełni oblewał równem, jednostajnem światłem step cały, a bladoszafirowe to światło zlewało się w pełną poezji całość z bladym szafirem nieba. Zdawało się, że ktoś w tej głębokości bezmiernej na tle szafiru rozsypał hojną dłonią brylanty, które zdaleka migwały różnobarwnymi ogniami. Człowiek wydawał się czemś nieskończenie maleńkiem wśród tego niezmiernego ogromu, jaki go otaczał, robaczkiem pełzającym przy ziemi, atomem, kruszyną malutką i bezsilną a tajemniczą, jak otaczający go ogrom. Wokoło wisiała nad nimi cisza jakaś uroczysta i potężna, jakby harmonizowała z ciszą i potęgą nieba.

Tadeusz od czasu do czasu rzucał okiem na niebo, ucha nastawiał do słuchania tajemniczych szmerów tej ciszy i zdawało się, że wchłaniał w siebie rozkosz wrażeń,

przenikających jego duszę. Czasem przerywał jedzenie, kromka chleba, podniesiona do ust, zatrzymywała się w powietrzu, a on sam, we wzrok i w słuch zamieniony cały, wyglądał jak posąg nieruchomy. Dokoła otaczał go spokój majestatyczny napół dzikiej natury, która swoim głosem milczącym zdradzała życie i na niedostrzeżonych falach powietrza przynosiła niewiadomo skąd cudowne, nieokreślone wonie.

Ale pan Tyburcy, herbu Starykoń, zdawało się nic nie widział, nic nie odczuwał, fak mocno pracowały jego szczęki. Tadeusz milczał. Z rozmarzenia budził go tylko szmer przeżuwania Tyburcego, aż wreszcie głos tegoż:

— A skąd waść wędrujesz, jeśli wolno wiedzieć?

Tadeusz drgnął. Chleb ledwie mu z rąk nie wypadł.

— Z Odessy, jaśnie panie.

— Hm... z Odessy? Nic tam nie znalazłeś?

— To nie tak łatwo... Już tam siedzi jakiś Francuz i, jak powiadają, kiepsko gra i źle śpiewa.

— Hm... może znajdziesz w Wołodarce, w Tetyjowie, w Żywotowie... Trzeba, żebyś się dał poznać.

Nagle zagadnął:

— A śpiewać umiesz dobrze? Bo to teraz inne czasy... Nie można, aby organista beczał w kościele jak baran.

— Śpiewałem w katedrze poznańskiej... mam od księdza biskupa listy polecające...

— Ha, to co innego...

Zamyślił się chwilę, ale może tylko chciał połknąć duży kawał szynki, który właśnie do ust włożył.

— W Żywotowie możebyś znalazł posadę. Znam jaśnie wielmożnego dziedzica Żywotowa... jadę w tę stronę... mógłbym cię podwieźć.

— Dziękuję pokornie jaśnie panu... Powędruję z czumakami... może po drodze co znajdę.

— Jak chcesz.

Jedli znowu w milczeniu: Tadeusz chleb z masłem, a pan Tyburcy różne specjały. Tadeusz myślał o tem,

w jakiby sposób zahaczyć z innej beczki tego kloca i wybadać, co on myśli. Przejęty uroczystością ciszy nocnej, mimowolnie utkwiał wzrok w nieskończonej, oświetlonej przestrzeni stepu, na którym tu i ówdzie błyszcząły dogasające ogniska czumackie i jako ciemne punkty rysowały się ich maże.

Pan Tyburcy spostrzegł błakający się wzrok Tadeusza.

— A czego waść tam wypatrujesz?

— Nic... patrzę... Czy to prawda — zapytał z naiwną dobroduszością — że ten cały piękny kraj należał kiedyś do Polski?

Pytanie stropiło pana Tuburcego.

— Należał — rzekł powoli, przeżuując szynkę — aleśmy go stracili.

— Co się straciło, to i odebrać można — wtrącił Tadeusz.

— Ot, pleciesz waść banialuk! Jak wilk zje owcę, to już jej z brzucha nie wyprujesz.

— Tak, ale owca to nie ziemia.

Pan Tyburcy wąsami poruszył.

— Młody jesteś, to się na tem nie rozumiesz. Próbowala szlachta odebrać w roku 1831 — i co? Odebrała? Jak pod Daszowem dano do niej ognia z harmat, to spłoszone konie rozniosły ją po stepie — i koniec.

Tadeusz ożywiał się i począł powoli wychodzić ze swojej roli organisty.

— Ludzie wytrzymalsi od koni — zauważył niby od niechcienia.

Uwaga ta zastanowiła Tyburcego.

— Cóż to ma znaczyć?

— Piechoty brakło... piechota byłaby się oparła.

— Może to i prawda, ale waść nie jesteś szlachcicem, to nie wiesz, że szlachcica tylko do konia Pan Bóg stworzył. Do piechoty — chłop, a skąd tego chłopca na Rusi weźmiesz? co?

— Z każdej wsi można setkę albo dwie wystawić.

— Pleć, pleciugo! Chcesz, aby chłop bił się za szlachcica — ładna komedja!

— A czy nie można, aby chłop ze szlachcicem bił się razem?

Stropił się pan Tyburcy.

— A to jak?

Tadeusz zapanował nad sobą i rzekł, o ile mógł, najspokojniej:

— Gdyby chłop był wolny, toby wiedział, o co się bije.

Coraz większe zdziwienie opanowywało Tyburcego. Słyszał rzeczy, o których nikt mu przedtem nietylko nie mówił, ale które w umyśle jego sprawiały jakiś niepokój. Zapomniał, że ma przed sobą organistę.

— Jak to waść rozumiesz — wolny?

Tadeusz od pierwszego zetknięcia się z Tyburcym, herbu Starykoń, spostrzegł, że ma do czynienia z człowiekiem, stojącym na poziomie ekonomicznych poglądów, do którego trzeba przemawiać wyrazami i myślami odpowiadającymi temu poziomowi; rzekł przeto spokojnie:

— To znaczy, żeby miał ziemię na własność i nie odrabiał pańszczyzny.

— Tereferę, babuleńko! — precedził lekceważąco przez usta pana Tyburcy. To waść chciałbyś wilka, siedzącego już w klatce, wypuścić na wolność! Ha, ha, ha! Może to kiedy i nastąpi, ale zobaczysz wtenczas, jak ten wilczek hulać będzie.

— Tadeusz uczuł się podrażnionym tą uwagą.

— Co do wilka, jaśnie pan ma słuszność — mówił, panując nad sobą, — ale jest jeszcze niedźwiedź, którego wspólnymi siłami wypędzić z cudzej zagrody trzeba. Dla czegoż chłop nie mógłby jej bronić wspólnie z szlachcicem? Szlachcic ma fuzję i szablę, a chłop — kosę, a chłopów więcej, niż szlachciców.

Tyburcy zmierzył chudego organistę pogardliwie:

— A gdzieś to waść widział, żeby chłop o wolność walczył ze szlachcicem? Inna wolność szlachecka, inna chłopska.

— Ale może być jednaka... Może kiedyś będzie?

— Kiedyś... może... ale trzeba, ażeby pierwaj chłop miał także duszę szlachecką.

Uwaga ta zastanowiła Tadeusza. Chłop ma siłę — myślał — to prawda, ale trzeba, ażeby do siły miał jeszcze coś... duszę szlachecką, to znaczy, żeby rozumiał, co jest wolność. Tadeusz miał na myśli wolność polityczną, Tyburcy — swawolę, rozwyrzenie człowieka, nie umiającego panować nad głową. Czy zapomocą uwolnienia od pańszczyzny i darowizny ziemi zmieni się dziś na jutro dusza ludzka? Czy chłop stanie się obywatelem? Ale Tadeusz mierzył wartość duszy chłopskiej własną duszą, pragnął tego, w co wierzył sam i wierzyli inni — w potęgę siły chłopskiej, w liczbę, w ilość, która w walce przeważać musi.

Marzenia jego widziały wszędzie to, co chciał widzieć, słyszały to, co chciał słyszeć.

Tyburcy po tej rozmowie, która nabrała zabarwienia zgola niespodziewanego, zreflektował się rychło. Uderzyły go słowa, słyszane z ust organisty.

— A skądże waść takich wiadomości nabrałeś? — zapytał z lekceważącą ciekawością.

Tadeusz był na to pytanie przygotowany.

— Proszę jaśnie pana — odezwał się z potulnym akcentem — mam brata, który w roku 1831 wplątał się w nieszczęście... służył pod Dwernickim i z nim razem zagranicę wyruszył. Pisuje do mnie czasem przez okazję i powiada, że tam gdzieś daleko, w Paryżu, gdzie panowie mieszkają, zawiązało się jakieś towarzystwo, które chce robić nowe powstanie w całej Polsce wspólnie z chłopami... Drudzy powiadają, że podobno już króla sobie wybrali. Jedni mówią, że powstanie trzeba robić z królem, a drudzy — bez króla, z chłopami tylko... że

lepiej z chłopem, bo gdy chłop dostanie ziemię, to z panem razem wyruszy na Moskale.

Tyburcy wysłuchał spokojnie. Cośniewoś słyszał już o tem od starego Żywotowskiego.

— Głupstwa się tym panom w Paryżu płaczą po głowie. My tu znamy siebie i znamy chłopów. Szlachcic dla ojczyzny straci majątek i życie, ale chłop jednego barana dla niej nie da. Jeśli myślisz, że darowizna ziemi pociągnie go do walki o ojczyznę — to się mylisz. On ziemię weźmie, ale syn jego lub wnuk już będzie krzychał: mało! i wyciągnie rękę po ziemię szlachcica. A z naszym ruskim chłopkiem będzie jeszcze lepiej. Popuść tylko cugli temu stepowemu tabuńczykowi — zobaczysz, jak on się rozbryka! Kwiatkiewicz opowiadał memu ojcu, że w czasie rzezi humanńskiej tylko nahajka Gurjewa i Kreczetnikowa uspokoiła tę wolność kozacką. A kto by teraz powstrzymał tych wolnych chłopów?

Przypomnienie rabunków i rzezi hajdamackich ochłodziło trochę Tadeusza. Zachwiał się, ujrawszy teorię w zetknięciu się z rzeczywistością, ale nie chciał dalej dyskutować z panem Tyburcym, lękając się obudzić podejrzenie co do swojej osoby. To, co słyszał od czumaków, bezpośrednio z ust ludu, wydało mu się niezaprzeczoną prawdą. Rzekł przeto, niby godząc się:

— Jaśnie pan ma słuszność. Kto za króla, którego niema, zechce się bić?

I pan Tyburcy miał już dosyć dysputy.

— Idź wać spać, bo i mnie pora.

W tej chwili kur czumacki północ obwieścił.

— Już i północ — dodał — dobrej nocy!

Rozeszli się obaj, nie przekonawszy jeden drugiego.

Po rozmowie z panem Tyburcym Tadeusz długo nie mógł zasnąć. Kręcił się pod wozem jak węgorz w matni, obracał się na wszystkie strony i na niebo wyiskrzzone spoglądał, czy do świtu jeszcze daleko. Ledwie zdrzemnął się nad ranem. Spojrzał w tę stronę, gdzie nocował pan Tyburcy, i ruch tam dostrzegł. Jaśnie pan posesor krzątał się do wyjazdu. Zrazu miał chęć pożegnać go, ale zaniechał.

Pobudzili się i czumacy, poczęli smarować maże, zapręgać woły; Tadeusz pomagał, a nie chcąc się nastroić, poszedł piechotą drogą, którą mieli jechać czumacy... Zatrzymał się mało co przed południem przed jakąś lichą karczemką stepową, przy której była studnia z żorawiem.

— Tu pewnie i czumacy się zatrzymają — pomyślał — aby woły napoić.

Nie omylił się. Wkrótce nadciągnęły maże czumackie, a z nimi i walka żywotowska. Wyprężono woły i puszczono w step na paszę, za co zwykle spaśne żywowi opłacano.

Wkrótce mała izba karczemna wypełniła się czumakami. Obsiedli długi stół przy szynkwasio, wydobyli z płóciennych woreczków chleb, sól, czosnek, słoninę — i rozpoczęła się uczta południowa. Tadeusz usiadł na skraju i suchą bułkę, kupioną u żyda, przeżuwał powoli. Gwar ustawał. Ten i ów wysuwał się z za stołu i pod własnym wozem legał do spoczynku. Południowe słońce oblewało złotem swoim całą ziemię. Ciepłem przesycone powietrze było ciężkie. Bydło paść się nie chciało i tylko leżąc powoli przeżuwało swoją żujkę. Ani ptaka nawet nie było widać — wszystko uciekało i chowało się pod stropem karczmy lub po gałęzistych burzanach. Zdawało się, że step cały zasnął, zmożony skwarem południowym.

Ciszę tę południową przerwał głos atamana:

— Chłopcy! do wołów!

Ten i ów, przeciągając się leniwie, wysuwał się z pod wozu i w stepie ginał.

Tadeusz pomógł Semenowi wyciągnąć wody i napoić woły.

— Siadajcie na wozie — odezwał się wesoło czumak — będziemy sobie bajki opowiadać, to prędzej dojeździemy do kuliszu.

Tadeusz usiadł nie bez pewnego zadowolenia. Zmęczony nie był wcale, ale rad się zbliżył, ażeby tem łatwiej mógł zajrzeć w tajemniczą i skrytą duszę chłopca.

— O czym to wy bałakali ze swoim posesorem? — odezwał się czumak.

— Ot, o niczem — wykręcał się Tadeusz — o czym z panami gadać?

Czumak zamilkł — poznał się na dyplomacji i już nie wypytywał.

— Niczego panek — zauważył po chwili — ludzi szanuje, ale grosze lubi. Na żyda byłby dobry — dodał; — jak nie pszenicą handluje, to taranią z żydami, a zawsze nie próżnuje.

— Po kozacki — dorzucił dwuznacznie — albo pje albo woszy bje, a wse ne darmuje.

Tadeusz zrozumiał przytyk do handlu taranią, którym zwykle tylko żydzi się zajmowali, a panom nie przystało.

Podróż była jednostajną i nudną. Do tematu rozmowy onegdajszej o wolności Tadeusz nie chciał wracać, aby podejrzenia nie budzić. Przerzucali się słowami.

— A gdzież to dzisiaj da nam Pan Bóg nocleg? — zapytał Tadeusz machinalnie.

— Gdzież? W stepie, jak zawsze, w choromach Pana Boga.

— Piękny sobie pałac Pan Bog wybudował — na to Tadeusz.

— Nie dziwota.

Spostrzegłszy, że właściwie nie odpowiedział na pytanie Tadeusza, dorzucił:

— Miniemy Lacką Wolę... wiorst ze trzy może ode wsi jest studnia w stepie — tam i nocleg.

Na ten wyraz Lacka Wola Tadeusz drgnął. Poruszył on duszę jego aż do dna — niby siła jakaś magiczna. Zamilkł naraz, jakby otrzymał silne uderzenie w głowę, które go oszołomiło. Oprzytomniał po chwili i otoczyły go w tej słonecznej samotni stepowej roje obrazów i myśli, które promiennym korowodem wiły się koło niego. Nowy, inny świat miał przed sobą. Nie widział stepu, słońca, tej gry barw, jaką tak niedawno jeszcze wchłaniał z uczuciem dziwnej poezji w swoją duszę. Nagle wszystko znikło z przed oczu na dźwięk tego wyrazu: Lacka Wola.

Wież ta znana mu była z dzieciństwa. Tu był niewielki kościółek, zbudowany pracą i groszem garstki Polaków, rzuconych losem na zielone stepy ukraińne. Sami nie wiedzieli nawet, kiedy tu osiedli, — źle już mówili po polsku, bo szkoły własnej nie mieli, ale twardo trzymali się polskiego obyczaju i religii. Parafja była uboga. Mogła utrzymać tylko księdza bardzo mało wymagającego, stawiającego swoje powołanie wyżej ponad wygodę materialną. Długo nie mogli znaleźć sobie proboszcza. Przed laty czterdziestu kilku zjawił się w gminie młody ksiądz i usługi swoje ofiarował. Odtąd stał się on dobroczyńcą duchowym ludności. Był to ksiądz Ignacy, brat matki Tadeusza, który dzieckiem przyjeżdżał do Lackiej Woli z matką. Szkoła, wojna, wygnanie oddzieliły go od samotnej siedziby wuja. Po roku 1831 majątek Słomowskich skonfiskowano, ojciec Tadeusza w drodze na Sybir życie zakończył, dla matki pozostał tylko kąt u brata w Lackiej Woli. Osiedla tu jako w jedynym przytulisku na stare lata.

Lacka Wola przypomniała Tadeuszowi wiek dziecinny z całym rojem młodych wrażeń.

Kościółek był niewielki, murowany, przy wielkiej drodze, ale wgłąb wsunięty niewielkiego cmentarza, otoczo-

nego ze wszech stron lipami. Lipy, które w dziecińskiej pamięci pozostały jako drzewa ledwie zasłaniające kościół od drogi, teraz rozrosły się bujnie i szerokimi konarami tak ogarnęły kościół, że od drogi ledwie krzyż błyszczał do słońca.

Gdy wałka czumacka zbliżała się do kościoła, Tadeusz odezwał się do Semena:

— Wstąpię ja tu pomodlić się Panu Bogu, a was dopędzę w stepie.

Pomyślawszy 'chwilkę, dla zamaskowania się dodał:

— A może w karczmie tutejszej podnocuję.

Gdy już maże mijały kościółek, zeskoczył z wozu.

— Bóg zapłać za to, żeście podwieźli — rzekł i powolnym krokiem do kościółka nawrócił. Stał on na niewielkiej wyżynie. Ze smutnem wzruszeniem otworzył furkę, wiodącą do ogrodzenia kościelnego. Naprzeciwko w dość znacznem oddaleniu zamigotały białe ściany plebanji wśród zielonych kęp okwitłego bzu. Dziedziniec kościelny ogarniała cisza zbliżającego się wieczoru, pełna niewysłowionego czaru i spokoju. W dalekiej perspektywie migały małe krzyże drewniane na grobach, porośłych złocistą miodunką i fioletem macierzanki podszytych; jedne stały jeszcze prosto, inne pochylały już ramiona swoje omszałe ku ziemi na znak, że także niezadługo do wiecznego położą się spoczynku. Odkwitające lipy napępniały całe podwórko cmentarza słodkim zapachem, a pszczoły, brzęcząc w górze, kończyły swą pracę codzienną. Nad tą ciszą wieczorną wisiało blado-seledynowe niebo, a promienie słoneczne, przebijając się jasnymi strzałami przez gęszcz liści, stępily się na dachu kościoła i rozpląnęły się w ciszy atmosfery.

Gdy stanął na tym niewielkim dziedzińcu kościoła, ogarnęła go taka moc dziecińczych marzeń, że długą chwilę z miejsca ruszyć się nie mógł. Wahał się, czy iść na plebanję i upaść do nóg biednej matki, kończącej

życie w samotności i ubóstwie, czy wstrzymać się, ażeby nagle zjawieniem się nie wywołać wstrząśnienia.

Wtem zdaleka za kościołem posłyszał szmer jakiś.

Wsluchił się — śpiew. Echo między lipami odbijało rozbity głos — widocznie starego człowieka. Na tle grobów i zielonej murawy, w perspektywie lip, siedł starzec bez kapelusza, w sutannie, ksiądz. Trzymał jeszcze brewjarsz w rękę, z którego widocznie odmawiał przed chwilą modlitwy, i śpiewał, a głos drżał mu jak struna źle naciągnięta.

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech cię jeszcze sen nasz chwali.

Widocznie ksiądz usłyszał szmer kroków Tadeusza, bo podniósł głowę i spojrzenia ich spotkały się. Śpiew ustał. Tadeusz zdjął kaszkiecik i powitał głosem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!

Ksiądz Ignacy nie poznał go. Tadeusz, zbliżywszy się, pocałował w rękę wuja milcząco. Chciał o matkę zapytać i nie mógł ust otworzyć, stał tylko w niemej postawie przed księdzem, bez czapki. Wuj Ignacy zapytał:

— A czegoś sobie życzysz, moja duszo?

Pytanie to oprzytomniło trochę Tadeusza.

— Chciałbym się widzieć z panią Słomowską; czy jest w domu?

— Jest, pójdziemy razem.

Rzucił okiem na Tadeusza, który wydawał się niby zmieszanym.

— Masz jaki interes? — zapytał.

Zamiast odpowiedzi Tadeusz nachylił się i w rękę księdza pocałował.

— Czy wuj dobrodziej nie poznaje mnie?

Ksiądz wpatrywał się uważnie.

— Nie, moja duszo — odrzekł stanowczo.

— Jestem Tadeusz...

Ksiądz szeroko otworzył oczy i zdawało się zanie-
miał na chwilę.

— Zmiłuj się... Skąd tu jesteś?... Chodź...

Wyrazy gorączkowo padały z ust jego.

— Boże święty! Boże święty! — powtarzał machinalnie.

Tadeusz pochwycił rękę księdza i całował.

Ksiądz, dłoń na głowie jego trzymając, szeptał:

— Boże święty! Boże święty! Skąd? Tyle lat minęło...
Pamiętam, kiedyś do szkół odjeżdżał, toż w tym kościółku
pierwszą spowiedź odbyłeś...

Tadeusz ledwie ze wzruszenia wymówił:

— A mama? Co z mamą?

— Jest u mnie... ze mną...

Tadeusz znowu nagłym ruchem rękę księdza porwał
i całował:

— Wuju kochany...

W wyrazach tych, nabrzmiatych łzami, czuć było nie-
skończoną wdzięczność i wzruszenie.

— Ksiądz, jakby nie słyszał tych wyrazów, zatrzymał
się i patrzył na Tadeusza.

— Wierzyć prawie nie chcę, że to ty jesteś... Pójdę
naprzód... uprzedzę matkę... nie tak nagle...

Wszedł pierwszy.

— Zaczekaj... — rzucił, odchodząc.

Długą chwilę stał Tadeusz przed progiem tego ubo-
giego przytuliska, gdzie matka znalazła ostatnie schro-
nienie — z dóbr i majątku przechodząc na łaskawy
chleb brata. Drzwi się otworzyły, i ukazała się łagodna
i dobra twarz księdza Ignacego.

— Chodź, Tadeuszu!

Z bocznych drzwi wyszła matka, staruszka zgarbiona,
o siwiuteńkich włosach, o bladej, niby marmurowej twa-
rzy, na której zastygły wszystkie bole i smutki życia.
Oczy jej tylko błyszczały i jak gdyby łzami się zasłoniły.

Tadeusz, ujrzawszy ją, jak długi do nóg się rzucił i przez łzy tłumione powtarzał:

— Matulu moja droga... jedyna...

Schyliła się, ażeby go podnieść, i ręce bezwładnie opadły na głowę Tadeusza. Czuł ich dotknięcie i zdało mu się, że wychudłe i blade ręce matki spadają na jego duszę jakimś ogromem ciężaru. Nie był w stanie podnieść się i oderwać się od nóg matki.

Powstał wreszcie. Spojrzenia ich spotkały się. Matka przygarnęła głowę Tadeusza do siebie i całowała milcząco jego czoło.

— Chwała Bogu, że zdrow jesteś... że ciebie jeszcze widzę... chodź... siadaj...

Ujęła go za rękę tak samo, jak kiedy był dzieckiem, przyprowadziła do foteliku, plecionego z łozy, i posadziła. Usiadła naprzeciwko niego i chwilę w milczeniu patrzyła w twarz syna.

— Nie chce mi się wierzyć, że jesteś... że cię widzę... Jak się tu dostałeś?

Tadeusz opowiedział całą swoją odyseję, najpierw zesłoroczną, kiedy jako kupiec francuski wędrował od dworu do dworu, badając nastrój szlachty. Wtenczas nie mógł odwiedzić matki — lękał się sam się zdradzić i ją na nowe tortury moskiewskie narazić. Teraz kazano mu znowu jechać do kraju: pojechał jako organista, szukający posady... Wypadek chciał, że przejeżdżał przez Łacką Wolę, i nie mógł się oprzeć.

Matka i wuj wysłuchali długiego opowiadania.

Gdy skończył sprawozdanie krótkimi, nerwowymi frazesami, zatrzymała swoje spokojne, błyszczące oczy na twarzy syna.

— Więc znowu? — spytała.

Zrozumieli się od razu.

— Znowu...

— Kiedyż koniec będzie ofiarom, męczarniom, nadziejom naszym?

Nastąpiła chwila milczenia.

Nakaz wewnętrzny — ta niezbadana, nieśmiertelna siła narodu, popychała go do nowej walki, kazała szukać nowych nadziei, nowego oparcia dla nurtującej głąb narodu idei — i znowu się porywać do broni, znowu się łudzić. Ta nowa potęga, na której miała się oprzeć idea wyzwolenia narodu z niewoli, był to lud — olbrzym drzemiący. Znekany tęsknotą do kraju, pokonanym, a jednak wrzącym chęcią nowej walki, zjawiał się ten lud-olbrzym jako bohater przyszłości, jako wyzwoliciel całej, tak jeszcze niedawno wielkiej ojczyzny, lud zaczarowany snem dziwnym, bo odczuwał i rozumiał nieszczęścia własne, ale obojętnie patrzył na cierpienia ojczyzny. Kochał zagrodę swoją, swoją małą ojcowiznę, w której obronie gotów był oddać życie własne; ale głuche miał serce na dźwięk wyrazu ojczyzna, który był ojcowizną narodu. Takim był w Polsce, na Rusi — jeszcze dziwniejszym. Pamiętał, że była niedawno jeszcze Polska, że dziadowie jego z tą Polską walczyli krwawo, ale nie wiedział i nie rozumiał, o co, wiedział tylko od ojców, że w tej Polsce było mu mimo wszystko dobrze — ziemi używał pod dostatkiem, chował bydło, konie, wszystkiego miał w obfitości. Umiał porównywać, ale ze złem nie umiał walczyć, aby je zwyciężyć. Od Moskwy odpychała brutalna siła, od Polski — nieufność, bo Lach inaczej żegnał się, niż on, do innego kościoła chodził. I tu i tam, jak dwaj synowie jednej matki, lud nie rozumiał wyrazu wolność.

Czyż w samej rzeczy nie rozumiał? Czy może jakaś inna siła wstrzymywała go od walki o nią?

Tę potęgę, która krępowała jego muskularne dłonie, upatrywano w poddaństwie, w tej niewoli ciała, która wszędzie, nad Wisłą, czy nad Dnieprem i Bohem, czyniła go obojętnym i nieufnym. On nic nie posiadał, o co warto byłoby walczyć. Ziemia, którą uprawiał i na której miał swoją chałupę, nie była jego własnością; dać mu ziemię, dać mu wolność, a wtedy będzie bronić zie-

mi i wolności. Zdawało się, że w tem leży moc przyszłej Polski.

Gdy pierwsze wrażenia i pierwsze gorączkowe pytania i odpowiedzi minęły, już po wieczerzy zawiązała się żywsza rozmowa. Tadeusz był wychowancem tęsknot i marzeń emigracyjnych, rozbudzonych we Francji i przedzierających się wgłąb Polski przez całą Europę, szukając wszędzie tego tętna, które w ich własnem sercu biło, szerząc wiarę w nowe siły narodu, drżemiące w ludzie. Samoludzenie się było tak potężne, że najwytrawniejsi generałowie poczęli wierzyć, że zbawienie przyniosą Polsce chłopskie kosy, że wyrazy „wolność“, „ziemia“, „własność“, „zniesienie pańszczyzny“ staną się talizmanem, który zwycięży sobkostwo chłopa i rzuci go do walki o ojczyznę, do ofiar dla niej, do poświęceń. Zapomniano, że między kozaczą a szlachecką była krew, zastygła wprawdzie dawno, ale czarnych jej plam jeszcze czas nie zatarł.

— Czy jesteście pewni zwycięstwa? — zapytał ksiądz, gdy Tadeusz o planach paryskich mówić począł — i co wam daje tę pewność?

— Ojcie dobrodzieju — odpowiedział Tadeusz z zapalem — dotychczas o wolność ojczyzny walczyła szlachta tylko i przegrała bitwę — za mało jej było do zwycięstwa. Trzeba ruszyć masy ludowe. Dotychczas idea narodowa zamknięta była w szlachcie... trzeba jedność narodową rozszerzyć, pogłębić. To zjednoczenie i pogłębienie da nową siłę — lud. Przekonałem się, że masy są nastrojone do walki i gotowe, trzeba hasła, któreby w całej Polsce dawały od Bałtyku po Dniepr i morze Czarne było zrozumiane; takim hasłem dla polskiego chłopa będzie ziemia, dla ruskiego — wolność i ziemia.

— Igrasz wyrazami, mój bracie. Inaczej ty rozumiesz wolność, inaczej chłop ruski. Dla ciebie wolność to równe prawa, dla niego — bezkarna swawola.

Tadeusz gorączkował się.

— Kiedyś było gminowładztwo w Polsce... lud rządził i lud zbudował Polskę; lud tylko ją odbuduje.

— Mylisz się. Lud może być siłą do odbudowania, temu nie przeczę, ale siłą kierowaną tylko rozumem umiarkowanym, a nie zachciankami ciemnego *umysłu, które niewiedomo na czym skończyć się mogą.

— Wuj dobrodziej nie zaprzeczy, że Kościuszcze udało się lud porwać za sobą dwoma wyrazami: wolność i ziemia. W roku 1831 to samo mogłoby się było powtórzyć, gdyby się panowie nie opierali.

— Nie wyprzedzajmy czasu. Ludu, któryby chciał walczyć o Polskę, jeszcze nie mamy. Raczej, gdy uczuje się silnym, rzuci się na nią, aby szarpać po kawałku.

— A tak: dopóki są przywileje, muszą być antagonizmy, a gdy są antagonizmy, musi być walka o równość. Lud musi wrócić do wszechwładztwa.

— Dzięki temu, że on stracił wszechwładztwo, zbudowano Polskę, a nowe wszechwładztwo ściągnie ją znowu do nicości, do barbarzyństwa.

— Znajdzie się równowaga na wszechwładztwo. Ale raz postawiona i przestrzegana musi być zasada: „wszystko dla ludu dla wszystkich jest celem“.

Ksiądz zapytał spokojnie:

— Dlaczego nie dla narodu? Mówisz o równości, a przewództwo w narodzie oddać chcecie w ręce analfabetów. To znaczy, że chcecie zniżyć Polskę do poziomu chłopskiego sobkostwa?

Długiej tej dyskusji przysłuchiwała się matka Tadeusza milcząco.

— Spotka was o jedno więcej rozczarowanie—wtrąciła.

Ażeby przerwać gorącą dyskusję, zapytała o Żywotów. Gdy się dowiedziała, że Tadeusz zaręczony, że ślub ma się odbyć wkrótce, a młodzi na stałe mieszkanie udają się do Paryża, ogarnęła ją radość łagodna i dobra. Cieszyła się szczęściem syna i nadzieją, że przy jego boku życie zakończy.

— A pamiętaj — odezwał się wuj Ignacy — że związek wasz ja mam połączyć.

W odpowiedzi na to Tadeusz nachylił się i w kolano księdza pocałował. Wiadomość ściśle rodzinna rozpromieniła twarze wszystkich i przez chwilę górowała nad nieśczęściami i nadziejami ojczyzny. Późno w noc rozeszli się na spoczynek. Ale nikt nie spał. Z jednej strony sen płoszyło widmo nowego powstania i dziecinna wiara młodego pokolenia, że w ludzie znalazło panaceum na niedole ojczyzny i niezawodny środek wyzwolenia jej z pęt trzech drapieżnych zaborców, z drugiej — zapatrzenie się w różowe nadzieje własnej szlachetnej duszy, która w każdym słowie, jakie z ust ludu do niej zapadało, widziała tylko własne myśli i uczucia.

Najwcześniej, jak zwykle, wstał ksiądz Ignacy, który latem zrywał się z ptakami, chodził wzdłuż alei lipowej, dzielącej dziedziniec kościelny od drogi, i półgłosem modlił się lub śpiewał. Skończywszy ranne pacierze, śpiewał co rano drżącym, cichym głosem tę samą pieśń:

U wrót Twoich stoję, Panie,
Czekam na Twe zmiłowanie...

Dopiero chłopiec z zakrystji przerywał mu rozmowę z Panem Bogiem zawsze tym samym frazesem:

— Proszę ojca dobrodzieja na śniadanie.

W czasie sloty lub w zimie chodził po wielkim pokoju, który był jego gabinetem, sypialną i kancelarją, a poranne modlitwy kończył zawsze słowami tej samej pieśni.

Tym razem zamiast chłopca zjawił się zakrystjan, otworzył drzwi kościoła, zapalił świece, a po chwili Tadeusz wprowadził pod rękę matkę i na fotelu przed ołtarzem posadził. Sam ubrał się w komeżkę i ukląkł na stopniu ołtarza, aby do mszy świętej służyć. Ksiądz Ignacy cichą mszę odprawił na intencję szczęśliwego powrotu Tadeusza

do Paryża. Wysłuchano nabożeństwa w skupieniu i wszyscy milcząco udali się na plebanję.

Tadeusz nie mógł dłużej bawić u matki. Na sierpień miał już być w Paryżu, ażeby zdać relację ze swoich podróży.

Krótkie, ale bolesne było pożegnanie. Tadeusz odchodził i nie wiedział, czy kiedy te kąty, tak umiłowane dla wspomnień dziecinnych, będzie mógł jeszcze oglądać, czy los pozwoli mu kiedy raz jeszcze ucałować rękę ukochanej matki; a matka żegnała syna — na niepewne losy.

Ukląkł przed nią w milczeniu. Matka nie miała łez w oczach. Płakała, gdy z ojcem wyruszał do powstania w r. 1831, gdy syna ojczyźnie oddawała w ofierze. Od tej chwili Tadeusz był jej synem, ale nie należał do niej. Podniosła go ku sobie, suchemi dłońmi ogarnęła jego szyję, uściskała mocno i tylko szeptem zdolna była wypowiedzieć kilka słów, które rwały się w jej krtani:

— Niech Bóg czuwa nad tobą i prowadzi... Jego niech będzie wola...

Tadeusz ani słowa przez długą chwilę przemówić nie mógł.

— Nie martw się, mateczko... wrócę do wolnej ojczyzny.

Jeszcze nachylił się do jej dłoni i przylgnął ustami. Odwrócił się.

Ksiądz Ignacy robił nad jego głową w milczeniu znak krzyża świętego.

— Krzyżową drogę wybrałeś, bracie — idźże w służbie ojczyzny do końca... oby ona znalazła tak upragnioną wolność... Niech się stanie, co się ma stać!

Tadeusz pocałował go w rękę, włożył na plecy torbę podrózną, kij w ręce ujął i wyszedł pośpiesznie, łzy tłumiąc.

Już dobry kawał drogi oddalił się szybko, jakby za nim wspomnienia dziecinne gonily, zatrzymał się nagle, obrócił się i długo jeszcze w krzyż błyszczący na szczycie kościoła patrzył...

VII. SZCZĘŚCIE IWANA HAWRYŁOWICZA.

Tadeusz dopędził po drodze walkę czumacką i swoim zwyczajem wędrował z nią dalej.

Im dłużej rozmawiał z Semenem i atamanem, tem bardziej umacniał się w przekonaniu, że na tle agrarno-pańszczyźnianem panuje wśród ludu wielkie niezadowolenie i że się ono da wyzyskać, aby lud wiejski pociągnąć do powstania przeciwko Moskwie. Inne wprawdzie na Rusi są cele ludu, a inne szlachty w tej możliwej walce przyszłości, ale nie wątpił, że lud ze szlachtą pójść może. A co do ludu polskiego na innych obszarach Polski, gdzie jedność religij i mowy łączyła szlachtę i lud, nie nasuwały mu się żadne wątpliwości.

Podązał więc z ufnością do Żywotowa, ażeby stamtąd co rychlej wyruszyć do Paryża, zdać relację Centralizacji i wysłuchać sprawozdań innych emisarjuszy, z Galicji, Królestwa i Poznańskiego, a jeśli wiadomości będą korzystne, z wiosną rozpocząć nową walkę. Tym razem o wiele pewniejszym wydawało się zwycięstwo, bo rewolucja miała wybuchnąć w całej Europie, a kos polskich będzie więcej, niż bagnetów moskiewskich, austriackich i pruskich.

Na ostatnim noclegu, kiedy już tylko kilka mil było do Żywotowa, pożegnał czumaków i, ażeby zmylić drogę, powiedział, że pójdzie do Białej Cerkwi, bo słyszał po drodze, że tam jest miejsce organisty. Podązał sam najkrótszemi drogami. Pod wieczór zbliżył się do żywotowskiego dworu i miał już furtkę otworzyć, gdy posłyszał za sobą jęk dzwonków. Wprost do bramy pędziła czwórka dziarskich koni, do półkrytego powozu zaprzężonych. Jęk dzwonków ostrzegał, że jedzie jakiś urzędnik — w owe czasy tylko urzędnicy mieli przywilej jazdy z dzwonkiem, przyczepionym do dyszla. Dzwonek ostrzegał jadących, ażeby z drogi zwracali co rychlej, dając wolny przejazd.

Brama była zamknięta, gdy przed nią zatrzymał się powóz. Rzucił okiem i dostrzegł z przodu, nad czołem, na czerwonym otoku czapki, orła moskiewskiego. Zdjął pokornie czapkę i chciał przejść przez furtkę, gdy usłyszał groźne i donośne wołanie po moskiewsku:

— Bramę otworzyć!

Trzymając czapkę w rękę, rzucił się z pośpiechem do bramy, otworzył ją i przy jednym skrzydle stanął, czekając, aż powóz minie. Przelotnie spojrzenie jego spotkało się ze spojrzeniem jadącego. Powóz potoczył się wprost przed ganek dworski. To było znakiem, że w powozie siedział dygnitarz — najwidoczniej sam we własnej osobie kapitan-sprawnik, niby rządca powiatu, bo niżsi urzędnicy zatrzymywali się przed gankiem oficyny.

Tadeusz podążył do oficyn, wprost do kancelarii Dromireckiego.

Nastąpiła scena udanego zdziwienia. Ujrawszy go, pan Makary zawołał:

— No, i cóż? Jeszcze się włóczysz? Nie znalazłeś żadnego obowiązku?

Tadeusz głową żałośnie pokiwał:

— Ach, teraz o chleb powszedni człowiekowi tak trudno.

— Żle śpiewasz pewnie?

— Śpiewać patrafię... ale proszę uniżenie pana do brodzieja o przytułek choć na dwa dni, abym trochę wypoczął... Pół świata obszedłem — i nic, nic... Tam organista, choć źle gra i fałszywie śpiewa, ale ma dzieci, to go z litości trzymają; w innem miejscu...

Pan Makary przerwał mu:

— Dość gadania... nie mam czasu na słuchanie.

Krzyknął na kozaczka i kazał zaprowadzić Tadeusza do pokoju dla podróżnych.

Owym podróżnym, który jechał z dzwonkiem, był rzeczywiście kapitan-sprawnik Iwan Hawryłowicz Tatari-now. Przyjeżdżał osobiście dla ściągnięcia podatku rocz-

nego z Żywotowa. Czynności tej zwykle sam dokonywał, gdyż przy tej sposobności wypełniał swój budżet domowy: w jednym dworze otrzymywał kilkadziesiąt korcy owsa, w drugim siano, w trzecim słomę, w innym drzewo na opał, mąkę, krupy, siano, słowem, podatek nieurzędowy rozkładał jak mógł najkorzystniej dla siebie, stosując się do pór roku, do oddalenia, do zamożności obywatela. Gotówką, pod rozmaitemi pozorami, nie tylko nie gardził, ale brał ją chętnie — jako wynagrodzenie za pracę i usługę.

Dzięki takiemu stosunkowi z urzędem, panował na wsi spokój, bezpieczeństwo, posłuszeństwo, a w razie potrzeby pomoc urzędowa. Wszyscy byli z takiego patriarchalnego stosunku zadowoleni, tembardziej że pensje urzędników rosyjskich były bardzo małe, a zamożność obywatelska pozwalała bez uszczerbku swego zastępować kasy rządowe.

Iwan Hawryłowicz przybył tu na służbę z gubernji Tambowskiej, gdzie w małym miasteczku Kasimowie, niegdyś osadzie tatarskiej, był pisarkiem sądowym i na tym urzędzie do czterdziestego roku życia zdobywał naukę prawa i administracji. Posłyszał od kogoś, że w „Polsze“ dobrze się urzędnikom rosyjskim dzieje. Polacy wprowadzie naród buntowniczy, ale bogaty, i „żyć z nimi wygodnie“, tylko trzeba „patrzeć w oba“, bo zaraz u nich polityka, a wiadoma rzecz, że polityka „wzrusza podstawy tronu i dynastji“, dlatego też nie jest w modzie w Rosji. Ot, i wyprosił się Iwan Hawryłowicz do „Polszi“. Został najpierw stanowym przystawem, a w pół roku potem tak się w służbie odznaczył, że awansowany został na kapitanasprawnika. Wprawdzie w wojsku nie służył nigdy i nie tylko kapitanem, ale nawet felfeblem nie był, ale „czyn“ cywilny sprawnika odpowiadał wojskowemu — kapitanowi, więc został kapitanem.

Rosły to był chłopisko typu tatarsko-rosyjskiego, o twarzy szerokiej, o policzkach wystających, oczkach ma-

łych, czuprynie szczecinowatej. Opięty w swoim mundurze z czerwonym kołnierzem, wyglądał jak beczka od kapusty, na którą ktoś wetknął maskę ludzką. Ruchy miał powolne, niedźwiedziowate, a całe zachowanie się dobrodusznie chytrego głupca. Pierwszy raz dopiero w Polsce Iwan Hawryłowicz zetknął się z tem, co się nazywa kulturą towarzyską i cywilizacją. Wszystkiemu się dziwił, wszystko chwalił, wszystkiemu się zachwycił. Imponowały mu niezmiernie, jako „sławna sztuka“, szczypcy do obcinania knotów w palących się świecach łojowych, jakie widywał w swojej kancelarji, jak i organy, których muzykę słyszał w kościele. Tak mu one zaimponowały, że osobiście poszedł na chór i każdej rury palcem dotykał, a organista, który umiał grać i śpiewać, w jego pojęciu równał się godnością co najmniej — generał-gubernatorowi.

Chwalił się, że wiele rzeczy poznał „w Polsce“, wiele się nauczył, tylko taniec stał się dla niego niedościgłą doskonałością. W polce przechodził zawsze na pas „trepaka“, a w mazurze — na „Komarinskoho“, którego z zapalem lubił tańczyć, siarczyście przytupując nogami i z amatorsstwem wysławiając:

Eh ty, eh ty! Ty Komarinskij muzyk!
Zadrał nożku...

I tak dalej — równie pięknie, z tą tylko różnicą, że gdy zaczynał „Komarinskoho“, Polki wychodziły z pokoju, a Rosjanki, niekiedy czerwieniły się, ale zawsze śmiały się wesoło, coś szepcząc sobie do uszka.

Załatwiwszy swoje interesy, Iwan Hawryłowicz został na wieczerzy we dworze. Sam się wprosił. Jakkolwiek towarzystwo było bez dam, bo ani córka, ani żona pana Łukasza nie prezentowały się, ale kapitan-sprawnik był w doskonałym humorze, tembardziej że przy kolacji postawiono przed nim, jak zawsze, nieodłączny „grafinczyk“, zawierający dobrą kwartę wódki. Iwan Hawryłowicz jadł

z apetytem, zakrapiając gorzałką jedzenie, a z ilością kieliszków przybywało także humoru.

Gdy już grafinczyk był na wyczerpaniu, nagle pan kapitan-sprawnik zawołał:

— „Kstati“... co to za młody człowiek, który mi bramę otwierał?

Pan Łukasz był już uwiadomiony o przybyciu Tadeusza. Struchlał. W tej chwili przyjazd sprawnika wydał mu się podejrzanym: może już wie o wszystkim i smutną nowinę schował na ostatek?

Zapanował jednak nad sobą i rzekł spokojnie:

— Organista... szuka miejsca... Chudzina... przyszedł podnocować i wypocząć trochę.

Na wyraz „organista“ sprawnik aż podskoczył.

— Sławno, jej Bogu! Dawaj jowo siuda! Ja tak lubię śpiew.

— Ależ, Iwanie Hawryłowiczu, on tylko nabożne pieśni śpiewa.

— Kto umie nabożne, potrafi i świeckie. Zobaczymy. Posłań po Tadeusza i Makarego.

Zrazu wiadomość ta zaniepokoiła obu. Namysliwszy się, uznali, że nic w tem groźnego niema, bo inaczej już byłby dawno go aresztował. Widocznie chodziło o sprawdzenie dokumentów. Poszli tedy.

Sprawnik już był w salonie w złotym humorze: rękami wymachiwał, opowiadał coś głośno, gdy Makary z Tadeuszem weszli. Tadeusz stał z nieśmiałą i niby skłopotaną miną w salonie przy progu, gdy Makary witał się ze sprawnikiem.

Iwan Hawryłowicz rzucił okiem na Tadeusza.

— Ty organista?

— Ja.

— A paszport masz?

Tyle wiedział, że każdego, kogo osobiście nie znał, o paszport pytał.

Tadeusz wyciągnął plik dokumentów i wręczył sprawnikowi. Przeglądanie odbywało się powoli.

Z przekładu niemieckiego dokumentu dowiedział się że Tadeusz szkołę organistów ukończył. To go zastanowiło. Nie mógł zrozumieć, jakim sposobem człowiek, który szkołę ukończył, mógł być tak niewybrednie ubrany. Mruczał pod nosem.

— Ty zatem jesteś uczony?

— Uczony.

Tadeusz zmiarkował, że ma przed sobą nieokrzesanego bałwana. Sprawnik dopytywał się dalej:

— Cóż to znaczy?

— To znaczy, że to, co zaśpiewam, napisać potrafię. Sprawnik zrobił minę zdziwioną. Tadeusz uzupełnił:

— Przełożyć na nuty.

Iwan Hawryłowicz ani rusz zrozumieć nie mógł.

— Nu, ot ja tobie zaśpiewam... Począł śpiewać:

Eh ty! Eh ty! Ty Komarinskij muzyk!

— Napisz to po-swojemu! Chodź tutaj, zbliż się!

Pan Łukasz i Makary przysłuchiwali się tej scenie napół pijanego sprawnika. Makary dał ołówek i papier. Tadeusz zbliżył się do stołu, nakreślił kilka poziomych linii, a na nich nuty naznaczył i papier sprawnikowi podsunął. Spojrzał zukosa.

— Szutiśz! — zauważył. — Ja przecież czytać umiem, a tego nie przeczytam.

— To tylko śpiewając czytać można.

Zdziwienie sprawnika nie miało granic.

— Poj! — wrzasnął.

Tadeusz prześpiewał napisany wiersz.

— Aha! Wot co znaczy uczony! Nu! paszoł won!

Tadeusz chyłkiem wymknął się z pokoju.

Sprawnik nie mógł wyjść z podziwienia, że można czytać to, co nie jest azbuką napisane.

— Eh, Niemcy, Niemcy! Czego oni nie wymyślą!

Spojrzał na zegarek.

— Późno — zauważył. Trzeba jechać.

I odjechał szczęśliwie. Niebezpieczeństwo, które zdawało się grozić, minęło pomyślnie.

Gdy nazajutrz zeszli się wszyscy przed obiadem na wielkiej werandzie, pan Łukasz, opowiadając przygodę ze sprawnikiem, zauważył, śmiejąc się wesoło:

— Otóż takich bałwanów tatarskich nasyłają tutaj, ażeby nas cywilizować.

Mimo wszystko trzeba było zachować wszelkie ostrożności, ażeby kilkakrotne zjawienie się Tadeusza w Żywotowie upozorować.

— Pojutrze — odezwał się pan Łukasz — musisz z powodu niedzieli złożyć wizytę panu Jacentemu i poprosić go, aby ci pozwolił śpiewać i grać na nieszpórach. Trzeba w swej roli wystąpić.

Jacenty był organistą w Żywotowie. Typowy organista: źle grał, fałszywie śpiewał i lubił gorzałeczkę, do której przyzwyczał się dzięki temu, że jako dostojnik miejscowego kościoła, na wszystkie chrzciny, wesela i pogrzeby bywał zapraszany. Jacenty bez oporu się zgodził, bo był przekonany, że Tadeusz, jako młody organista, zryje się i przestanie być konkurentem jego.

Tadeusz z pokorną i nieśmiałą miną zjawił się w mieszkaniu Jacentego.

— Wędrowny organista jestem — rzekł ile mógł najłagodniej i przybrawszy minę, zbiedzonego człowieka — chleba szukam.

Jacenty miał Tadeusza na wątrobie. Dowiedział się, że już przed miesiącem kręcił się w Żywotowie, był u księdza, był we dworze, a do niego ani zajrzał.

— Wiem, wiem — rzekł protekcyjnie — kręcisz się waść koło panów, a do kolegi na ostatku dopiero, co? Przecież to u kolegi najlepiej dowiedzieć się, gdzie chleba szukać.

Zmieszał się trochę Tadeusz. Organista dostrzegł to, a spyliwszy kolegę należycie, odezwał się łagodniej:

— Siadaj waść...

Zaczął się egzamin — skąd, dokąd? Dowiedział się, że z Poznania.

— Ho, ho, ho! — zawołał — toż to kędyś za światami. Cóż, między Niemcami chleba niema?

— Gdzieś pan widział, żeby Niemiec komu dobrze życzył? A już Polaka, toby w łyżce wody utopili każdego.

— Prawda, prawda, to pieskie dusze. U nas, co prawda, chleba dosyć, to też gdy kto już raz siedzie na miejscu, to się trzyma.

Tadeusz, niby na potwierdzenie, westchnął głęboko.

— Świętą prawdę mówi kolega... ciężko tu się wkręcić... Gdyby nie łaska i hojność pana dziedzica tutejszego, tobym nie miał o czym nawet za chlebem chodzić... Trzeba wracać — zakończył.

— A kiedyż waść chcesz wracać? Możeby jeszcze szukać?

— Nęc już nie znajdę... przekonałem się... Obdarłem się, buty obleciały... za jałmużną chodzić ciężko...

— Prawda, prawda — potakiwał Jacenty.

— Chciałbym kolegę o łaskę prosić...

Wyraz „łaska“ udobruchał Jacentego.

— Mów... mów — zachęcał.

— Ponieważ w poniedziałek chciałbym już wyruszyć, pragnąłbym na intencję szczęśliwego powrotu śpiewać w niedzielę solenne nieszpory. Aby mi kolega pozwolił się zastąpić.

Bardzo się ta myśl podobała Jacentemu, bo właśnie na wieczór był zaproszony na chrzciny; ale chcąc dodać sobie powagi, rzekł protekcyjnie:

— Ja nic nie będę miał przeciwko temu, ale trzeba, ażebyś kolega porozumiał się z księdzem proboszczem.

— Już mówiłem mu, że będę prosił o zastępstwo... zgodził się.

— Tem lepiej... zdasz waść egzamin...

Ale Jacentego zaniepokoił stosunek Tadeusza do dworu.

— Czemuż waść, zamiast szukać służby, we dworze siedzisz?

— Gościnność i dobroć jaśnie wielmożnego pana dziedzica opiekuje się biedakiem... Z jego łaski mam przytułek, a czasem szczęście przebywania w jego towarzystwie. Pan dziedzic lubi muzykę, zaprasza mnie przeto czasem, abym mu śpiewem nabożnym chwile ukrócał. Szczególnie dziedziczka w nabożeństwie się kocha...

Jacenty coś na to mruknął — i wizyta była skończona. Tadeusz także niebardzo sobie smakował w towarzystwie Jacentego.

Nieszpory były bardzo uroczyste. Ludzi więcej się zebrało, niż zwykle. Gdy się na chórze odezwał młody, dźwięczny głos Tadeusza, wszystkie spojrzenia zwróciły się w tę stronę.

Nawet stała się rzecz niezwykła, bo nowy organista odśpiewał: „Stabat Mater dolorosa“...

Gdy się nieszpory skończyły i ksiądz już odstąpił od ołtarza, odezwały się jeszcze dźwięki organów i Tadeusz zaintonował litanję do Najświętszej Marji Panny. Lud padł na kolana i słowa litanji powtarzał głośno.

— Ozędowniczo nasza! módl się za nami.

— Królowo Polski! módl się za nami.

— O lata szczęśliwe prosimy Cię, Panie!

— O wojnę powszechną prosimy Cię, Panie!

Po wyjściu z kościoła spostrzeżono omyłkę młodego organisty, który zamiast o „spokój powszechny“ o „wojnę powszechną“ prosił Boga.

Wogóle śpiew organisty, jak i jego muzyką, zadowolili wszystkich ku wielkiemu niezadowoleniu pana Jacentego. Cieszył się z tego i Tadeusz. Za dwa dni miał w dalszą wędrowkę wyruszyć, a pod jesień znaleźć się już w Paryżu.

Tymczasem zaszła przeszkoda.

Nazajutrz po solennych nieszpórach, które odśpiewał Tadeusz, kapitan-sprawnik, wróciwszy z jakiejś wycieczki na prowincję, zastał na swoim biurku „bumagę“ zapieczętowaną z podkreślonym napisem u góry: „ściśle poufne“. Zwykle czytywał je spokojnie. Teraz jakoś ręka mu drgnęła, kiedy pieczętkę odrywał. Formułkę urzędową przebiegł oczyma, a potem czytać począł:

„Doszło do wiadomości generał-gubernatora, że polskie tajne stowarzyszenie w Paryżu wysłało swoich emisariuszy do podburzania do buntu szlachty i ludu wiejskiego przeciwko władzy cesarskiej, od Boga postawionej, i skierowania ich do obalenia tronu i świętej religii prawosławnej. Tacy emisariusze, zaopatrzeni w paszporty francuskie, włoskie, a nawet niemieckie, jako ludzie różnych zawodów, kręcą się wśród ludu i szlachty i głoszą wywrotowe idee. Przed rokiem miał być takim emisariuszem rzekomo jakiś Francuz, handlarz wina, a teraz wysłano innego, niewiadomo jeszcze w jakim przebraniu. Ma to być mężczyzna młody, z długą, jasną brodą, o regularnym profilu twarzy, bardzo wykształcony i gładki w obejściu, tem więc niebezpieczniejszy. Poleca się przeto policji miejskiej i wiejskiej, stanowym, sprawnikom, policmajstrom pilnie badać dokumenty podróżnych, włączających się po kraju bez stałej siedziby i określonego zajęcia, podejrzanych aresztować, żandarmerję zawiadamiać i natychmiast odsyłać ich wprost do generał-gubernatora w Kijowie dla dalszych badań“.

Złożył papier i zadumał się.

— U nas niema takiego... A może ten — organista? Kto go wie? Napisano — uczony... W tem coś być może... Uczony, a nie jest ani czynownikiem, ani profesorem... Ubranie trochę na nim poszarpane, ale kto wie? A ten pan Żywotowski? To przecież Polak... naród to sławny i mądry, niema co gadać, ale zawsze bokiem na naszego brata patrzy... Ot, gdyby Pan Bóg dał, żeby ten

z długą brodą był emisarem — zaśmiał się do samej myśli o tem — szczęście byłoby, prawdziwe szczęście... i „powyszenie“ w służbie, i nagroda, i cześć... Cześć jaka!... zaraz w „poślužnym spisku“ zapiszą: „złapał, moł, ważnego emisara polskiego, wroga prestola i oćieczstwa“... Prosto w gienierały można chwatiť!

Jakkolwiek nie posiadał żadnych dowodów, winy Tadeusza, postanowił jednak aresztować go — „po podozreniju“: miał przecież długą brodę i regularne rysy twarzy, szukał zajęcia, był człowiekiem „uczonym“, jak wyraźnie było zanotowane w paszporcie; dlaczegóżby nie mógł być emisariuszem? Moja rzecz aresztować podejrzanego, a o resztę niech naczałstwo się troszczy.

Nazajutrz tedy w nocy bez dzwonka przyjechał do Żywotowa wprost do urzędu gminnego, nie mówiąc, ani poco, ani naco; kazał zwołać do siebie pięćdziesięciu chłopów, uzbrojonych w kosy i w cepy, nakazał pośpiech i tajemnicę pod grozą Sybiru i knutów i sam ruszył na czele gromadki do dworu. Spotkawszy w bramie stróża nocnego, kazał go związać i pod strażą zostawić, a chłopom otoczyć dwór szczelnie, ażeby nikt wejść i wyjść nie śmiał.

Dla chłopów nie było osobliwością takie zarządzenie. Podobne oblawy i aresztowania odbywały się często.

Wiedząc o tem, że Tadeusz nocuje w oficynie, wprost w tę stronę się udał. Drzwi i okna obstawił chłopami, a sam z kilkoma uzbrojonymi żandarmami do drzwi wchodowych zapukał. Po długiem oczekiwaniu otworzył je zaspany kozaczek, a ujrawszy uzbrojonych ludzi i Iwana Hawryłowicza, którego nieraz widywał, chciał machinalnie drzwi przymknąć. Ale w tej chwili usłyszał groźny wykrzyk:

— Ach ty, sukiń syn!

Równocześnie Iwan Hawryłowicz wałnął pięścią kozaczka w twarz tak mocno, że się na ziemię powalił.

— Gdzie organista?

Kozaczek, ocierając krew z twarzy, ręka drzwi wskazał.

Za drzwiami już szmer był. Tadeusz obudził się. Domyślił się, co to znaczy, i rzucił się do okna, ale w oknie ujrzał dwie twarze chłopskie i w ciemności zamigotały kosy. Ucieczka niemożliwa. Trzeba było poddać się losowi. Przy sobie nie miał żadnych dokumentów ani papierów, tylko laskę, znaczoną tajemniczymi znakami, świadczącymi, u kogo był i na kogo liczyć można.

Otworzył drzwi sprawnikowi i spytał, czegoby sobie życzył.

Zamiast odpowiedzi sprawnik huknął:

— Wiązać tego draba!

Bronił się machinalnie.

— Panie naczelniku! Jakiem prawem pan mnie aresztujesz?

— To się pokaże! Wiązać! Jesteś włóczęgą bez zajęcia.

Tadeusz chciał jeszcze coś mówić, ale jeden z żandarmów zamknął mu usta pięścią, a trzech chłopów rzuciło się do wyciągania rąk w tył i krępowania. Jak związanego barana rzucili go na ziemię. Z równą szybkością związano Makarego. Taki sam porządek zrobiono we dworze, z tą tylko różnicą, że ani starego Żywotowskiego ani Marka nie wiązano. Według mniemania Iwana Hawryłowicza, o tyle nie było do tego powodu, że podejrzany człowiek nie znajdował się w ich mieszkaniu. Zadowolili się przeto tem tylko, że przy nich straż postawił. Kobiety pozostawił na wolnej stopie. Walentego i Hryhorka, śpiących w pokoju obok kredensu, kazał także powiązać. Leżeli skrepowani obok siebie, gdy Iwan Hawryłowicz robił porządek w pokojach Żywotowskiego.

Hryhorko, urwisowatej natury, nic sobie z tego wypadku nie robił, ale Walenty przygnębiony leżał na ziemi i wzdychał.

— Jakże wam tam? dobrze leżeć? — żartował Hryhorko.

— Leż śicho, pókiś cały!

Ale Hryhorko nie dał za wygraną. Kręcił się na ziemi i coś pomrukiwał.

— Nu, nu! Ładnie śpiewa organista, niema co gadać! Walenty nie wytrzymał.

— Podawys hałuszkoku! — krzyknął.

Sprawnik miał metodę w postępowaniu, może przejętą od bardziej doświadczonych: tam, gdzie aresztował rzekomego zbrodniarza, aresztował także zbliżoną do niego służbę, która przy badaniu dawała się zwykle zastraszyć i więcej nieraz mówiła, niż wiedziała.

Ten dzień był dniem triumfu dla Iwana Hawryłowicza. Nie był wprawdzie pewny, czy udało mu się przyłapać zbrodniarza, ale aresztował na prawo i na lewo. To miał prawo robić „po podezreniju“, a resztę „sud razbierot“.

Nazajutrz długi korowód wyruszył z dworu żywotowskiego do powiatowego miasta z paradą ostentacyjną w celu wywołania większego wrażenia. W kibitce żandarmskiej siedział skrupowany powrozami Tadeusz, obok niego żandarm z gołym pałaszem, naprzeciwko także żandarm. Makary miał tylko jednego asystenta. Służba jechała na wozach chłopskich powiązana. A cały ten orszak zamykał sam Iwan Hawryłowicz we własnej osobie. Siedział on z dumną i zadowoloną miną z panem Łukaszem w jego własnym powozie, a wiozły ich cztery dziarskie konie cugowe dworskie.

Więzienie w Lipowcu było największym i najpiękniejszym budynkiem w miasteczku; tam też ulokowano aresztowanych, rozmieściwszy ich stosownie do domniemanej zbrodni: panów każdego osobno, a służbę wepchnięto do wspólnej „kamery“ z kajdaniarzami.

Strasznie odczuł ten cios Tadeusz. Miał wrażenie, że tonie w chwili „właśnie“, gdy już brzeg i ziemię widział przed sobą. Miał tylko jedną drogę wyjścia — zaprzeczyć wszystkiemu, nie przyznać się do win mu zarzucanych,

stać twardo przy wiarogodności swoich dokumentów. Ale czy uda mu się wywinąć z tej matni? Cała rodzina Żywotowskich nie mogła zająć innego stanowiska, jak zupełnej niewiadomości co do osoby Tadeusza, innej, jak tylko paszportowej. Ale czy nie znajdą jakie inne komplikacje?

Na tem pytaniu skupiała się cała jego uwaga, w niem tkwiła jego dalsza przyszłość.

Gdy uwięzieni rozmyślali o swej przyszłości, Iwan Hawryłowicz z raportem i dokumentami Tadeusza popędził do Kijowa, ażeby osobiście zdać sprawę z wypadków, jakie zaszły, i zapytać, co ma robić z aresztowanymi.

Odpowiedź była krótka: przywieźć wszystkich do Kijowa, chłopów odesłać do turmy, panów zdać komendantowi twierdzy. Otrzymawszy rozkaz, Iwan Hawryłowicz wrócił do domu uszczęśliwiony.

VIII. - POD STRAŻĄ.

Po przywiezieniu aresztowanych do Kijowa pan Łukasz raz się tylko przelotnie spotkał w poczekalni generał-gubernatora z Tadeuszem. Oba musieli udąć, że się nie znają, że ich nie zbliża nic — ani stanowisko, ani towarzystwo, że spotkanie się ich miało charakter przypadkowy, że mają żal wzajemny do siebie o to, co się stało.

W asystencji dwóch żandarmów wezwano Tadeusza do kancelarii generał-gubernatora. Satrapą w Kijowie był wówczas słynny Dmitrij Gawriłowicz Bibikow. Gdy wprowadzono Tadeusza, Bibikow, nachylony nad biurkiem, udawał bardzo zajętego. Twarz miał nachmurzoną i niezadowoloną. Podniósł wreszcie głowę. Barczyła jego postać, ozdobiona mundurem, orderami i wstążkami, miała coś kłocowatego w sobie, nieobrobionego, pospolitego. Zdawało się, że rzeźbiarz rzucił tylko bryłę cielska ludzkiego, ledwie zaznaczywszy kontury, w zamia-

rze wykucia z niej ludzkiej postaci, ale bryła zastygła w swoim pierwotnym kształcie, a raczej bezkształcie. Oparł się o ramię fotelu i jedyną swoją ręką, jaką posiadał, gładził podbródek. Milcząc, jastrzębi wzrok utkwiał w Tadeuszu. W pokoju panowała dziwna cisza — ciężka, zła. Dwaj żandarmi stali nieruchomo po obu stronach Tadeusza, zwróciwszy oczy, według urzędowego regulaminu, w naczelnika. Bibikow patrzył i milczał. Cisza i milczenie miały charakter atmosfery przed burzą, przeszyconej elektrycznością.

— Nu, kak-że? — zapytał suchym, przeciągłym głosem, nie odrywając wzroku od twarzy Tadeusza.

— Nie wiem, o co waszej ekscelencji chodzi — odezwał się pokornie Tadeusz.

Bibikow poruszył się na fotelu niecierpliwie i syczącym, złośliwym akcentem znowu pytał:

— Nie wiesz? Nie wiesz? A ja wiem.

I znowu go świdrował wzrokiem jastrzębim.

— Powstania wam się zachciewa — co? Ja wam dam powstanie! Takich, jak ty, wywieszam, a takim, jak pan Żywotowski, odbiorę ochotę [do wspierania „emisarów”.

Tadeusz na ubranie swoje nędzne, wytarte, poszarpane w podróży wskazał.

— Proszę waszej ekscelencji — oto są dowody wspierania...

Bibikow powstał gwałtownie i wyprostował się. Oczy gniewem mu się zaiskrzyły.

— Znamy was... znamy... — mówił z półuśmiechem ironicznym, skinąwszy głową. Wam tam w Paryżu jakaś ojczyzna w głowie... duraczestwo... króla sobie obraliście... cha, cha, cha! Ojczyzną waszą — Rosja, królem waszym — car.

— Ekscelencjo! Nie byłem nigdy w Paryżu... jestem ubogim organistą, szukającym kawałka chleba...

— To się pokaże....

Sięgnął ręką do biurka, papier jakiś ujął i wetknąwszy w rękę jednemu z żandarmów, rzekł krótko:

— Do komendanta — marsz!

Twierdza kijowska zaczęła się dopiero zabudowywać. Stara forteczka Piotrowa miała przybrać nową, obszerną szatę i zająć całe miasteczko Peczersk.

Tadeusz nie miał pojęcia, do jakiego punktu dąży. Szedł powoli w asystencji żandarmów, których pałasze błyszczały od słońca nad skrzepowanym więźniem. Szedł bez czapki, bo mu pod samym Kijowem z głowy spadła, mrużąc oczy od jaskrawych promieni słońca, a jednocześnie z ciekawością wodząc okiem dokoła. Podążał szeroką ulicą, zwaną Lipkami. Domy coraz były rzadsze, coraz głębiej zdawało się chowały się między drzewami — i znikły. Plac pusty. Na lewo brzozy, leszczyna, ciernie, dzikie róże, na prawo wąwóz głęboki o zielonych ścianach, porośnięty karłowatymi drzewami. Zdaleka szum dołatywał — Dniepr zapewne. Przed nim w perspektywie budynku niedokończone... sieć gęsta rusztowania... postacie ludzkie snują się na niem... Zbliżają się — to zapewne jakiś pawilon nowej twierdzy. Weszli niby do nowego miasta: cerkiew jedna, druga, potem zarysowuje się jakaś masa murów, a nad niemi wznoszą się kopuły, krzyże — to słynna Ławra zapewne. Na prawo znowu wznoszące się budowle z cegły — czworobok olbrzymi, dalej drugi budynek w kształcie podłużnego czworoboku, potem trzeci, czwarty równej wielkości i formy. Znowu plac, pośrodku niewielka cerkiewka, bez ogrodzenia, samotna, opuszczona.

Pochód zatrzymał się przed podłużnym budynkiem koszarowego stylu — to biuro komendanta. Weszli do środka izby, cuchnącej tytoniem i wyziewami brudnego ciała ludzkiego. Oddano „papier“. Tadeusz stał przy drzwiach milcząc i rozglądał się po tej jaskini carskiej przemocy. Papier przechodził z rąk do rąk, wędrował z pokoju do pokoju, aż po długiej chwili zjawiło się trzech żołnierzy uzbrojonych w karabiny i zajęli miejsce żandarmów. Żandarmi odstąpili na bok — „zdali aresztanta“...

Zjawił się placmajor, wetknął żołnierzowi do rąk „bumagę“ i rzekł krótko:

— Na Piotrowski odwach! Zdasz oficerowi dyżurnemu.

Znowu na świeżem powietrzu. Rzeźwiej. Przeszli kilkadziesiąt kroków przez niedokończoną bramę murowaną, w wale ziemnym ukrytą, i znaleźli się tuż na mostku, rzuconym przez szeroki rów.

— Otocza cytadelę — pomyślał Tadeusz.

Od mostku kręto wijąca się droga w dół wiodła. Stara droga historyczna, prowadząca do równie starej Nawodnickiej przystani. Wiała się między niedużemi pagórkami, pokrytymi ze wszystkich stron zieloną murawą. Tu i ówdzie grupy olbrzymich brzośców i jesionów. Na jednym zakręcie ukazała się w perspektywie dość wielka polanka, z trzech stron otoczona górami, a z jednej wąwozem, schylającym się ku Dnieprowi, porośłym zrzadka starodrzewiem. W końcu polanki podłużny budynek parterowy, samotny, na blado-żółtawą barwę malowany — odwach. Poznał po szeregu karabinów sterczących na platformie i po snuciu się żołnierzy.

— Może tutaj? — pomyślał Tadeusz.

I nie pomylił się: asystujący żołnierze skęcili wprost do odwachu i do izby sztyldwachowej weszli. Wyszedł oficer dyżurny, odebrał „bumagę“, zawołał podoficera, który z pękiem kluczyw przyszedł, i rzekł obojętnym głosem:

— Nomier wtorej!

Kilkanaście kroków — i Tadeusz znalazł się w samotnej celi.

Zgrzytnięcie zasuw, trzask zamka — i wszystko skończone. Stał pośrodku celi jakby odurzony, jakby nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co się stało. Oszłomie nie ogarnęło go tak wielkie, że prawie uczuł się nieprzytomnym. Niby napół śpiący, zrobił parę kroków, i ruch ten obudził go.

Więzienie... Opanowało go dziwne wrażenie. Dotychczas był wolnym jak ptak; nagle, zerwawszy się do lotu,

uczuł, że skrzydła ma podcięte. Zrobiwszy dwa kroki, znalazł się tuż przy ścianie.

Znowu nasunął mu się, niby zmora ciężka, wyraz „więzienie”. Wszedł tu ogrzany jasnymi promieniami słońca, oświetlony ich blaskiem. Jeszcze w oczach miał roztopione złoto słoneczne. Nagle chłód uczuł — przejmujący, wilgotny, oślisły. Rozbijałym nerwom nasunął się znowu wyraz nowy, inny, niby echo tajemnicze — grób.

Westchnął bezwiednie i rozglądać się począł.

Ponad wysokością głowy swojej dojrzał niewielkie zakratowane okienko. Grube żelazne kraty, spięte na poprzecznych łącznikach równie grubymi żelaznymi kółkami, w ściany na cemencie wpuszczone, zdolne były zamknąć świat przed słońcem, nie tylko przed człowiekiem. Mały, zgruba ciosany stolik, takież stołek, równie niewybredne łóżko, na którym leżał jak ziemia czarny siennik i także poduszka, uzupełniały umeblowanie celi.

Pokręcił się trochę na miejscu prawie, znowu powiódł okiem po spleśniałych ścianach, po których spływająca wilgoć pozostawiała smugi różnej szerokości i odcieni, i nie bez obrzydzenia na sienniku usiadł.

Tak nieruchomie prawie przesiedział dół wieczora. Poznał wieczór po zmroku, który w izbie zapanował. Półcień zastąpiła ciemność.

Tadeusz, zmęczony podróżą niewygodną, głodem, wstrząśnieniem moralnem, jakie przebył, ocierając się o przedpokoje Bibikowa i słuchając jego żołdeckiego burczenia o ojczyźnie — Rosji, wdychając w siebie zatrute powietrze kancelarii koinendanta, zdrzemnął się trochę.

Łoskot poruszonej gwałtownie zasuw w zamku jego celi obudził go. Zdało mu się, że słyszy wystrzały dział, świst lecącej bomby. Porwał się na równe nogi i stanął jak wryty.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu ukazał się klucznik, trzymając w ręku świecę, w niewielki żelazny świecznik wetkniętą. Tkał mu ów świecznik do rąk i mówił

— Proszę postawić tam — wskazał przymurek, niby kawałek cegły wystający ze ściany — gasić nie wolno.

Tadeusz machinalnie ujął świecznik, skrzeplym łojem nawisły, i takie go obrzydzenie ogarnęło, że ledwie z ręki mu nie wypadł. Trzymał go, jakby nie wiedząc, co ma począć.

Klucznik, patrząc bałwanowatym spojrzeniem na Tadeusza, trzymającego lichtarz, powtarzał:

— Postawić... postawić...

Ujął wreszcie z rąk Tadeusza świecznik i sam postawił.

Nawrócił do drzwi.

Tadeusz uczuł pragnienie.

— Proszę wody — wyszeptał suchemi ustami.

— Przyniosą — rzucił obojętnie klucznik i zaryglował cele.

Został znowu sam w półciemności. Przy ścianie paliła się świeczka łojowa czerwonym, brudnym, kopcącym płomieniem, który na szarej ścianie znaczył swoje życie czarną, ostrą smugą.

Długo w noc zasnąć nie mógł Tadeusz. Nikt nie przynosił ani wody, ani jadła. Kręcił się w kółko po maleńkiej izdebce więziennej, siadał na tapczanie, mając wrażenie, że się przylepia do czegoś tłustego od potu i brudu ludzkiego, zrywał się ze wstrętem, znowu siadał. Były to ruchy prawie nieświadome, bez żadnej potrzeby. Myśl jego poza pierwsze wrażenia, jakich doznawał, nie sięgała. Zmęczony wreszcie tem fizycznym szamotaniem się, rzucił się, jak był w ubraniu, na brudny tapczan i zasnął twardo.

Zmęczenie zwyciężyło. Spał bardzo mocno i długo. Gdy się obudził, nie mógł zmiarkować, jaka to jest pora dnia, gdyż poprzedniego dnia przekonał się, że szary jednostajny półcień, jaki w celi panował, nie pozwalał mu odróżnić poranku od wieczora.

Posłyszał znowu trzask rygli żelaznych i zgrzyt klucza. Drzwi się otworzyły. Tym razem weszła inna osobistość. Był to tak zwany stróż więzienny. Żołnierz, bo był ubrany w szynel wojskowy, ale nic rycerskiego w sobie nie miał. Na zgarbionem nieco cielsku wisiał stary, wytarty szynel, tak straszliwie brudny, że zwykła szarość żołnierskiego sukna przybrała barwę burego dymu. Zdawało się, że ktoś tę biedną sołdacką szatę zawiesił w kominie, ażeby ją sadza obsiadła i przylgnęła do wełny. Tylko czerwone kawałeczki sukna, przyszyte na klapach, barwy zaschłej krwi, i matowo połyskujące guziki świadczyły, że to był płaszcz wojskowy. Jakby odpowiednik do niego, twarz stróża miała barwę brudno-ziemistą, czoło wąskie, a pod niem dwie linje, raczej dwie taśmy gęstych czarnych brwi, które nad siodłem nosa łączyły się rzadziej obrośniętem wygięciem. Włosy miał strzyżone krótko, grube, czarne, sterczące jak szczecina na grzbiecie dzika. W rękach brudnych do niemożliwości, o palcach zdobnych w czarne pręgi pod kończynami paznogi, trzymał drewnianą, lakierowaną w kwiaty miskę jarosławskiej roboty z wetkniętą w nią drewnianą, także lakierowaną łyżką w formie półokrągłej łyżek starego typu.

Postawił miskę na stole.

— Wot wam szczy... Sałdatskij stoł, batiuszka, sałdatskij — przemówił, pokazując szereg równych, pięknych, białych zębów, które znać nie szczoteczką, ale grubym żołnierskim chlebem czyścił.

Tadeusz nie zwrócił uwagi, na to, co mówił stróż, jakby nie słyszał; zapytał tylko:

— Która godzina?

— Dziesiąta może będzie...

Obrócił się i wyszedł.

Zapach jadła obudził w więźniu apetyt. Od dwudziestu czterech godzin nic w ustach nie miał. Przy misie leżał kęs czarnego chleba. Tadeusz ujął miskę i zbliżył się do okienka, ażeby się przypatrzeć, co też to za kapu-

śniak. Na wierzchu pływały oka tłuszczu i otaczały do-koła jakiś przedmiot niewielki, podłużny, o barwie brudno-białej. Wziął łyżkę i zamieszał. Znowu na powierzchni kapuśniaku ukazały się te same koła tłuszczu z tą samą brudno-białą masą w środku, tylko w nieco innym poło-żeniu. Zdało mu się, że to taka mała rybka, którą Mo-skale często do kapuśniaku wrzucają, a która nazywa się śnietką. Przypatrując się bliżej, zdało mu się, że z pod-brusza tej rybki wyglądają niby strzępki cieniutkie, niby nitki. Dalsze badanie rozczerowało go zupełnie: w kołach tłuszczu nie pływały zgoła rybki, ale najzwyczajniejsze stonogi.

Postawił milcząco miskę na stole i zaczął powoli chleb przeżuwać. Wizyty stróża powtarzały się regularnie rano i wieczorem i z taką samą regularnością zjawiał się na stole kapuśniak rano, a kasza wieczorem, z tą tylko różnicą, że w kapuśniaku można było dostrzec całkowite stonogi, a w kaszy tylko ich szczątki.

Tadeusz przyzwyczajał się powoli do tego jadła. Nau-czył się wyrzucać z kapuśniaku stonogi, jeśli już zbyt na-trętnie cisnęły się do łyżki, a w kaszy — udawał, że nie rozróżnia od krup.

Dnie więzienne upływały leniwie. Na ścianie paznog-ciem wyrysował sobie kalendarz i codziennie zamazywał jedną liczbę.

Począł myśleć o przyszłości swojej, która nie ryso-wała się przed nim różnemi barwami. Czekał, aż go wezmą do przesłuchania, aby z ust sędziego śledczego, z jego pytań wywnioskować, ile wie prawdy, i według tych pytań się orjentować.

Na ciemnej ścianie trzonkiem od łyżki wyrzył sobie słowa Mickiewicza:

... i ty w samotnem więzieniu
Dumaj o swem przeznaczeniu.

Było to smutne memento.

Mijały tygodnie, a Tadeusza nie wołano wcale do przesłuchania. Tymczasem badano służbę i zdobywano

coraz więcej poszlak. Zeznania Walentego były tak szczere i tak naiwne, iż sędzia odrazu zmiarkował, że od niego niczego pewnego dowiedzieć się nie można będzie. Widywał wprowadzić Francuza i widywał organistę, ale Francuza brał za człowieka zgoła odmiennego od organisty.

Natomiast Hryhorko okazał się bardzo pożytecznym: do prawdomówności, gadał wszystko, jak mu się przedstawiało. W organiście poznał Francuza, wiedział o tem, że pan Dromirecki był w przyjaźni z Francuzem i organistą, chociaż przed ludźmi ukrywali się z tem. Pan dziedzic znał także Francuza, ale udawał, że nie zna, a organistę to tak traktował jak organistę, ale w gabinecie długo się z nim zamykał i długo gadali — niewiadomo o czem. Pochodząc sam z Żywotówki, Hryhorko chodził tam często i dowiedział się innych ciekawych rzeczy od stryja swego, Semena Panasiuka, który z dwiema parowicami wołów czumakował do Odessy z pszenicą: że w drodze przed Parszyweńką karczmą na stepie przyplątał się do walki czumackiej jakiś wędrowny organista, który za chlebem włóczył się po świecie — bisowa detyna — grał i śpiewał, a o pańszczyźnie i o wolności gadał jak chłop.

Hryhorko wnet się połapał.

— A jak wyglądał ten organista?

Czumak opisał jego postać.

— Dogonił nas — powiada — za Lacką Wolą, a potem nawrócił na Białą Cerkiew.

— Nie poszedł on tam, ale znalazł się w Żywotowie, a was pewnie bałamucił, że do Białej Cerkwi idzie.

Z początku Hryhorko nie nadawał wiele wagi tej wiadomości. Intrygował go, co prawda, ów organista, ale nie dziwił się, że z „panami“ przestaje. Uważał to za fantazje pańskie. Teraz dopiero rozjaśniło mu się w głowie po tem, co słyszał, od Semena, że ten organista ludi do buntu podmawiał.

Gdy czumak przed sędzią zeznał i powtórzył całą rozmowę, nie było dla sędziego wątpliwości, że organista był jednym z emisariuszy, namawiających do nowego powstania szlachtę, a chłopów do buntu.

Wymknęło się tylko przy śledztwie, że organista w Lackiej Woli nocował u plebana.

Zdziwił się Tadeusz niepomału, gdy zjawił się u niego oficer dyżurny z cyrulikiem, który mu ostrzygł włosy i zgolił brodę. Domyślał się z tego faktu, że identyczność jego z Francuzem wykryto i sprawdzono. Męczyła go tylko jedna myśl: czy dowiedziano się o tem, że nocował w Lackiej Woli? Wówczas i wuj, i matka byliby niezawodnie uwięzieni i pociągnięci do odpowiedzialności.

Pewnego dnia został wreszcie wezwany do przesłuchania i spotkał się oko w oko z Hryhorkiem i Semenem. Hryhorko dowodził tożsamości, a czumak opowiadał szczegółowo rozmowę z organistą. Tadeusz jedną miał tylko drogę do obrony — zaprzeczał. Zaprzeczał, żeby był emisariuszem, i obstawał, że jest organistą. Na pierwsze nie miał żadnego dowodu, na drugie — był pewny, że z Poznania nadejdzie odpowiedź potwierdzająca. Potępiły go stanowczo przebiegania się, owa rola raz kupca win czy komisanta, drugi raz — organisty, a już najbardziej pograżyły go zeznania Semenów co do długich rozmów na wozie i przy ognisku czumackim. Starał się je osłabić tem, że czumak nie wszystko dobrze rozumiał, ale faktu samego i szczegółów, zeznanych pod przysięgą przez czumaka i Hryhorka, obalić nie mógł.

Wrócił do kaźni zgnębiony i zmiażdżony moralnie.

W słabo oświetlonej celi więziennej zjawiło mu się po raz pierwszy widmo i krwawemi ślepiami wpatrzyło się w niego. Zachnął się. Płomyki różowego światła wydały mu się czemś podobnem do krwi... Rozszerzonym spojrzeniem wpatrywał się w nie i sam do siebie szepnął:

— Śmierć...

Czy lękał się śmierci? Nie. Przecież wiedział, że, idąc na tułaczkę od dworu do dworu i przykładając ucho do każdego spotkanego na drodze serca, może i zdrajcę napotkać; ale smutek go ogarniał i żał, że może wskutek tego marnie przepadną wszelkie usiłowania, zmierzające do wydobycia ze szponów niewoli tej Polski, dla której młode swoje życie poświęcił. A własne szczęście? Tak bliskie... tak pełne jasnych nadziei? Ale czemu być mogło to jego szczęście osobiste wobec przeświadczenia, że był jednym z tych, którzy przyczynili się do szczęścia Ojczyzny? Teraz nadzieja ta pierzchła przed nim. Jak ptak, zamknięty w klatce, zginąć musi, patrząc tylko na słońce i niebo.

IX. NA ODWACHU PIOTROWSKIM.

W Kijowie, na Peczersku, mieszkała stryjeczna gałąź Słomowskich, z którą rodzice Tadeusza rzadko się stykali. Było to pokrewieństwo dalekie i ze względu na krew i ze względu na oddalenie. Stąd też i stosunki bywały tylko przypadkowe.

Jakób Słomowski był inżynierem wojskowym. Dzieckiem dostał się do Petersburga, tam ukończył szkołę inżynierską i, przerzucany z jednego końca Rosji na drugi, oparł się wreszcie w Kijowie, gdzie był zatrudniony przy budowie fortecy. Ożenił się z Polką i dom prowadził polski. Miał tylko dwie córki w wieku Helenki Żywotowskiej. Przed rokiem przeszło umarł. Wdowa kupiła niewielki domek na ulicy Moskiewskiej na Peczersku i żyła z emerytury w zupełnem prawie odosobnieniu.

Środek ciężkości Kijowa, dotychczas skupiający się na Peczersku, począł przesuwac się w inną stronę — ku Lipkom i na Stare Miasto, to też Polaków na Peczersku było kilka rodzin zaledwie. Ta okoliczność, jako też stanowisko urzędowe męża w świecie wojskowym, zetknęły

rodzinę Słomowskich ze sferami wojskowemi. W załodze pułku, przebywającego w Kijowie, był porucznik Popow, mieszkający z matką Polką, jedną z tych, które los rzucał na wygnanie z rodziną. W Orenburgu spotkała człowieka uczciwego, Moskala, i ażeby ulżyć doli rodziny, wyszła za niego za mąż. Syn, jedynak, poszedł drogą ojca — wstąpił do wojska, a wdowa wraz z synem zamieszkała w Kijowie. Obie wdowie rodziny zbliżyły się. Młody Popow, acz nosił nazwisko moskiewskie, wychowany był po polsku i duszę miał polską. Od dzieciństwa wsiąkały w nią myśli i uczucia polskie. Religja urzędowa, nazwisko, stanowisko ojca — wszystko to zasłaniało jego polską duszę przed wzrokiem „naczelstwa”.

Jako oficer, odbywał wartę na Piotrowskim odwachu.

On to przyniósł wiadomość do domu inżynierowej, że aresztowano jakiegoś Polaka i w bardzo sekretnej celi zamknięto na odwachu. Zainteresowały się tem żywo kobiety, ażeby mu w czemkolwiek przyjść z pomocą, a przede wszystkim pragnęły dowiedzieć się, co to za jeden.

Popow nie znał nazwiska więźnia.

— Nic łatwiejszego, jak się dowiedzieć — zauważyła Słomowska. — Wuj pański jest sędzią śledczym i z pewnością tę sprawę ma w swojej opiece.

Uwaga była słuszna. To też Popow naprowadzał tak rozmowę z wujem, aby coś od niego wydobyć. Stary instygator zbywał siostrzeńca półsłówkami.

— Ach, ci Polacy! Co za niespokojny naród! Ledwie rząd zdusił jedno powstanie, a już o drugim myślą.

Popow potakiwał. To podniecało starego.

— Znowu „emisarów” rozsyłają wszędzie... Już jednego rozstrzelano w Wilnie, a wypadnie z pewnością rozstrzelać drugiego w Kijowie, aby im ochotę do powstań odebrać.

Popow skombińował, że niebezpieczeństwo wisiąco nad tym, którego nieraz oglądał na odwachu.

— Ciekaw jestem, z jakiej to sfery? — zagadnął niby naiwnie wuja.

Wuj odburknął z oburzeniem:

— Z jakiej? Wiadomo. Chłop do tych powstań nosa nie tka, tylko szlachta.

— Czy przyznał się może?

— Nie z tych, aby się przyznał.

Pomyślał chwilkę, jakby się wahał.

— Ale już wiemy wszystko.

Utknął na tym wyrazie.

— Eh, ta szlachta, szlachta polska! Gdyby nie ona, już dawno byłby spokój w Rosji. Tylko szlachcie zachciewa się buntów. Wieszają ich, strzelają, wysyłają na Sybir, konfiskują majątki, aby nie mieli czem buntów podsycać, — wszystkomało. Ledwie jedno pokolenie podrośnie — znowu bunty.

Rozgadał się sędzia i już nie panował nad sobą.

— Ot i ten, na przykład; ojcu jego skonfiskowali majątek, zdechł jak pies z głodu i chłodu w drodze na Syberję, a syn co? Myślisz, poprawił się? Nie tędy droga! „Jak raz“ przyłapali na intrygach. Aż z Paryża latał tutaj ludzi buntować — no, i przyłapali.

— Ale nie przyznawał się szelma z pewnością do swego nazwiska? — podniecał Popow.

— Znamy je już — nazywa się Słomowski. Nic mu fałszywy paszport nie pomógł.

Pomiarkował, że powiedział za wiele. Więc się do krewniaka zwrócił z miną ostrą.

— Ale ty pamiętaj! — rzekł, groźnie na niego spojrzawszy — trzymaj język za zębami! Car-batiuszka nie żartuje! Zdegraduje w żołdacy!

Lecz czarne oczy panny Słomowskiej miały większy urok dla młodego porucznika, niż pogrożki wuja.

Tegoż jeszcze wieczora oświadczył przy herbach wieczornej:

— Proszę sobie wyobrazić, że ten biedak, który siedzi na Piotrowskim odwachu, nazywa się Słomowski... imiennik państwa.

Wywołało to pewne mimowolne zamieszanie. Zapanało chwilowe milczenie.

— Co za zdarzenie! — zawołała Słomowska.

Wykrzyknik ten jednak był zagadkowy. Niewiadomo, czy wyrażał zdziwienie, czy lęk jakiś. Raczej jedno i drugie.

— A nie wie pan, jak mu na imię? — spytała po chwili.

— Nie wiem.

A potem dodał:

— Ładny mężczyzna... trzydziestoparoletni...

— Jeśli Tadeusz, to z pewnością z naszej stryjecznej linii.

— Niechże się go pan zapytał

— Niebezpiecznie — wtrącił z uśmiechem, spojrzawszy w oczy pannie Słomowskiej.

— Ładny z pana żołnierz! — posłyszał w odpowiedzi.

W kilka dni potem przyniósł wszakże wiadomość: nazywa się Tadeusz.

Tadeusz, stykając się codziennie z dyżurnymi oficerami na odwachu, zwrócił uwagę na Popowa, który wyróżniał się od swoich po żołdacku chowanych kolegów układem towarzyskim, pewną miękkością w stosunku z więźniem, a przede wszystkim wyrazem twarzy łagodnym i dobrym. Długo czas przy spotkaniu się przemawiali do siebie tylko spojrzeniem. Niema ta rozmowa miała na dnie swoim pewną sympatię i zaufanie.

Drzwi od celi więziennej Tadeusza wychodziły wprost na pokój oficera dyżurnego. Nie było to bez znaczenia. Chodziło o to, aby bezimiennego więźnia nie stykać bezpośrednio z żołnierzem i nie dawać mu powodu do porozumiewania się. Żołnierz, stojący na warcie w tej samej izbie, w której siedzi dyżurny oficer, był prawie zupełnie pozbawiony możliwości stykania się z więźniem, na-

wet przez małe, siatką drucianą zaciągnięte okienko w drzwiach celi więziennej.

Gdy pewnego dnia Popow objął wartę na Piotrowskim odwachu, podoficer wprowadził szyldwachę, aby go przy drzwiach więziennych postawić. Popow zatrzymał go w pół pokoju.

— Zdaje mi się, że tu szyldwach zbyt cicho — zauważył niedbałym tonem przełożonego — przecież ja tu jestem cały dzień... Nie trzeba męczyć zbyt cicho i bez potrzeby żołnierzy.

Uwaga wydała się tak słuszną, że nie tylko nie napotkała opozycji, ale przeciwnie wywołała wśród żołnierzy najlepsze wrażenie.

— Oszczędza żołnierzy — mówiono — dobry człowiek!

Popow, uczuwszy się sam w pokoju, bez niemej kontroli żołnierza, wyszedł na ganek, do sieni, sprawdził niby strażę i porządek, a w rzeczy samej przekonał się, czy w pobliżu pokoju oficerskiego nie ma nikogo. Wszedł wówczas i zbliżywszy się do okienka, zapytał po polsku:

— Jak imię?

Pytanie to zdziwiło Tadeusza. Przecież to nie mógł być podstęp — pomyślał — bo pocóżby był ten szepet? Zresztą miał jakieś niewytłumaczone zaufanie do tego młodego oficera, którego oczy były takie dobre i głos miły.

Odpowiedział więc bez wahania: — Tadeusz.

Ta przelotna wymiana kilku słów pozwoliła mu się domyślić, że ktoś czuwa nad nim. Nie miał wielkiej nadziei, ażeby z pazurów moskiewskich wyrwać się cało; ale przecież czuł jakąś radość wewnętrzną na myśl, że ktoś o nim pamięta, że czyjaś niewidzialna dusza w tym samotnem więzieniu lata koło niego. Tego dnia ani słowa nie przemówili do siebie.

Co się dzieje z Żywotowskim, z Makarym, z matką — nie miał najmniejszego pojęcia i niepokoił się tem więcej, niż własną przyszłością. Czuł, że jedyną drogą, którą wiadomości przedostać się mogą do niego, był ten młody,

o łagodnej twarzy oficer, który go o imię zapytał, i czekał na zjawienie się jego na warcie jak jakiej najlepszej nowiny.

Tymczasem pani Łukaszowa z Helenką i matką Tadeusza zjechały do Kijowa, aby być bliżej uwięzionych i w razie potrzeby przyjść im z jaką pomocą. Wnet po arestowaniu Łukasza majątek jego zasekwestrowano, wprowadzono administrację rządową, a pani Łukaszowej z córką i synowi kazano się usunąć. Na szczęście, Żywotówka była zahipotekowana na własność Marka, rząd nie miał przeto prawnego powodu do sekwestru, a jakkolwiek była z dwoma folwarkami w dzierżawie pana Tyburcego Starykoń Żmijewskiego, znalazło się w niej miejsca poddostatkiem dla wypędzonej z majątku rodziny pana Łukasza.

W Kijowie pani Łukaszowa zetknęła się z matką Tadeusza, która, przypomniawszy sobie rodzinę krewnych męża, do nich się wprost udała i zamieszkała na Peczersku.

Za pośrednictwem Popowa dowiedziała się, że sprawa Tadeusza stoi najgorzej: śledztwo wykazało dowodnie, że był emisariuszem, że do buntu podżegał szlachtę, że chłopów chciał przeciwko rządowi podburzyć. Od wuja słyszał, że będzie rozstrzelany, ale nie miał odwagi powiedzieć tego matce. Powiedział tylko, że będzie prawdopodobnie zesłany na Sybir na całe życie.

Wszelkie próby i usiłowania matki zbliżenia się do Bibikowa i zjednania go sobie przez jego faworyta i szefa kancelarii Pisarewa okazały się bezskuteczne. Szczęśliwszą pod tym względem była pani Łukaszowa, której udało się przekupić łatwego do przekupienia Pisarewa i uzyskać pewne ulgi dla więźnia. Dowiedziała się od niego w wielkiej tajemnicy, za kilka tysięcy rubli kupionej, że Żywotów został skonfiskowany, a pan Łukasz, ponieważ większej winy na nim nie znaleziono, będzie wysłany na całe życie do jednej z północnych gubernij Cesarstwa. Wiedział on wprawdzie na pewno, że do Wologdy, ale

nie chciał zdradzać tajemnicy w zupełności. Co zaś do Tadeusza — kubany nie przeszkadzały mu być bardzo ostrożnym; krótko tylko odpowiadał: źle, bardzo źle. O ile Żywotowskiemu wolno było posyłać do więzienia bieliznę i jadło, o tyle z Tadeuszem wszelkie stosunki były unie możliwione. To właśnie wydawało się najgorszem.

Popow, usunąwszy sztyldwacha z przed okienka Tadeusza w czasie odbywania warty, był o tyle swobodniejszym, że mógł więźniowi rzucić przez okienko jakieś życzliwe słowo. Gdy poznał matkę, pełną niemej rozpaczy o los syna, nie mógł oprzeć się pokusie, aby więźniowi kilku życzliwych słów nie rzucić do celi.

Zbliżył się przeto do okienka i, jak zawsze, szepnął:

— Matka przyjechała... zdrowa...

Po krótkich tych słowach Tadeusz dosnuwał reszty. Przyjechała — to znaczy, że pobyt jego w Lackiej Woli nie został wykryty. Ucieszył się tem ogromnie. Lżejszem wydało mu się własne cierpienie, gdy wiedział, że biednej matki żandarmi nie wozili kibitkami, że nie była zmuszona jeść gorzkiego chleba więźnia.

— Proszę ucałować jej ręce — rzekł ze wzruszeniem.

Nieznajomy oficer, przemawiający po polsku pomimo munduru moskiewskiego, wydawał mu się zesłańcem z jakichś szczęśliwych zaświatów. Nabral do niego prawie braterskiego zaufania. Czuł jakąś radość w duszy, ile razy widział Popowa na warcie na odwachu. Sam widok jego spokojnej, dobrej twarzy sprawiał mu ukojenie.

Nazajutrz, wnet prawie po zmianie warty, Popow poleciał do Słomowskich i powtórzył matce słowa syna.

Staruszka tak była uradowana i wzruszona, że mimo woli wyciągnęła ręce, ujęła obiema dłońmi głowę młodego oficera i w czoło go pocałowała.

— Musisz bardzo kochać własną matkę, kiedy boleść cudzej uszanować umiesz.

Niewiele więcej mógł zrobić Popow nad to, co zrobił. Wiedział, że jest także pilnowany, a najmniejsza nieostroż-

ność z jego strony zakończyłaby się kulą. Od wuja dowiedział się, że Tadeusz był skazany na rozstrzelanie, a wyrok poszedł do Petersburga wraz ze wszystkimi aktami.. Lada dzień spodziewano się powrotu z fatalnym napisem: „był po siemu“. Do uratowania go nie widział najmniejszego sposobu. Robił jedynie to, co ludzkie uczucia robić nakazywały. O tem, że wyrok, skazujący na śmierć, ma być przedstawiony do decyzji cara, oczywiście nie wspominał nawet. Może przyjdzie ulaskawienie? — myślał — pocóż mam zatruwać i bez tego zatrute już życie? W miłościwe serce cara nie wierzył bardzo. Mikołaj był nowożytnem wydaniem Iwana Groźnego, ubranego w mundur rosyjskiego generała.

Pocieszał matkę tem, że Tadeusz na Sybir zesłany będzie.

Ale Tadeusz znać także niebardzo wierzył w łaskę carską, bo częściej śnił mu się dół grobowy, niż śnieżna droga Sybiru.

Śród długich samotnych dni i nocy często myśl jego zwracała się do Helenki. POCO z nią odnowił znajomość? poco jej i sobie obiecywał szczęście? Krótko trwały chwile nadziei, zamiast szczęścia przyniósł tylko nieszczęście całej rodzinie. Bezczytność wprost go pożerała. Gdyby pióro, ołówek, papier — byłby może pisał to, co mu bezsenne noce nawiewały — nic, nic... Kiedyś, wychodząc z celi, znalazł kawałek zardzewiałego gwoździa i schował go ni by skarb jaki — zupełnie machinalnie, nie jako rzecz potrzebną, lecz nową, inną, niż te, jakie codziennie widywał. Raz w kapuśniaku znalazł rurę cielecą. Wyjął ją i na oknie położył.

— Muszę coś z tego zrobić — pomyślał.

Ale ażeby zrobić — miał tylko kawałek gwoździa.

Pewnej nocy wstał i długo kręcił się po swoim ciasnem więzieniu. Kolejno myślał o wszystkich, przesuwając w pamięci swojej wszystkie chwile od najwcześniej-

szej młodości aż do tej, kiedy się z Helenką miał na wieki połączyć.

Stał nagle, jakby myślą jaką uderzony.

— Zrobię dla niej pierścionek zaręczynowy... Może to będzie jedyna po mnie pamiątka?

Nazajutrz wyjął kość z ukrycia, zbadał i począł ostrym końcem wydłubywać rowek naokoło. Rowek pogłębiał się coraz bardziej, nareszcie brzeg kości odłamał się, pozostawiając małe nierówności. Wygładził je o mur, począł znowu z taką samą trudnością robić drugie wgłębienie. Cały dzień trwała ta robota. Pod wieczór dopiero oddzielił kawał kości z wydrążeniem wewnątrz kształtu szerokiego pierścienia. I drugą stronę tego kawałka o mur oszlifował. Wyrównał i wygładził wewnątrz pierścienia, a na wierzchniej jego części wykreślił ostrzem gwoździa dwie ręce we wzajemnym uścisku.

Nazajutrz była zmiana warty i zwykle codzienne przeszukiwanie celi więziennej (przez oficera, przyjmującego wartę. Czynność tę wykonywał zwykle podoficer w obecności obu oficerów.

Na szczęście, tym razem oficerem przyjmującym wartę był Popow. Gwoździa podoficer nie znalazł — zdołał go Tadeusz ukryć, ale znalazł niedokończony pierścień z kości.

Podniósł go do góry i pokazał.

— Wasze błahorodje? — rzekł, jakby pytając, co z tem robić.

Popow domyślił się, że jest to jedna z tych robót, których jedynie podejmuje się wytrwałość cierpliwa i brak zajęcia u więźniów.

Uśmiechnął się wyrozumiale, skinął ręką i rzekł udanym obojętnym głosem.

— Zostaw to... głupstwo...

W kilka dni potem pierścionek i dwie splecione w uścisku dłonie były już wykończone, starannie przechowywane i oczekiwały czasu warty Popowa. Przez kilka dni Tadeusz przechowywał pierścionek jak mógł najtroskliwiej,

ażeby mu nie odebrano. Doczekał się wreszcie objęcia warty przez Popowa, a gdy tylko spostrzegł, że wszystko się na platformie i w „karaulce“ uciszyło, zbliżył się do okienka zadrutowanego. Popow podszedł.

— Poruczniku — odezwał się — jedną mi jeszcze oddaj przysługę.

Popow nachylił się.

— Wiesz, że mam narzeczoną... poznałeś ją... Zrobiłem dla niej pierścionek zaręczynowy... widziałeś go... zdołałem uratować... wykończyłem... Czy możesz jej wręczyć?

— Dobrze.

— Położę go na stole w czasie rewizji wieczornej...

Za drzwiami rozległo się stąpanie ciężkich kroków. Odstąpili obydwaj od okienka.

W czasie wieczornej rewizji celi podoficer, ujrawszy na stole pierścionek, dłońią go swoją nakrył skwapliwie i, zwróciwszy pytające spojrzenie na Popowa, rzekł zwykłe swoje:

— Wasze błahorodje?

Popow wziął pierścionek z rąk podoficera, obejrzał i zauważył z akcentem obojętnym:

— Głupstwo... wyrzucić to...

Ale równocześnie pierścionek do kieszeni schował.

W ciągu dnia miał jeszcze jedną wiadomość zakomunikować Tadeuszowi, o której dopiero wczoraj dowiedział się od wuja, ale ciągle ktoś do pokoju wchodził.

Wreszcie już w nocy szepnął Tadeuszowi:

— W Galicji powstanie wybuchło...

Uradowanie, nie dające się opisać, ogarnęło Tadeusza. Nie mylił się... trud wydał owoce.

— A chłopci?

— Rzucili się z kosami...

— Razem? na Austrjaków?

Słowa z radości rwały mu się w ustach.

— Austrjacy zbałamucili... rzeź straszna... szlachtę wymordowano.

Wyrazy te padały jak uderzenia kamienia na głowę Tadeusza. Stał przy okienku niemy i poruszyć się nie mógł.

— Czy to prawda tylko, poruczniku? Nie może być prawda...

— Wiadomości urzędowe przyszły do generał-gubernatora.

Tadeusz zamilkł. Zdawało się, że zastygł przy okienku. Oparł się o drzwi mocno, ażeby nie upaść. W oczach pociemniało mu i wyszeptał jakby sam do siebie:

— To gorzej, niż śmierć...

Popow spostrzegł, jaką straszną wiadomość zakomunikował więźniowi, i starał się ją złagodzić.

— Może to tylko rozmyślnie wiadomości?

— O, tak! Podłość ich nie ma granic.

Ale zwątpienie zapadłe w duszę nie dało się już stamtąd usunąć. Był to robak, który wiercił w mózgu.

Gdy nazajutrz Popow przyszedł do domu państwa Słomowskich, zastał zebraną całą rodzinę — Żywotowskich i Słomowskich. Wręczył pierścionek Helenie. Przyjęła go milcząco. Potem dłuższą chwilę patrzyła na dłonie splecione, symbol przyjaźni i związku, potem spojrzenie zwróciła na Popowa.

— Dziękuję panu — rzekła — bardzo dziękuję. Będzie to pamiątka i od pana Tadeusza i pańskiego szlachetnego serca.

Krótką tą sceną i krótkie, proste słowa Helenki szarpnęły do głębi tego Moskala z polską duszą. Patrzył na dramat, jaki się rozgrywał w jego oczach, rozumiejąc całą jego grozę dlatego tylko, że miał krew polską w sobie. Treścią tego dramatu była rozdarta dusza narodu, szamocąca się w szponach carskiego dwugłowego orła, a rozpacz i ból, wynikłe z położenia, z którym naród pogodzić się nie mógł, odbijały się w sercach uczestników dramatu. Przemoc bezlitośna rwała wszystkie węzły, łączące jednostkę z całością narodu i jednostki między sobą. Żadne prawa moralne nie istniały dla tej przemocy. Widział przed

sobą dwie rodziny, posiadające wszelkie warunki do szczęścia, a jednak nieszczęśliwe tylko dlatego, że w duszy swojej przechowywały najszlachetniejsze uczucia miłości ojczyzny, że szczęście wszystkich ponad szczęście osobiste wysuwały.

Nie mógł pokryć głębokiego wzruszenia, jakiego doznawał, patrząc na to wszystko, co widział przed sobą, kiedy ukradkiem mógł zajrzeć w duszę osób, związanych z losem Tadeusza. To, co starannie ukrywał, lada dzień mogło się stać rzeczywistością.

A tymczasem krwawa rzeczywistość zbliżała się.

Ledwie Popow opuścił mieszkanie Słomowskich, wstrząśnięty do głębi niemem i cichem cierpieniem osób, z którymi go los przypadkowo zetknął, przyszedł posłaniec z probostwa kijowskiego z listem do matki Tadeusza.

Przeczytała go milcząco, na stole położyła i obie jej ręce machinalnie na list upadły. Twarz jej blada nabrała, zdawało się, jeszcze większej bledości i prawie przezroczystości. Suche, ale błyszczące oczy wpatrzone były przed siebie nieruchomo, niby w przedmiot jakiś oddalony.

Pani Słomska i Helenka podbiegły do niej.

— Co się stało? — pytały jedna przed drugą.

Odsunęła milcząco list i odeszła do swego pokoju.

Wiadomość z probostwa była krótka: generał-gubernator kazał jednemu z księży probostwa udać się z św. Sakramentami do Piotrowskiego odwachu i wypowiadać więźnia.

Zadnych innych szczegółów w liście nie było, ale wszyscy zrozumieli, co to ma znaczyć. Rozległ się głośny płacz i wybuchami wyrывał się z każdej piersi. Kobiety długo płakały.

Gdy pierwsze wzruszenie złagodniało nieco, spostrzeżono, że brak matki Tadeusza. Helenka poszła do jej pokoju. Staruszka klęczała przy łóżku. Przed nią leżała książka do nabożeństwa, otwarta na tytule: Modlitwa o lekką śmierć. Ręce skrzyżowane leżały na książce, a na

rękach oparta nieruchomie głowa. Helenka zbliżyła się do niej.

— Matko... — szepnęła.

Dźwięk tego głosu poruszył staruszkę i obudził z półomdlenia. Usiłowała powstać. Helenka ujęła ją pod ramię i dźwignęła. Stała jeszcze chwilę nieruchoma, potem westchnęła i rzekła cicho:

— Większe miłosierdzie boskie, niż przemoc carów.

Posyłanie księdza dla wypowiadania więźnia było nieomylną wskazówką, że tak zwana egzekucja odbędzie się nazajutrz rano.

Poczęły się kobiety naradzać, w jaki sposób uzyskać pozwolenie u generał-gubernatora na widzenie się matki z synem. Rozpoczęły wprawdzie kroki w tym kierunku natychmiast, ale okazało się to niemożliwem. Twarda mongolska dusza Bibikowa nie dała się wzruszyć prośbami matki. Zahartowany w carskim maneżu, gdzie się kształciły dusze jeneralskie, może nawet nie rozumiał pragnień pożegnania na wieczność. Nawet Pisarew, łakomy na ruble, nie dał się skusić i zląkł się przed wszelką interwencją.

Pozostawała jeszcze nadzieja pożegnania skazanego zdaleka. Matka i narzeczona pragnęły jeszcze raz spojrzeć w twarz ukochaną, ażeby jej rysy zachować przez życie całe. Jediną ucieczką tym razem był Popow.

Do niego też udały się matka i Helenka.

Popow już wiedział o wszystkim. Egzekucja miała się odbyć nazajutrz rano o godzinie piątej, w rowie otaczającym nową cytadelę, między Piotrowskim odwachem a tak zwanym Głównym odwachem, którego mury podnosiły się dopiero nad ziemią. Wspaniałomyślność carska nie zabraniała patrzeć ciekawym tłumom na akt sprawiedliwości urzędowej. Egzekucje takie robiono jawnie, aby samym postrachem trzymać czerń w rygorze. Dnia egzekucji nie ogłaszano wprawdzie, ale mieszkańcy najbliżsi

miejsca tracenia wiedzieli o tem doskonale: kopano wówczas groby, stawiano słupy...

Chodziło o to, ażeby miejsce odpowiednie znaleźć. Popow na to poradził. Kobiety miały się ubrać jak najprościej, jak najskromniej, aby się zbliżyć do ubioru niezamożnej ludności, i przed czwartą przyjść pod cerkiew na placu przed biurami komendanta. Tam miał je zastać i poprowadzić dalej.

Szary, nieco mglisty, ale spokojny i cichy poranek zastał kobiety pod cerkwią Spasa. Nie mówiły ze sobą, chyba szeptem, aby nie zdradzić się nawet mową. Ciekawe kumoszki, robotnicy forteczni także grupkami lub pojedynczo podążali w kierunku bramy, prowadzącej do Piotrowskiego odwachu. Ale straż przed bramą zatrzymywała wszystkich. Tłoczono się grupkami na drodze. Niektórzy mijali nowobudujący się odwach i stawiali na nasypach, otaczających cytadelę, na których stały już działa.

Naraz od strony Peczerska rozległo się warczenie bębnow, potem wesołe dźwięki muzyki i poczęły się wysuwać od strony Ławry długie kolumny wojska, podążając ku odwachowi. Wchodziły w niedokończoną bramę w wale i za wałem ginęły.

Słychać było tylko głuchy szelest rozcinanego pierśmi ludzkimi powietrza i szmer kroków.

Do stojących w kupce kobiet zbliżył się Popow. Zrobił ruch, jak gdyby chciał podać ramię matce Tadeusza, ale się cofnął.

— Będę iść obok pań... inaczej nie można.

Zrozumiały, o co chodzi.

Zbliżyli się do ogrodzenia, za którem budowano Główny odwach. Przy bramie zamkniętej stał żołnierz bez broni.

Widząc przed sobą grupkę kobiet i oficera, zawahał się. Stał przed bramą, jakby milcząco mówił: nie można.

Popow odezwał się:

— To są moje znajome... chcą stanąć na wale, ażeby lepiej mogły oglądać egzekucję. Żołnierz usunął się.

Popow szedł przodem, jakby drogę pokazywał wśród złomu kamieni, cegły, drzewa. Wężykowatą drożyną, przeznaczoną do wywożenia dział na szczyt wału, weszli wszyscy i stanęli nad bardzo szerokim rowem, który prawie doliną można byłoby nazwać.

Wielka ta dolina przecięta była mostkiem, który od budującej się bramy wiódł ku odwachowi Piotrowskiemu, a na prawo od mostka zakręcała się szerokim półkolem.

Poranek się rozjaśniał. Na wale znalazło się jeszcze kilkadziesiąt osób, które, okrążywszy budowę odwachu, z przeciwnej strony na wał weszły. Z rozmowy można było domyślić się, że są to żony robotników, drobni mieszczanie, służba różnych rodzajów. Wszystko to głośno i wesoło rozmawiało. Popow stanął nieco na uboczu, aby pokryć jakąkolwiek wspólność z kobietami, które obok w zwartej i milczącej grupie stanęły.

Dolina owa wypełniona była szczelnie wojskiem, ustawionem w półkole, tak że cała strona wału od głównego odwachu zajęta była przez wojsko, a przeciwna była wolna. Niedaleko mostu stał słup wkopany w ziemię, a tuż przy słupie głęboką jamę. Koło słupa kręciła się gromadka oficerów, jakby w oczekiwaniu kogoś.

Na moście zaturkotały koła powozu i pojazd zatrzymał się. W półcieniu widać było, że wysiadł z powozu jakiś generał, coś krzyknął, a z tysiąca piersi wyrwało się dzikie: ura! — i na załomach doliny między wałami skonało.

Ze szczytu wału widać było wąską drogę, wijącą się w dół ku odwachowi Piotrowskiemu i czuby drzew, rosnących na stokach ku Dnieprowi.

Cisza jakaś ponura zalegała tę dolinę śmierci. Ponad nią unosił się tylko niewyraźny szmer głosów ludzkich.

Naraz trwożliwy szept wzmógł się i jak iskra elektryczna przez tłum przeleciał:

— Prowadzą winowajcę...

Wszystkie oczy skierowały się na wężykową drogę, którą pod górę wysunął się orszak zbrojnych żołnierzy. Na czele szedł placmajor twierdzy z gołą szablą, podniesioną do góry. Cisza zapanowała jeszcze większa. Tylko nerwowy kaszel tu i ówdzie ją przerywał. W środku orszaku, coraz bardziej wychylającego się pod górę, widać było księdza, idącego obok Tadeusza. Tadeusz miał obie ręce skrepowane łańcuchem, tak że trzymał je złożone na piersi. Szli powoli i rozmawiali.

Tadeusz nagle przestał słuchać. Doliny, w której było skupione wojsko i gdzie był słup fatalny wkopany, nie widział jeszcze, ale ujrzał na wale dużo głów ludzkich.

— Muszą chyba być w tym tłumie — szepnął do księdza.

— Są z pewnością... Muszą stać na wale koło budującego się odwachu.

Tadeusz wzrok w tę stronę wlepił.

Niebo rozjaśniało się coraz bardziej. Od wschodu słońca już się ukazały różowe obłoki, zwiastuny dnia. Tadeusz oczu nie spuszczał z tego punktu, który mu ksiądz wskazał, lecz nie mógł poznać nikogo. Zmieniony ubiór utrudnił poznanie. Jaskrawe chusteczki pokrywały ukochane głowy. Gdy się już do samego mostku zbliżył, poznał nareszcie i uśmiechnął się zdaleka.

Jeszcze chwilka i orszak konwojujący Tadeusza zeszedł w dolinę i stanął przy słupie.

Wystąpił ktoś naprzód i czytać począł wyrok.

— Możesz pan nie czytać — odezwał się Tadeusz — przecież wyrok bardzo jasny.

Ale czytanie nie przerywało się.

Tadeusz oczu nie spuszczał z tej grupki, gdzie stały matka i narzeczona. Poznał Popowa. Uśmiechnął się do niego smutnym uśmiechem i głową skinął, jakby dziękował za wszystkie przysługi.

Skończyło się nareszcie czytanie wyroku. Zbliżyło się czterech żołnierzy bez broni, ujęli Tadeusza za ramię i poczęto przywiązywać go do słupa.

— Nie ściskaj, bracie — odezwał się Tadeusz do jednego z nich, gdy mu powróż do piersi zbyt mocno przyciągnął. Jeśli będziesz kochać ojczyznę swoją, skończysz, jak i ja.

Chciano mu zawiązać oczy.

— Nie trzeba — odpowiedział — ja codziennie przecież śmierci w oczy patrzyłem... Oswoiłem się z nią.

W tej chwili błysnęły pierwsze promienie wschodzącego słońca. Tadeusz głowę ku nim odwrócił jakby z powitaniem i pożegnaniem. Potem wzrok skierował w tę stronę, gdzie stały matka i narzeczona, i już nic więcej nie widział, oprócz ich twarzy.

Tymczasem orszak wojskowy, który otaczał Tadeusza, usunął się na stronę. Jeden z oficerów ręką skinął — i z szeregów wojska wysunęło się kilkunastu żołnierzy. Stanęli naprzeciwko Tadeusza. Nastąpiła komenda. Karabiny spadły z ramion żołnierzy na ziemię. Znowu komenda — i poczęło się ładowanie karabinów kulami.

Tadeusz stał przy słupie ze wzrokiem utkwionym w to miejsce, gdzie stała matka i narzeczona.

Lufy karabinów rzuciły się do góry... Oficer podniósł rękę, aby wygłosić ostatnią komendę. W tej chwili rozległ się głos Tadeusza:

— Niech żyje Pol...

Nie dokończył. Huknęło naraz dziesięć wystrzałów, i głowa Tadeusza pochyliła się na bok.

Na wale równocześnie krzyk się rozległ — krótki, urwany jak wystrzał. Był to krzyk Helenki, która zemdlona upadła na ziemię. Może go jeszcze słyszał Tadeusz i uniósł ze sobą...

Matka zagłuszyła boleść w sobie. Do ostatniej chwili nie spuściła oczu z twarzy syna, a gdy już ujrzała głowę

pochyloną i wiszącą na ramieniu, uklękła i poczęła się modlić.

Śród modlitwy słyszała tylko szmer łopaty i głucho spadanie grudek ziemi na piersi syna.

Tłum ciekawych rozchodzić się począł: widowisko było skończone. Nagle dźwięki wesołego marsza obłyły się o jej uszy. Grały w jej sercu niby śmiech jakiś szyderczy nad trupem syna.

Wszyscy się rozeszli. Dwie tylko kobiety klęczały i modliły się.

Dostrzegł je szyldwach, przechadzający się po wale. Zbliżył się do staruszki, ramienia jej dotknął i rzekł łagodnie:

— Matuszka... idźcie stąd... nie!... nie!...

Podniosła się.

Helenka podała jej ramię. Zbliżyły się ku nim Słomowska z córkami. Gromadka podążała naprzód. Kobiety ocierały łzy milcząco.

Gdy już wyszli z forticy na plac, przez który wiodła droga do Lipek, matka Tadeusza westchnęła.

— O, Boże! — rzekła — czy też kiedyś Polska policz nasze smutki i ofiary?

Wiśła na Śląsku Cieszyńskim.

W dzień zmartwychwstania Polski,

10 listopada 1919 r.

OBJAŚNIENIA JĘZYKOWE.

Dla zaznaczenia kolorytu miejscowego, autor opowiadania wprowadził gdzieś wyrazy i wyrażenia ruskie (na Ukrainie) i rosyjskie. Podajemy tu, dla wygody czytelnika, odpowiednie objaśnienia do tych wyrazów, oraz niektórych polskich, mniej zrozumiałych z powodu rzadszego używania.

Str. 3	wiersz 10	od dołu	<i>suhak</i> — rodzaj antylopy. Wyginął obecnie zupełnie.
" 7	" 14	" góry	<i>obapót</i> (staropolskie) — po obu stronach.
" 7	" 4	" dołu	<i>czaban</i> — pastuch owiec tatarskich. W tem samem znaczeniu czasem używany w południowej Rusi.
" 7	" 3	" "	władców (książąt) Wołoszczyzny nazywano <i>hospodarami</i> ; stąd <i>hospodarczyk</i> znaczyło w historycznej terminologii uzurpatora tronu wołoskiego, którego forytowali kozacy.
" 8	" 6	" góry	<i>wataha</i> — oddział, banda.
" 9	" 16	" "	<i>obuszek</i> — rodzaj buławy, zakończonej gałką metalową;
" 9	" 9	" dołu	<i>czekan</i> — siekierka tępą różnej formy, na krótkim toporzystku.
" 10	" 3	" "	<i>Ej, neńko moja, neńko</i> = ej, matko moja, matko. <i>Żał wahy ne maje</i> (wyrazy ruskie) — znaczy: żał, ból nie zna miary.
" 10	" 3	" "	<i>sprawnik</i> — urzędnik administracyjny policyjny = naczelnik powiatu; <i>stanowy</i> (prystaw) — takiż urzędnik niższy stopniem od sprawnika. Powiaty w Rosji dzieliły się na „stany“ (okręgi).

Str. 31	wiersz 14	od góry	<i>bajdykować</i> — wałęsać, próżniaczyć. <i>hajda</i> = dalej! nuże! Wyraz tatarski, utrzymał się dotychczas.
" 37	" 6	" "	<i>bihme</i> (=Bih me) (po rusku) — dalibóg.
" 37	" 5	" dołu	<i>zwozczyk</i> (zwoszczyk) (po rosyjsku) — woźnica, dorożkarz.
" 38	" 3	" góry	<i>jermak</i> (po ros.) — długi wátowany kaftan, kapota.
" 38	" 13	" "	<i>griwiennik</i> (po ros.) — 10 kopiejek.
" 38	" 13	" dołu	<i>czumak</i> — woźnica wożący towary.
" 39	" 13	" góry	<i>tamożnia</i> (po ros.) — komora celna.
" 40	" 17	" "	<i>wałka</i> — pewna liczba wozów ładownych (czumackich).
" 41	" 18	" "	<i>sto czortiw-by w joho mamu</i> (po rus.) — a, żeby jego matkę sto czartów.
" 43	" 10	" dołu	<i>batka</i> (po rus.) = wawóz stepowy.
" 43	" 1	" "	<i>liman</i> — płytkie jezioro blisko brzegu morskiego; część morza oddzielona od sypiskiem.
" 44	" 4	" "	<i>bakun</i> — ordynarny tytoń.
" 45	" 10	" "	<i>ondyczky</i> (po rus.) — tam.
" 46	" 1—4	" góry	Przytoczone słowa pieśni ruskiej znaczą: Chodził czumak... siedem lat na Don, i nie zdarzyła mu się nigdy przygoda.
" 49	" 9	" "	<i>burtaka</i> (po rus.) — włóczęga.
" 49	" 6	" dołu	<i>Udawysz ty swoim chlibom. Daj mnie hroszy</i> (po rus.) — Udaw się swoim chlebem. Daj mi groszy.
" 50	" 4	" góry	<i>horitka</i> (po rus.) — gorzałka.
" 50	" 7	" "	<i>ryskal</i> — rydół, szpadel. <i>pohana wiro</i> — pogańska wiaro.
" 50	" 12	" "	<i>stawok</i> — stawek.
" 52	" 12	" dołu	<i>hrywennyk</i> (po rus.) = ros. <i>griwiennik</i> (porów. na str. 38).
" 52	" 3	" "	<i>hodi</i> (po rus.) — stój! dość! basta!
" 52	" 2	" "	<i>breszesz</i> (po rus.) — kłamiesz.
" 53	" 16	" "	<i>natyhacz</i> *) (po rus.) — powrót do prowadzenia wołów.
" 53	" 2	" "	<i>oczkur</i> (po rus.) — pasek rzemienny do podtrzymywania spodni.

*) Nie *natykacz*, jak wydrukowano przez omyłkę.

- Str. 57 wiersz 7 od góry *kulisz* (rus.) — kasza jaglana zgotowana na rzadko.
- " 59 " 14 " dołu *kłyce* (rus.) — woła.
- " 60 " 7 " góry *skotyna* (rus.) — bydło.
- " 60 " 7 " dołu *parowica* (rus.) — para (=2) wołów.
- " 61 " 19 " góry *czuhaina* — burka.
- " 61 " 15 " dołu *czut'* — ledwie.
- " 61 " 5 " " *piweń* (rus.) — kogut.
- " 63 " 11 " góry *maża* — wóz (na drewnianych osiach).
- " 64 " 9 " " *Buło, ta propało* (rus.) — było, ale minęło.
- " 64 " 15 " " *kurzeń* (z rus.) — osada zbiorowa kozacka.
- " 65 " 17 " " *bałakać* (z rus.) — gadać.
- " 66 " 14 " " *komisarz* — administrator, rządca majątku.
- " 66 " 9 " dołu *durnyczką* (z rus.) — za darmo.
- " 67 " 14 " " *hołodraniec* (rus.) — oberwus.
- " 67 " 2 " " *bałagurzyć* (z rus.) — gawędzić.
- " 68 " 6 " góry *czaharnik* (rus.) — zarośla.
- " " " " *chmyz* (rus.) — chróst.
- " 69 pierwsza piosenka (po rusku) znaczy:
 A (gdy) umarł — nie tęskniła,
 A (gdy) żył — nie kochała.
 W szczerzej ziemi zakopała,
 Nóżkami przydeptała.
- " 69 druga " Hej, tam na górze żeńcy zna,
 A pod górą
 Jarem doliną,
 Kozacy idą.
 A na przedzie Doroszeńko
 Wiedzie swoje wojsko
 Sławne zaporoskie
 Doskonale...
- " 69 trzecia " Sahajdaczny,
 Co wymienił żonkę
 Za tytoń i lulkę,
 Niebaczny.
- " 70 wiersz 12 od dołu *bałachon* (rus.) — kitel, długa płócienna narzutka od kurzu.
- " 71 " 5 " " *posesor* (na) Rusi dotąd, jak w staropolszczyźnie) — dzierżawca.
- " 81 " 14 " " po rusku: albo pije, albo wszy bije, a nigdy nie próżnuje.
- " 81 " 5 " " w *choromach* (rus.) — w komnatach.

Str. 95	wiersz 13—12	od dołu	<i>mużik</i> (po ros.) — chłop.
			<i>zadzał nożku</i> (po ros.) — zadął nóżkę.
" 95	" 2	" "	<i>grafinczyk</i> (po ros.) — karafeczka.
" 96	" 5	" góry	<i>kstati</i> (po ros.) — ale, ale! à propos.
" 96	" 15	" "	<i>Sławno, jej Bogu! Dawaj jowo siuda</i> (po ros.) — Doskonale, dalibóg! Dawaj go tutaj.
" 97	" 11	" dołu	<i>szutisz</i> (po ros.) — żartujesz.
" 97	" 7	" "	<i>poj</i> (po ros.) — śpiewaj.
" 97	" 5	" "	<i>paszoł won</i> (po ros.) — idź precz.
" 101	" 4	" góry	<i>bumaga</i> (ros.) — papier; rozporządzenie, polecenie.
" 102	" 4	" "	<i>posłużnyj spisok</i> (ros.) — stan służby,
" 102	" 4	" "	<i>moł</i> (ros.) — powiada.
" 102	" 5	" "	<i>prestot</i> (ros.) tron.
" 102	" 5	" "	<i>otieczestwo</i> (ros.) — ojczyzna.
" 102	" 8	" "	<i>po podozreniju</i> (ros.) — na podstawie po- dejrzania.
" 104	" 6	" "	<i>podawys. hałuszkoju</i> (po rusku) — udaw się kluską.
" 104	" 15	" "	<i>sud razbierot</i> (ros.) — sąd zbada.
" 106	" 7	" dołu	<i>duraczestwo</i> (po ros.) — niedorzeczność.
" 111	" 13	" "	<i>wot wam szczy i t. d.</i> (po ros.) — oto (macie) barszcz. Żołnierskie jadło, ojcie...
" 116	" 13	" góry	<i>naczalstwo</i> (ros.) — władza.
" 123	" 12	" dołu	<i>wasze blahorodje</i> (ros.) — wielmożny panie
" 124	" 3	" góry	<i>karautka</i> (ros.) — izba warty, szylwachów
" 132	" 14	" "	<i>nieszia</i> (ros.) — nie można.

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

DZIEJE RODZINY ŻYWOTOWSKICH

Z TRADYCJI I WSPOMNIEŃ OPOWIEDZIANE

II.

CZYN

(ROK 1863).



WARSZAWA — 1922.

„KSIĘGARNIA POLSKA“ TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ.

Pierwszą część „Dziejów rodziny Żywotowskich”
wydano tymże nakładem przed paru miesiącami
p. t. „*Marzenia*” (Warszawa, 1921; str. 136).

Zakłady Graficzno-Wydawnicze „Książka”
Warszawa, ul. Moniuszki № 11. Tel. 190-93

Dwór w Żywotówce był starym, ale wygodnym szlacheckim domem. Budował go jeszcze ojciec Marka dla dzierżawcy, bo mając syna jedynaka (zrządzeniem losu tradycyjnie Żywotowskim tylko jeden syn się rodził), wielki dwór w Żywotowie przeznaczał na mieszkanie dla syna. A było tu miejsca aż nadto dla wszystkich. Nie przewidywał imć pan Marek, że Żywotów będzie skonfiskowany.

Skończyła się dzierżawa panu Tyburcemu Żmijewskiemu, herbu Strykoń, który przeniósł się aż za Dniepr i tam kupił sobie duży majątek Stare, dorobiwszy się sporo dukatów na pszenicy żywotowskiej, a Marek z żoną i synem zamieszkali w Żywotówce. Młody Tanaś ukończył gimnazjum w Kijowie i tam studja uniwersyteckie rozpoczął, ale niesporo mu to szło, bo czasy nie były potem. Warszawa już drugi rok burzyła się, a z Warszawy szły płomienie na całą Polskę, jak długa i szeroka. Ogarnęły one i Kijów. Dorastało nowe pokolenie — nowy protest, nowa krew, nowe więzienia, nowa pielgrzymka na Kamczatkę i na Sybir.

Ach, co za buntowniki te Polaki! Ani rusz zapomnieć nie chcą, że mieli własne państwo, które przemocą i zdradą zrabowali im Niemcy i Moskale.

Tanaś pamiętał dobrze śmierć Tadeusza Słomowskiego, opowiadania o niej, śmierć dziadka, konfiskatę majątku, rozpacz w domu, łzy, ale niepoprawny i w pie-

kle byłby się u każdego Moskala i Niemca upominał
o zwrot ojczyzny. I teraz w gronie kolegów wyśpiewywał:

Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy!

Taka jest zuchwałość młodości.

Ba! On szedł dalej jeszcze: bawił się w prorocтва,
głoszone przez arcymistrza wszelkich buntów, Adama
Mickiewicza, bo śpiewał głośno:

Jeszcze będziesz wisiał, carze,
A wraz z tobą dygnitarze...

Częściej też bywał w drodze między Warszawą a Kijowem, niż na wykładach. Mówiono coraz częściej o tem, że będziemy się bić z Moskalami, że Napoleon nam pomoże. Powtarzano sobie, co powiedział minister Drouyn de Lhuys, co mówił prezes ministrów Ollivier.

Przygotowywano się do walki.

Marek po raz wtóry się nie ożenił. Dom prowadziła siostra Helena, która, zwyczajem romantycznych pańienek starego stylu, zamąż nie wyszła. Dochowała wiary męczennikowi, który dla ojczyzny głowę położył. Taki duch sentymentalny panował! Nie rozpaczała głośno, nie żaliła się. Boleść, im większa, tem głębiej w duszy siedzi. W takiej atmosferze chował się Tanaś.

Imć pan Marek nie był tego zdania, ażeby czas do walki z Moskwą był stosowny. Miała ona ręce wolne, a Polska — w kajdanach. Ciężka w takich warunkach walka z niedźwiedziem. A obietnice? Rzadko kto dla cudzego pożytku głowę swoją nadstawi.

Na wszelkie argumenty Tanasia odpowiadał krótko:

— Próbuście! Może będziecie szczęśliwsi od poprzedników.

Pierwszego maja późną nocą przyjechał Tanaś do Żywotówki. Tym razem z Kijowa pocztą. Przywiózł jakąś pakę ze sobą dość ciężką i kazał do swego pokoju zanieść.

Rano wszedł do sypialni ojca i oświadczył krótko:

— Mamy rozkaz z Warszawy.

Z pewnej tajemniczości i podniecenia, z jakim Tanaś te wyrazy wymówił, domyślił się Marek rozkazu, ale zapytał spokojnie:

— Jaki?

— W pole... z orężem...

Marek nie pytał więcej. Zapanowało milczenie.

Przerwał je Tanaś:

— Ojciec wie, że nasz oddział zupełnie zorganizowany i gotów?

— Iluż macie?

— Stu pięćdziesięciu.

— Jak na wojnę — za mało.

— Po drodze będziemy się łączyć z innymi... Na Wołyniu koncentrujemy się... Różycki będzie miał jazdę...

Marek zrazu nie odpowiadał. Po chwili rzekł:

— Pomówimy o tem później... tylko nie opowiadaj tego tak obcesowo ciotce... trzeba ją przygotować... Idźże do jadalni — ona już tam pewnie.

Rzeczywiście Tanaś zastał ciotkę Helenę przy samowarze, zajętą robieniem herbaty. Po krótkich słowach na temat nagłego przyjazdu ciotka zauważyła:

— Ojciec spodziewał się ciebie dopiero na wakacje.

Tanaś musnął małe wąsiki i rzekł poważnie:

— Ważne sprawy.

Ciotka spojrzała na niego pytającym wzrokiem, jakby oczekując wyjaśnienia, ale w tej chwili wszedł służący. Tanaś zamilkł.

Na twarzy Heleny znać było niepokój.

— Widziałeś się już z ojcem?

— Widziałem się... alem tylko napomknął — zauważył wymijająco.

Po wyjściu lokaja ciotka spytała:

— Cóż przecie?

— Z Warszawy groźne wieści...

Nastrój, panujący w całym polskim społeczeństwie, miał charakter wysoce podniecony. O powstaniu zbrojnym mówiono głośno. Ciotka odgadła, co to znaczy: „groźne wieści“.

— Będzie powstanie — prawda?

— Zdaje się.

W tej chwili wszedł Marek. Śniadanie spożyto milcząco. Wszystko troje spoglądało na siebie spojrzeniem, które zdawało się mówić: „będzie burza“.

Gdy już wstali od stołu, Tanaś zauważył:

— Trzeba o tem pomówić.

— W mojej kancelarji — dorzucił Marek.

Do Helenki się zwrócił:

— Przyjdź zaraz! — a do Tanasia rzekł:

— Chodźmy!

Tanaś pocałował w rękę ojca i ciotkę.

— Proszę iść... ja zaraz wrócę... muszę coś wziąć z mego pokoju.

Helena i Marek niedługo czekali na przybycie Tanasia. Ciotka miała tylko czas rzucić pytanie:

— Ciekawa jestem, z jakimi nowinami przyjechał Tanaś?

Był w tem pytaniu niepokój i domyslanie się czegoś oczekiwanego oddawna.

Marek, nie chcąc wyraźnie powiedzieć, o co chodzi, rzekł wymijająco, aby siostry nie przerażać:

— Zdaje się, że tu chodzi o ruch zbrojny.

Ciotka Helena ledwie dosłyszalnie westchnęła:

— Byłam tego prawie pewna.

W tej chwili wszedł Tanaś do pokoju, niosąc w rękę papier zwinięty w rulon.

Przeczytał najpierw rozkaz Rządu Narodowego, nakazujący powstanie zbrojne na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej, u zatem także na Ukrainie, Wołyniu i Podolu, na dzień 8 maja nowego stylu — na św. Stanisława. Trzeba było odciągnąć trochę siły moskiewskie, walczące

już od trzech miesięcy na terenie Królestwa Polskiego i Litwy.

W poważnem skupieniu wysłuchano rozkazu i motywów, ogłoszonych przez Tanaśa.

— A lud ruski? — zapytał Marek.

— Ludu i jego pomocy jesteśmy pewni — rzekł to-nem stanowczym Tanaś.

Rozwinął rulon i podał ojcu do czytania. Była to na wielkim arkuszu drukowana złotemi literami odezwa. Rzu-ciła na nią okiem ciotka Helena i odwróciła się. Odezwa była drukowana alfabetem staro-cerkiewnym, którego nie znała.

Marek obejrzał ją najprzód. Tytuł brzmiał: „Hramota selskomu narodu“; u spodu pieczęć wyciśnięta z orłem w koronie, z pogonią i archaniołem i podpis: „Tymczasowa narodnia starszyna“. Czytał bardzo uważnie i powoli.

A były tam rzeczy godne uwagi.

„Oświadczamy przed Bogiem, całym światem i naro-dem — brzmiała odezwa — że innego szczęścia nie pra-gniemy dla drogiej naszej ojczyzny i nie szukamy go w niczem więcej, jak tylko w wolności, swobodzie, rów-ności i szczęściu wszystkich mieszkańców, jakiegokolwiek są wiary i stanu. A pragnąc najwięcej szczęścia dla ludu wiejskiego, postanawiamy“...

Skończywszy czytanie, zwinął rulon i na stole poło-żył, widocznie z ostrożności, aby kto ze służby nie ujrzał ruskiego pisma i złotych liter.

Tanaś siedział zamyślony. Helena śledziła wzrokiem ruch oczu brata, a gdy skończył, spytała:

— Cóż tam piszą?

Marek streszczał hramotę.

— Lud wszystkich kategorii otrzymuje zupełną wol-ność, wszystkie prawa obywatelskie narówni z innemi stanami...

— Ale najważniejsze... — wtrącił Tanaś.

Marek głową skinął, jakby chciał pohamować niecierpliwość młodzieńczą, i rzucił jeden wyraz tylko:

— Zaraz...

I tłumaczył siostrze:

— „Ziemie orne, sianożęcie i sadyby pańskie i skarbowe, które za czynsz albo za odrobek, albo za wykup trzymali włościanie, będą od niniejszego dnia po wszystkie czasy własnością każdego gospodarza bez żadnej za to zapłaty. Dziedzicom za te ich ziemie zapłaci skarb narodowy“.

Ziemie otrzymają ci nawet, którzy jej dotąd nie posiadali.

Chałupnicy i szlachta czynszowa otrzymają także ziemie sadybną i gruntową od panów.

Gdy Marek ukończył streszczenie „Złotej hramoty“, Tanaś zapytał:

— Cóż ojciec o tem myśli?

Marek odpowiedział spokojnie:

— Już rząd rosyjski uprzedził was.

Tanaś zaprotestował.

— Ziemie obiecał tylko, ale pańszczyznę chłop odraabia, a my — dodał z naciskiem — i pańszczyznę zaraz kasujemy.

Ciotka Helena nie wtrącała się do rozmowy ojca z synem.

Po chwili namysłu Marek odezwał się:

— Z jednej i z drugiej strony obietnice. Wasza jest ponętniejsza, ale w którą stronę pochyli się chłop ruski?

— W tę, która mu więcej obiecuje.

— Wątpię. W tę raczej, za którą przemawiać będzie większa siła, że obietnicy dotrzyma.

Tanaś nie dał się zbić z tropu.

— Przecież ziemia nie należy do rządu, tylko do nas, a własnością swoją my też tylko rozporządzać możemy.

Uwaga słuszną, ale nierealną. Czy swojej, czy naszej woli wykonawcą będzie rząd, kierownikiem i sędzią — on będzie. Przypuszczasz, że zachowa się milcząco, gdy ujrzy, że rozpoczynamy akcję przeciwko niemu?

— Oczywiście, że nie, ale my mamy lud za sobą.

Marek spojrzał na syna z lekkim uśmiechem.

— O, marzycielu! Znasz ty duszę ludu? Nikt tych dróg nie odgadnie, którymi myśl ludu błądzi. To niewolnik, a dusze niewolnika i jego pana nie są jednakie.

Tanaś, jako bardzo postępowy akademik, nie mógł takiego barbarzyństwa przebaczyć ojcu.

— Walczymy o równość... — zauważył cierpko.

— Wobec prawa... — dorzucił ojciec, jakby chciał mu dać poznać, że o innej równości myślał.

Po chwilce milczenia znowu głos zabrał.

— Nic nie mam przeciwko zasadzie; ale jeżeli chcesz budować Polskę rękami ludu ruskiego, to muszę ci powiedzieć, że zapomnieliście o przeszłości.

— Trzeba nową przyszłość tworzyć.

— Bardzo słuszenie, ale rękami nieoschłymi jeszcze z krwi waszych ojców budować trudno. Dusza ludu tworzyła się przez wieki całe, wieki też potrzebne na jej przekształcenie.

Zamilkł.

— Ale — dodał po chwilce — cała ta rozmowa nasza na nic, skoro stajemy wobec czynu. Trzeba było rozważyć pierwaj, teraz nie czas.

Zwrócił się nagle do syna:

— Cóż myślisz robić? Czy termin 8 maja nieodwołalny?

— Nieodwołalny. W ciągu tych kilku dni muszę się widzieć z naczelnikiem powiatu, z dowódcą oddziału, wręczyć mu „Złotą hramotę“ dla rozpowszechnienia wśród ludności wszędzie, gdzie oddział będzie przechodził, zawiadomić komisarza kwaterunkowego, aby wozy z żywnością wysłał.

— Tak, dużo masz do roboty — przytakiwał ojciec.
— To też zaraz poproszę ojca o konie...
— Dobrze... dobrze... ale nie o to chodzi. Gdzież się zbierać będziecie?

— Umówiliśmy się, że w lasach koszowackich.
— Obszar duży — wtrącił Marek.
— Już na dwa dni przedtem urządzi się niby wielkie polowanie... Gminom się obwieści, że ukazało się stado wilków... Trzeba upozorować ruch wozów i ludzi. Jedni przyjadą w dzień... broń opatrzą... drudzy w nocy nadjadą, ażeby zbyt wielkim ruchem nie budzić podejrzliwości...

Wkrótce potem odjechał rzeczywiście Tanaś.

Marek i Helena nie widzieli się już ze sobą aż do obiadu. Po obiedzie milcząco zasiedli w saloniku do czarnej kawy. Znać było zakłopotanie i niepokój na twarzy obojga.

Milczenie przerwał Marek.

— Teraz na nich kolej — zauważył niby sam do siebie. — Rozpoczynają rzecz bardzo ryzykowną. Ojcowie nasi mieli wojsko, dzielne wojsko — i nic nie zrobili; a oni... wierzą w jakiś dziwny patriotyzm ludu ruskiego. To dzicz... uspokojona wprowadzie knutem moskiewskim, ale dzicz... potomkowie hajdamaków krwi chciwi... pop ich krzyżem pobłogosławi przeciwko nam, a Moskwa pokaże im hramotę nie złotą, ale carską i powie: „ja wam dam ziemię, nie oni“ — i koniec marzeń, i wszyscy się znajdą po stronie carskiej.

— Jakto? Myślisz, że niema żadnej nadziei powodzenia? — odezwała się Helena.

— Nadzieja jest ze strony Anglii i Francji, jeśli nie porozumieją się z carem i zechcą nas podtrzymać; ale liczyć na pomoc ludu to wszystko jedno, co liczyć na pomoc lisa w walce człowieka z niedźwiedziem. Trzy miesiące już się biją w Królestwie, a gdzie jest lud? Jest szlachcic, jest mieszczanin, jest rzemieślnik, ale rzadko spotkasz chłopą. On jeszcze nie wie, co to jest ojczyzna.

Tam, gdzie się o całość i wolność biją, jego niema; ale gdy im kto pańską ziemię obieca, u stóp jego wszyscy się znajdują.

— Smutne horoskopy — wtrąciła Helenka.

— Tego Tanasiowi nie powiem, bo nie czas osłabiać ducha, ale w pomoc ludu nie wierzę. My ciągle igramy z tą siłą niewiadomą, która się nazywa ludem — i ginie my w jego obronie. Chciałbym doczekać tej chwili, kiedy z ust ludu posłyszę słowa prawdy: „Wy, panowie szlachta, nie tylko żyliście i bogaciliście się naszą pracą, ale walczyliście o wolność całej ojczyzny, i zatem naszą; pędzono was na Sybir, knutowano, wypełniano wami więzienia, konfiskowano wam ziemię, skazując tysiące rodzin na nędzę i poniewierkę, a my wtenczas oraliśmy spokojnie nasze zagony, nikt piędzi ziemi nam nie odebrał, zginaliśmy tylko pokornie karki w obrożę moskiewską i dźwigali pod nahajem karabin żołdacki. Cześć wam, panowie, za wasze poświęcenie się, waszą krew, wasze ofiary dla wolności ojczyzny“... Ale wątpię, ażebym takiej szczęśliwej chwili dożył...

Mimo wszystko nazajutrz bardzo wczesnym rankiem poszedł na folwark, kazał sobie pokazać szaraban podróżny, który zwykle towarzyszył mu na jarmark do Berdyczowa. Okazało się wszystko w największym porządku. Zatoczono szaraban do bocznego skrzydła dworu i oddano do dyspozycji ciotki Heleny, która wypełniała go krupami, mąką, słoniną, wędlinami, chlebem.

Nikt nie wiedział, do jakiej drogi i kto się sposobi.

Po śniadaniu Marek wyjechał do powiatowego miasta wraz z Heleną i wniósł podanie o zahipotekowanie Żywotówki na siostrę.

Na noc wrócił Tanaś zadowolony.

— Wszystko idzie doskonale, jak w zegarku — chwalił się przed ciotką — ale mam prośbę do cioci.

— Mów.

— Dowódca nasz potrzebuje kurjerki, osoby znającej dobrze całą okolicę i pewnej. Czyby ciocia nie chciała podjąć się tego zadania?

— Chcesz mnie zaciągnąć do wojska? — rzekła z uśmiechem. Możebym się raczej na pielęgniarkę przydała.

— Do tego będą inne... Na punktach naszego pochodu wszędzie są już wyznaczone. Na to, żeby być kurjerką, trzeba czegoś więcej, niż rąk.

— Nie mam pojęcia o tych obowiązkach — wtrąciła. Tanaś schylił się i w rękę ciotkę pocałował.

— Z tych słów i z akcentu widzę, że ciotka nie odmawia... a co do obowiązków, dowódca poinformuje ciocię... Ja go tu przywiozę jeszcze dziś wieczorem.

Jakoż rzeczywiście nie czekał nawet obiadu, tylko odjechał natychmiast, ażeby czasu nie tracić.

Marek po odjeździe syna zamknął się w swoim pokoju i długo zamyślony siedział. Potem powolnym krokiem zbliżył się do szafy, która stała w jego kancelarii. Był to arsenał rodzinny Żywotowskich, a raczej resztki arsenału, uratowane z rozbięcia. W wielkiej szafie wisiała karabela stara, krzywa szabla turecka, zdobyta na jakimś baszy pod Chocimem, pistolety skałkowe i pistonowe, parę kruciczek, poniżej, jakby niegodny wisieć w jednym szeregu, wisiał tasak moskiewski, oficerska szabla tulskiej roboty, kupiona przygodnie. Osobno, z prawej strony, stało w kącie kilka strzelb rozmaitego kształtu i charakteru — tulskie, francuskie, a osobno, jakby się wstydząc wykwinłego towarzystwa, przytuliła się do bocznej ściany szafki jakaś niepokazna strzelbinka, z grubo obrobionym łóżem, z trochę szorstką i niezgrabną lufą, zardzewiałymi kurkami. Odebrał ją był kiedyś gajowy od jakiegoś myśliwego chłopka, który pod dębem czatował na zająca. Z miny i z typu była to fuzyjka jedna z tych zapewne, na której mógłby godnie błyszczeć napis: „Saga-las London à Bałabanówka“. Na bokach ścian szafy wi-

siały ładownice, rożki na proch, woreczki skórzane na kule, pudełeczka sprężynowe, same wysuwające w razie potrzeby pistony.

Marek długą chwilę milcząc patrzył na wszystko. Wsunął wreszcie rękę powoli i ujął karabelę. Wyciągnął z pochwy i przypatrywał się do światła. Klinga błyszczała do słońca blaskiem stali i cienką powłoką oliwy. Dotknął się palcami ostrza. Było łagodne i miękkie. Patrzył na tę karabelę pradziadowską z pewnem rozrzewnieniem — na niej niewidzialnymi głoskami wypisana była cała historia rodziny Żywotowskich. Ona była świadectwem pierwszego zwycięstwa: za głowę tłustego baszy praszczur jego otrzymał pustynię nad Roską, kędy się poczynił las Bohajowiecki i ciągnął się przez Teleżyńce, Rosuszki aż do Tetyjowa, gdzie Rośka spływała do Rosi. A potem — ileż ona bitew widziała ta szabla! Była z Kościuszką pod Racławicami, wędrowała z Dwernickim, rąbała się pod Daszowem z Moskalami...

— Teraz na mnie kolej — pomyślał.

Wsunął karabelę do pochwy i na dawnem miejscu powiesił. Zdjął potem dubeltówkę francuską, zwrócił ją także do słońca, okiem wzdłuż lufy powiodł, odwiódł kurki. Trzask odciąganych kurków mówił mu widocznie, że sprężyny dobre. Zdjął kapturek sarni z panewki. Wszystko widocznie zadowoliło go, bo mimowoli rzekł półgłosem:

— Dobrze.

Z kolei oglądał ładownice, rożki na proch, maszynki do lania kul i spokojnie wieszał na swoim miejscu. Po tym przeglądzie zamknął szafę i znowu przed biurkiem usiadł w zamyśleniu.

II.

Koszowackie lasy ciągnęły się aż do Bud i łączyły się z powiatem Kaniowskim. Wybrano je też na punkt zborny trzech sąsiednich powiatów.

Na samem pograniczu z Kaniowszczyzną już w nocy poczęli się powoli gromadzić powstańcy. Przybywali konni i piesi, ciągnęły bryki ładowne żywnością, i wielka polana leśna, obstawiona pikietami, poczęła przybierać postać obozu. Gwarne, ożywione rozmowy napełniały powietrze. Koło dowódcy, ubranego w czarną świtkę, rzemiennym pasem podpasaną, i w długich butach, skupiła się gromadka starszych powstańców. Leżeli lub siedzieli przy ognisku, szeroko płonącym. Najmłodszym w ich gronie był sam wódz, bo mało co trzydziestkę przekroczył. Na młodej jego, opalonej od wiatru wiosennego twarzy malowała się jakaś uporczywa rezygnacja, a oczy z pod francuskiego daszka skórzanej czapeczki połyskiwały trochę niespokojnie. Przy daszku od czapki, jako jedyny znak starszeństwa, miał wetkniętą gałąź choiny. Młodzież czyściła strzelby, robiła ładunki i wesołe wiodła rozmowy, jak gdyby rzeczywiście przed sobą miała nie wojnę, lecz polowanie.

Marek był najstarszym w gromadzie, otaczającej dowódcę. Ubrany, jak inni, w czarną świtkę i skórzane kepi, siwym swoim wąsem dodawał niejako powagi młodemu wodzowi. Jakkolwiek był przeciwny zbrojnemu ruchowi, gdy uderzyła godzina stanowcza, zdecydował się nie opuszczać syna i do obozu wyruszył razem z Tanasiem.

— Przecież nie o małą rzecz chodzi, lecz o Polskę — powiedział synowi, który go chciał skłonić, aby w domu pozostał. — Nie z czyjej innej, tylko z łaski królów polskich mamy wszystko. Nie można myśleć o sobie, gdy ojczyzna potrzebuje od nas ofiary.

I poszedł.

Wódz miał powód do niepokoju. Ze Zwinogrodziny stawilo się zaledwie kilkunastu, z Kaniowszczyzny kilkudziesięciu tylko, a z okrain powiatu Taraszczańskiego niewiele więcej.

Nazajutrz przed świtem cały oddział stanął pod bronią — było 130 piechoty i 20 jezdnych.

Wódz zlustrował oddziałek. Na czoło wziął dziesięciu konnych, tyleż zostawił w odwodzie, i uszykowawszy się trójkami, wyruszyli w kierunku Baraniego Pola.

Dotychczas zachowywano się cicho. Gdy wszakże oddział na drogę leśną wystąpił, kości już były rzucone. Wiedzieli wszyscy, gdzie idą, poco i co ich czeka.

— Chłopcy! — rzekł, przejeżdżając wzdłuż szeregów, dowódca — teraz możecie już zaśpiewać.

Z piersi wszystkich, jak na komendę, wyrwała się stara pieśń legionistów:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.
Marsz, marsz, Polacy,
Powitać Warszawę,
A kto padnie z ręki wroga —
To Polsce na sławę!

Świt szary przedzierał się już przez gałęzie sosen. Ciszę leśną przelatywał ten śpiew nadziei, a echa jego obijały się o gałęzie, przemykały się przez igły sosen i konały rozbite w strzępy o pnie drzewne. Słyszać było wśród tego śpiewu miarowy szelest poruszanych nóg po drodze piaszczystej.

Nigdzie żywego ducha dokoła nie było widać. Nad polami i lasami unosiły się sine mgły poranku, wieszając się po szczytach lasów, ciągnąc się długim zawojem białym ponad łąkami szmaragdowych pól. Nad Baraniem Polem wiły się ku górze kręcone słupy dymu i zdaleka dolatywał poryk pędzonego na pastwiska bydła. Na drodze czasem ukazał się chłopiek, a ujrawszy jakieś wojsko i długim szeregiem ciągnący się za niem tabor, zatrzymał się zdziwiony i, czapkę zdjawszy, miał ją w rękę, spoglądając napół przestraszonymi oczyma na pochód. Witany słowami: Sława Bohu! — lękał się nawet odpowiadać, tylko odkrytą głowę schylał do ziemi.

Przy pierwszym wozie zatrzymano chłopka i wręczono jakiś zwój papieru. Była to „Złota hramota”.

— Weźcie to, diad’ku! Teraz niema czasu czytać. Dacie we wsi djakowi, niech przeczyta. To pismo przyniesie wam wolność i szczęście.

Chłop nieśmiałą ręką dotykał się papieru.

— Weźcie! Weźcie! Ten papier dwa wielkie dary zawiera dla was: wolność i ziemię.

Od urzędników i popów słyszał chłopek nieraz, że panowie „buntują się” — może to bunt?

Nie bez trwogi wziął papier do ręki, uklonił się do ziemi i trzymał go z jakimś lękiem. A w uszach brzęczały mu wyrazy: Polska, Warszawa — niby jakieś echa dalekie niby jakiś sen, który stary ojciec opowiadał, a w pamięci dziecka pozostały tylko dwa wyrazy.

Kiedy ostatni wóz minął zdziwionego chłopca, odwrócił się i śmielej spojrzął przed siebie. Oddział polski długim węzłem rozwijał się przed jego zdumionymi oczyma. Patrzył długo, łowiąc skwapliwie echa nieznanej mu pieśni, a gdy to dziwne widziadło z oczu mu znikło, mruknął do siebie:

— Buntują się Lachy...

Przed południem orszak zatrzymał się o wiorstę od wsi Baranie Pole dla wypoczynku i pokrzepienia się.

Ledwie się oddziałek rozłożył i zabrano się do spożycia na zimno przywiezionych zapasów, gdy od lasu zaczęły dolatywać echa jakieś — niby szum wody, niby daleka burza gradowa. Ten i ów zwrócił na to uwagę i nasłuchiwać począł. Dowódca nie siadał do jedzenia, ale kazał sobie podać konia i z adjutantem objechał posterunki, dotarł do pikiet konnej — wszystko w porządku. Wczoraj jeszcze miał wiadomości, że władze moskiewskie nie wiedzą o niczem, że wojska regularnego w pobliżu niema, że w Zwinogródcie jest wszystkiego pięćdziesięciu inwalidów, a w Kaniowie dwustu, w Taraszczy i tego nie-

ma. Zanim się dowiedzą i ruszą, my już będziemy w radomyskich lasach bezpieczni i połączeni.

Wrócił więc spokojny na miejsce.

Właśnie w tej chwili wąską drożyną leśną podążała kałamaszka, w jednego konia zaprzężona. Stara chabeta, głowę i szyję naprzód wysunawszy, ciężko oddychając, ciągnęła kałamaszkę drogą piaszczystą. Z przodu siedział jakiś starowina bokiem, zwiesiwszy nogi ku przedniemu kołu, a na tylnym siedzeniu widać było postać kobietą, ubraną trochę z pańska, ale bardzo chudo — ot, niby żona ekonoma lub pisarza prowentowego.

Szyldwach złożył się do jadących jak do strzału.

— Stój! — zawołał.

Kałamaszka zatrzymała się. Kobieta zręcznym ruchem zeskoczyła z siedzenia.

— Stój! Strzele! — wołał szyldwach.

Kobieta rzuciła mu w powietrze dwa wyrazy:

— Kijów — Warszawa!

Szyldwach opuścił strzelbę do nogi.

— Gdzie dowódca? — spytała nerwowym, niespokojnym głosem.

Wskazał ręką kierunek.

Była to Helena. Dowódca poznał ją zdaleka, podniósł się z ziemi, gdzie siedział z kilkoma starszymi, i naprzeciwko niej podążył. Stanęli na uboczu.

— Ważne nowiny... — rzekła półszepem prawie.

— Dobrze?

— Niestety, niedobre. Moskale już wiedzą o wszystkim... W nocy wyruszyły na wozach komendy inwalidów z Zwinogródki i Kaniowa... mają się połączyć w Medwinie i uderzyć na nasz oddział razem.

— Czy to pewne wiadomości?

— Pewne.

Zamyślił się i chwilę milczał. Potem odezwał się:

— Potośmy wyszli, aby się bić.

Po chwilce dodał:

— Teraz już wiem resztę... Z Taraszczy chcą nas zaatakować z przodu... tamci z tyłu... we dwa ognie. Ale ponieważ w Taraszczy jest tylko kilkudziesięciu inwalidów, muszę śpieszyć. Pobiję ich bez trudu, a wtedy rozprawię się z Kaniowcami...

Zwrócił się do Heleny:

— Niechże pani wraca... dowie się, gdzie są tamci, i proszę mnie natychmiast zawiadomić.

Ucisnął jej rękę — i rozstali się.

Ledwie Helena znikła z oczu, gdy od szpicy nadjechał galopem żołnierz, zeskoczył z konia i wprost do dowódcy podążył.

— Panie naczelniku! — zawołał — moc chłopów nadciąga...

Naczelnik podkreślił wąsa.

— Cóż więcej?

— Spostrzegłszy zdaleka tłumy chłopstwa, wysłałem dwóch, ażeby przyprowadzili języka... udało się im... wy badałem go na miejscu i kazałem do głównej kwatery przyprowadzić.

Dowódca zdradzał niecierpliwość.

— No, i cóż? — pytał.

— Mówił, że jeszcze z wieczora stanowi i uriadnicy pędzili jak szaleni od wsi do wsi i kazali gromadzić się chłopom... brać widły, kosy, siekiery i pod kierunkiem stanowych i uradników podążać pod Baranie Pole...

— No, dalej, co więcej?

— Gromady chłopskie spędzono z Krutych Horbów, z Żydowskiej Grobli, z Łuki, z Koszowatej...

— Cóż mówiono chłopom?

— Dziś rano sprawnik z protojerejem objeżdżali każdą gromadę i mówili: „Panowie chcą wrócić pańszczyznę, ale car nie pozwala... nie chcą wam dać tej ziemi, którą car obiecał, teraz panowie powiadają: lepiej wyróżniemy wszystkich chłopów co do nogi, niech baby odrabiają pańszczyznę”...

— Pieskie dusze! — syknął przez zęby dowódca —
i cóż?

— Zdaje się, że oni wierzą tej bajce.

— Ha, no! Zobaczymy! Przeczytamy tym gromadom
„Złotą hramotę“.

Huk, szum, niby wzburzonego morza, dolatywał zdaleka. Dowódca wydał rozkaz do wymarszu. Nagły rozkaz, wiadomość, że wojsko pędzi na podwodach, aby pochód dalszy tej garstki wstrzymać, że chłopci ruszyli się całymi wsiami uzbrojeni i bałamuceni, rzuciła niepokój w szeregi młodzieży. Posępny nastrój, niby oczekiwanie czegoś złego, ogarnął wszystkich.

Naczelnik przywołał do siebie Marka.

— Panie Żywotowski! Weź pan ze sobą jeszcze dwóch konnych do asystencji... proszę przywołać do siebie kilku lub kilkunastu poważniejszych chłopów... gdyby można, starszyznę z każdej wsi... przeczytać im „Złotą hramotę“, wytłumaczyć nasze szczerze zamiary... oszukaństwa carskich urzędników.

Po chwili dodał:

— Wziąć ile się da „Hramoty“ i rozdać ją pomiędzy starszych chłopów... może to ich otrzeźwi.

Naczelnik umyślnie zwrócił się do Marka, nie tylko jako do najstarszego żołnierza w oddziale, ale jako do człowieka, którego chłopci z całej okolicy znali i szanowali. Słowom jego zatem nie byłoby powodu nie wierzyć. Doradzał gorąco działać perswazją i nie pozwolił używać broni w żadnym wypadku. Taki sam rozkaz otrzymali żołnierze z oddziału: strzelać tylko do Moskali.

— Skoro do chłopów przychodzimy ze słowami: „wolność i równość“, niech widzą, że broń nasza będzie użyta tylko w obronie wolności i równości.

Gromady chłopów napływały ze wszech stron i niby jakaś czarna fala, kłębiły się po polach i drogach. Zdaleka do południowego słońca połyskiwały kosy, migały w powietrzu ostrza wideł, sterczały bijaki cepów, a od tej ma-

sy szedł jakiś pomruk głuchy i groźny. Widać było wszędzie chłopów, ale nie widać wodzów, którzy poruszali tą dziką masą, kłębiącą się ze wszystkich stron niby ponure fale wzburzonego morza.

Cała ta gromada zbliżała się do garstki konnych powstańców, którzy się wyciągnęli w długą linię, ażeby nie pozwolić się otoczyć. Mimo groźnej postawy, chłopci nie naciskali.

Nadjechał Marek i, zbliżywszy się do tłumu, powitał go uchyleniem czapki i głosem:

— Sława Bohu!

Niby szmer jakiś ponad tłumem przeleciał.

Zrzadka odezwały się słowa:

— Na wiki Bohu sława!

Z tłumu wrywały się tu i ówdzie wyraźne okrzyki nieprzychylne i złośliwe.

— Hodi panowały! (Dość pañować).

— Napanowały sia!

Mimo wyraźnie nieprzychylnego nastroju, tłum zajął postawę wyczekującą.

— Czy jest tu może pośród was starszyna z Baraniego Pola, albo z Juszkowego Rogu... może z innej wsi... może są piśmienni — proszę się zbliżyć do mnie... mam oświadczyć ważne wiadomości...

Odezwało się kilkanaście głosów:

— Są... są...

Inni wołali:

— Wiemy... wiemy... jeszcze chcecie pañszczyzny...

Mimo wszystko tłum się poruszył i do Marka poczęli się przeciskać się różni ludzie. Niektórzy zbliżyli się aż do koni.

Poczęto rozdawać „Złotą hramotę“. Ten i ów brał z ciekawości. Koło Marka tłum się skupił i słuchał. Ten i ów, słuchając, nie mógł się powstrzymać od uwag:

— To prawda..., prawda... Dobrze... sprawiedliwie...

Wtem od stepu koszowackiego nagle doleciał hałas jakiś, wrzawa; tłumy ludu poczęły się poruszać; po chwili rozległ się wystrzał jeden, drugi, trzeci. Padaly niby przygodnie tu i tam.

Mrowisko ludzkie poruszać się i posuwać poczęło, a górą, ponad niem, słysząc było wykrzyki:

— Lachy strzelają do chłopów!

Złowrogie te słowa podawano sobie z ust do ust, a tłum począł przybierać groźną postawę.

Gdy słowa te doleciały do gromady, słuchającej czytanej przez Marka „Złotej hramoty“, ktoś krzyknął:

— Zdrada lacka! Zdrada!

— Hej! Chłopcii! Bjut' naszych!

Tłum naciskał na konnych. Powstańcy cofali się trochę, ale dla postrachu wyjęli szable. To powstrzymało napór.

W rzeczy samej, poza masą chłopstwa ukryta, postępowała garstka piechoty moskiewskiej i poczęła strzelać do straży. Chłopi, słysząc strzały, skierowane w ich stronę, pewni byli, że powstańcy strzelają do chłopów.

Nadaremnie Marek uspokajał wzburzony tłum. Postawa jego stawała się coraz groźniejszą i zuchwalszą. Strzały od stepu koszowackiego dawały się słyszeć coraz gęściejsze.

W tej chwili nastąpiła nowa niespodzianka: rozpoczęła się strzelanina na tyłach oddziału. Pokazało się, że wiadomości Heleny były dobre. Piechota rosyjska, wsadzona na wozy, zdołała dopędzić oddziałek powstańców i zaatakować go z dwóch stron. Pod przykryciem tłumy chłopskiego, część piechoty rozsypała się w tyraljerkę i niepokoiła oddziałek polski, który ledwie miał czas sformować się. Druga część piechoty postępowała zwartym szeregiem, z widocznym postanowieniem uderzenia na bagnety. Było to tem bardziej niebezpieczne dla powstańców, że większość posiadała tylko dubeltówki, a rzadko kto pałasze.

Nie było wyjścia. Trzeba było przyjąć nierówną walkę.

Z tłumu coraz częściej słyhać było moskiewskie nawoływania, jakby dla zachęty chłopów:

— Bić buntowszczyków! Łapać! Wiazać!

Ten i ów chwycił konia za uzdę. Szarpano się wzajemnie. Konie, przestraszone hałasem i strzelaniną, niepokoiły się i w tłum się wciskały.

W kilka minut uzbrojone chłopstwo otoczyło gromadkę konną i dziką furjã podniecone, rzuciło się na nich. Kosy i widły zabłyszczały w powietrzu, posypały się razy na głowy powstańców. W kilku punktach widać było skłębioną masę chłopską, która, zwłóklszy z koni rannych i niedobitków, kłuła ich widłami i, depcząc po nich, posuwała się naprzód z krzykiem i wrzaskiem.

Śród dzikiej muzyki rozjuszonego własnem podnieceniem się chłopstwa górowały wykrzyki:

— Bić buntowszczyków!

A wykrzykom tym wtórowały strzały karabinowe Moskali i coraz rzadsze wystrzały powstańców.

Obrona przed wojskiem regularnem była możliwa, ale wobec tłuszczy, która, jak poruszona fala, zalewała wszystko, co tylko po drodze spotykała, była niepodobieństwem. Widać było tylko czarną masę ludzką, poruszającą się z dzikim okrzykiem.

Żołnierze otoczyli pierścieniem całe pobojewisko, strzegąc tylko, ażeby kto nie wymknął się poza ten pierścień, i strzelali do tych, którzy usiłowali go przerwać.

Obrona garstki spłoszonej i napadniętej ze wszech stron była niemożliwą — pierś stykała się z piersią, ramię z ramieniem.

Nad rannymi, leżącymi już na ziemi, pastwiono się z dzikim chychotem. Poszturchując widłami, wołano:

— Panyczyl! Wstawajcie na ball

Inni przeszukiwali kieszenie pomordowanych już lub nie mogących się bronić, zabierając pieniądze, zegarki, ściągając z nich buty. Z okrwawionemi rękami, z twarzą

obryzganą krwią, ze wzrokiem szaleńców, opętanych furją, uwijali się po tem dziwnem pobojowisku jak upiory.

Powoli przychodziło opamiętanie. Ten i ów wołał:

— Hodi! Bude wżel *)

Poczęto wycofywać się z pobojowiska.

Wkroczyli na nie żołnierze, poczęli niedobitków wiązać. Wsadzono powstańców na te same wozy, którymi przyjechali żołnierze. I krwawy orszak zwyciężonych w asystencji żołnierzy pociągnął w triumfie do Kijowa...

III.

Nieszczęśliwa potyczka na Baraniam Polu stała się powodem nowych ciosów dla rodziny Żywotowskich.

Marka, pokłutego widłami, zmiętoszonego obcasami butów chłopskich, okrwawionego, wsadzono ledwie przytomnego na wóz i odwieziono razem z innymi do Kijowa. Niedobitków rozmieszczono po kopanirach **) twierdzy, a Marka, jako beznadziejnie ранnego, odesłano wprost do szpitala. Tanaś znalazł się w narożnym kopanirze, na północ od szpitala. Helena, zebrawszy, jakie mogła, zapasy gotówki, przyjechała do Kijowa, aby uwięzionym nieść pomoc.

Wyleczenia Marka nie było żadnej nadziei. Lżejsze rany pogoiły się, ale kluta rana na lewem przedramieniu zaogniła się i wytworzyła się gangrena. Znać widły, którymi zadana była, zanieczyszczone gnojem, trucizny swojej udzieliły ciału. Okazała się potrzeba odjęcia lewej ręki. Trzeba się było na to zdecydować, ażeby ratować życie. Helena oczywiście miała teraz łatwiejszy dostęp do chorego.

Odjęto mu rękę prawie po ramię.

Zdawało się, że życie ранnego uratowane. Ale znać trucizna głębiej już wniknęła w organizm, bo rana, zamiast się goić, zaogniać się poczęła.

*) Dość będzie już!

**) Fortach.

Lekarz po ostatniej wizycie odwołał na stronę Helenę i na zapytanie, jaki jest stan chorego, odpowiedział wahająco, a jednak wyraźnie:

— Już dalej cię nie możemy... gangrena idzie wgląb. Ostatecznie był to wyrok śmierci.

Marek coraz częściej zaczął gorączkować i majaczyć. Lekarz, hojnie opłacany, odwiedził chorego w obecności Heleny. Zastano Marka w stanie nieprzytomnym. Widocznie w umyśle jego przesuwaly się krwawe wypadki na Baraniem Polu, bo zrywał się z łóżka i krzyczał:

— Nie strzelać! Nie strzelać! Oni niewinni...

Helena rozumiała, o co chodzi. Doktor stał w postawie obojętnej, jak człowiek, który codziennie śmierć widywał. Domyślał się, że choremu marzy się bitwa.

Marek uspokoił się na chwilę. Leżał nieruchomo z przymkniętymi oczyma, ale po twarzy jego przebiegały jakieś drgawki. Znać było, że umysł pracował. Nagle otworzył oczy, błyszczące, i skierowawszy w pustą przestrzeń pokoju, mówił wyteżonym, urywanym głosem:

— Czytajcie... czytajcie... wszystkim dawajcie czytać... dwa wielkie dary niesiemy wam: wolność i ziemię...

Zamilkł na chwilę, jak gdyby słuchał kogoś. Potem wybuchnął znowu tak gwałtownie, że zdawało się, z łóżka chciał wyskoczyć.

Doktor zbliżył się i przytrzymał go łagodnie. Marek krzyczał głośno, wyrывая się z rąk doktora:

— Kłamstwo! Nieprawda! Łotry! Prowadzą do nieszczęścia... Zobaczycie... dzieci wasze... może... Niezgode sięją... krwawe będzie żniwo...

Podniósł się gwałtownie, jak gdyby się chciał rzucić na kogoś, i z jękiem upadł na łóżko.

Doktor obojętnie zauważył:

— Majaczy...

Spojrzał na bandaż i dostrzegł na brzegu krople krwi.

— Trzeba opatrunek zmienić... nie dobrze, że się tak wzrusza...

Marek po tym wysiłku leżał spokojnie. Na bladej jego twarzy nie widać było cierpienia, tylko łagodne jakieś zamyslenie. Doktor wyszedł, aby kazać nowy opatrunek założyć; Helena siedziała przy łóżku i, zakrywszy oczy chustką, cicho płakała.

Widziała, że ratunku niema... rozumiała, co się dzieje w duszy chorego, gdy przez usta jego wyrwały się niepowiedziane myśli lub słowa oburzenia. Z nim razem przeżywała jego walki wewnętrzne, jego cierpienia, jego nadzieje zgniecione, rozbite, krwią oblane i rzucone w pył pogardy na urągowisko wrogów. Drugą tragedję przeżywała jej młoda jeszcze, pełna sił dusza. Nie tak dawno patrzyła na śmierć narzeczonego, z którym pogrzebała swoje nadzieje młodości i szczęścia, a dziś oto patrzeć musi na nowe niedole i z dnia na dzień oczekiwać śmierci brata. Za co? O co to wszystko? Dla kogo tyle ofiar? Dla tej idei, która siedzi w atomach krwi naszej ukryta, niewidzialna dla obcego oka, upokorzona przez wrogów, lekceważona przez faryzeuszów politycznych, a nazywa się — Polska. Nazwano ją marzeniem naszym nieziszczalnym, błędnym, bałamutnym, a jednak ono, niby jasność jakaś, unosi się nad nami i karmi trzecie pokolenie krwią i niedolą... Dla tego marzenia kości nasze rozsiane na drodze sybirskiej, leżą niepogrzebione pod górami Kazbeka i Szatu na Kaukazie, bieleją na piaskach stepów przeduralskich... Nic — nikt — nie może zatrzeć tego marzenia, nie może go wyrwać z piersi polskiej. Znowu w imię tych marzeń codziennie wędrują setki niedobitków na Sybir. Idzie przed nimi i drogę oświeca, niby jakaś moc niewidzialna a jasna — ta idea, we krwi cała, w portarganych szatach, w nędzy się wlecze, a jednak potężna i wielka, bo miliony dusz polskich wiedzie za sobą. Polska jej na imię. Była rzeczywistością — stała się marzeniem.

Marek, jak gdyby uczuł obecność czyjąś przy sobie, otworzył oczy i ujrzał siedzącą przy łóżku Helenę. W oczach jego błysnął promyczek zadowolenia.

— Pozwolili ci? — zapytał zdziwiony.

— Doktor co tylko wyszedł... Jakże się czujesz?

Marek, zamiast odpowiedzi, rzekł cicho:

— Podaj mi rękę.

A gdy ją ku niemu zbliżyła, ujął ją i do ust przytulił.

Helena uczuła ogień rozpalonych ust. Taka fala wzruszenia uderzyła nagle w jej piersi, że ledwie nie wybuchnęła głośnym płaczem. Powstrzymała jednak łzy.

Marek, trzymając jej rękę w swojej dłoni, w twarz jej patrzył. Dziwne to było spojrzenie — niby prośby, niby żalu, niby pożegnania. Łez w oczach nie było, a jednak spojrzenie mówiło, że dusza tego człowieka szarpie się w jakimś strasznym bólu.

— Niedobrze się czuję, moja droga... bardzo niedobrze...

Chciała go pocieszyć.

— Doktor nie widzi nic groźnego — rzekła.

Nie odpowiedział na to, tylko milcząc dłoń Heleny ścisnął.

— Z Bogiem pojednałem się — zauważył ledwie dosłyszalnym głosem — a ludziom krzywdy nie robiłem...

Zamilkł znowu i jak gdyby nad czemś myślał.

— Pamiętaj o Tanasiu... — rzekł po chwili. Nie daj mu zginąć... Ostatni z naszego rodu... oby nie był ostatni... Pewnie powędruje z innymi na Sybir... bądź mu pomocną...

Uśmiechnął się boleśnie.

— Dawniej Tatarzy chwyтали nam ludzi i w jasyr pędzili... Trzeba były wszystko sprzedawać, aby nieszczęśnika ratować... Teraz Sybir stał się nam jasyrem... sprzedaj wszystko i ratuj go...

W tej chwili wszedł do pokoju dyżurny oficer i zwróciwszy się do Heleny, oświadczył sucho:

— Godzina minęła...

Miało to oznaczać, że trzeba opuścić chorego.

Rozkaz przyjęto w milczeniu. Helena nachyliła się i w czoło pocałowała brata. Oficer nie wychodził, czekał wyjścia Heleny.

Gdy się już ku drzwiom zwróciła, Marek wiódł za nią spojrzeniem i do stojącej już przy drzwiach rzekł cicho:

— Do widzenia... pamiętaj o wszystkim.

Na dźwięk tych słów odwróciła się jeszcze do Marka i głową ku niemu skinęła.

— Postaram się jak najrychlej o pozwolenie...

Pozwolenie można było uzyskać tylko od generał-gubernatora. Już znikła za drzwiami, ale oczy Marka, utkwione w ten punkt nieruchomo, zdawało się, widziały ją jeszcze.

Widocznie rozmowa z Heleną i myśl o przyszłości syna wzruszyły Marka i stan jego beznadziejny pogorszyły. Gorączka się wzmogła, majaczenia wróciły. Dla chorego były one życiem w świecie obcym i nieznanym jego otoczeniu, Niekiedy przybierały charakter gorączki tak gwałtowny, że Marek zrywał się z łóżka, krzyczał, przywoływał Helenę lub Tanasia, rozmawiał z nimi.

Na krzyk w celi szpitalnej zjawiał się posługacz, który rozgorączkowanego chwycił za plecy i przemocą kładł go do łóżka, przy czym zawsze prawie zrywały się bandaż. Trzeba było meldować doktorowi.

— Kłopot mamy z tym chorym — mówił.

— Cóż znowu? Majaczy?

— Zupełnie jak warjat... rzuca się... coś gada... teraz zerwał opatrunek...

To wywołało gniewny wybuch doktora.

— Męczy się tylko daremnie... jużby powinien dawno umrzeć...

— Możeby już nowego opatrunku nie nakładać? — wtrącił służący, podsuwając niejako doktorowi myśl rychlejszego pozbycia się chorego. — Dla tych buntowników szkoda — zauważył — niech zdychają...

Doktor obojętnie dodał:

— Nic mu nowy opatrunek nie pomoże.

Może sumienie go dźgnęło, więc dorzucił oziębłe:

— Przemyj mu ranę... a opatrunek... może jeszcze ten sam służyć... mało mamy.

Służący ręką skinął niechętnie.

— Nie warto, wasze błahorodje... wszystko w nim gnije... nie dziś, to jutro skończy.

I wyszedł.

Na korytarzu przypomniał sobie, że przed dwoma dniami jeszcze wziął pięćdziesiąt rubli od Heleny, która, wtykając mu je do rąk, prosiła błagalnie:

— Pilnujcie go, Afanasij... wiecie... czasem trzeba w nocy wstawiać... wody podać.

Ruble wzruszyły Afanasija.

— Wiestimo... bolnoj... nado... wied' my nie Tatarzy... *) — mówił łagodnie, chowając ruble do kieszeni.

Poszedł więc do Marka i opatrunek poprawił.

Marek leżał prawie nieprzytomny. Bolu już nie czuł żadnego. Tylko oczy jego błądziły od zakratowanego okna celi szpitalnej do drzwi, jakby oczekiwały kogoś.

Afanasij, założywszy opatrunek, rzekł, niby z obowiązku, przez wdzięczność za ruble:

— Jakże, lepiej teraz?

Ale odpowiedzi nie było.

Kilka dni oczekiwania minęło.

Marek męczył się. W chwilach przytomności zdawał sobie sprawę ze swego stanu. Wiedział, że żyć nie będzie. Leżał nieruchomo, pragnąc wiecznego spoczynku, tylko myśl, jak błyskawica, uciekała w przeszłość i rozjaśniała ją jasnym, słonecznym blaskiem. Marzyło mu się własne dzieciństwo, spędzone wśród rozłożystych lip wielkiego ogrodu w Żywotowie... śmierć Słomowskiego... utrata ojcowskiego domu nad ukochaną rzeką... Wszystko to

*) Wiadomo... chory... trzeba... przecież my nie Tatarzy.

przelatywało przed nim w obrazach niby czarodziejskich, pełnych tego życia, jakim żył niegdyś... Nie spał przecież — to nie sen — obrazy przesuwają się przed nim niby na jawie — coraz inne... inne. Świeciło mu to samo słońce, które dziecku świeciło niegdyś, błyszczały te same gwiazdy, w które wpatrywać się lubił, i czytał wypisany na niebie tajemniczy wyraz: „wieczność“.

Nagle niby zasłona jakaś ciemna spadła mu przed wzrokiem — i wszystko znikło. Opanowała go nieruchomość, bezwładność. Jakieś myśli splątane, co chwila rwące się, jak nici białej pajęczyny, snuły się przed zamkniętymi oczyma i ulatywały w jakąś dal bezmierną, pustą, cichą, przerażająco cichą. Nagle jasność błysnęła wśród tego bezmiaru przestrzeni i ciszy. Usta złożyły mu się do uśmiechu.

— Tanaś... — wyszeptał. Dobrze, że przyszedłeś... wolny jesteś...

Wyciągnął rękę przed siebie, otworzył nerwowym ruchem oczy, jakby pragnął przytulić do siebie syna. Ręka opadła mu bezwładnie na kołdrę. Powieki zamknęły się mimowoli.

W takim szamotaniu się życia ze śmiercią kilka dni minęło. Afanasij nie zmieniał opatrunku — szkoda... wiedział przecież, że chory łąda godzina umrze; a on żył jeszcze.

Regularnie tylko przynosił do celi Marka jedzenie, bo chory otrzymywał „szlachecki wikt“, który Afanasij równie regularnie spożywał.

Pewnego rana przyniósł, jak zwykle, mleko i postawiwszy na stoliku przy łóżku szklanę, rzekł suchym swoim, obłudnie słodkim głosem:

— Wot wam mołoczko... kuszajcie na zdrowie *)... Marek nie odzywał się.

*) Oto mleczko dla pana... niech pan je na zdrowie.

Afanasij trącił go lekko i rzekł obojętnie:

— Konczył*)...

Rzeczywiście, cierpienia Marka skończyły się.

Zameldował doktorowi. Odpowiedź była krótka:

— Zabrać go do trupiarni... dziś lub jutro dwóch jeszcze umrze, można będzie pochować w jednej skrzyni.

Na wielki stół sekcyjny rzucono Marka w trupiarni. Codziennie do niemego towarzystwa ktoś przybywał — aż towarzystwo zwiększyło się do pięciu. Naczelný doktor szpitala wojskowego, gdzie umarł Marek, wydał rozkaz pogrzebania.

Był to jasny, słoneczny, mroźny dzień lutowy.

Helena udało się nareszcie otrzymać pozwolenie na widzenie się z bratem. Podążała szeroką aleją akacjową do pawilonu Marka. Szła śpiesznie. Iskrzące się igły mrozu błyszczały na gołych gałązkach akacyj.

Przed bramą szpitalną zetknęła się z Afanasijem.

— Jakże nasz chory? — spytała niespokojnie.

Afanasij miał minę lisa, starającego się umknąć z pułapki.

— Prikazali dołho žit'**) — odpowiedział.

Helena nie zrozumiała tego wyłącznie rosyjskiego zwrotu.

— Co takiego? — spytała znowu.

— Woleju bożjeju pomre***)...

Na dźwięk tego ostatniego wyrażenia zamgliły się jej nagle oczy, zachwiała się i ledwie się zdołała opanować.

— Umarł? — spytała przez łzy machinalnie.

— Wola boża... — zauważył obłudnie.

— Czy jest jeszcze w swoim pokoju? Kiedy umarł?

Rzuciła pytania jedno po drugim.

— O, już kilka dni temu.

*) Skonał.

**) Kazano długo żyć.

***) Z woli Bożej umarł.

— Czemuście mi nie dali znać? — rzekła z wymówką.

— Nielżia... prikaz*)...

Zamknął jej usta. Stała przed nim i płakała.

— Gdzież go pochowali? Chciałabym bodaj pomodlić się na jego grobie.

Afanasij wykręcał się.

— Nie wiem... może jeszcze nie pochowali... u nas pojedynczo nie chowają... żołnierska śmierć... zwyczajnie.

— Gdzież on leży?

— W trupiarni.

— Mój miły Afanasij, pójďte zobaczyć... zróbcie to dla mnie...

Sięgnęła do pugilaresu i wetknęła mu w łapę czerwony papierek — dziesięć rubli.

Afanasij wsunął go obojętnie pod fartuch.

— Trzeba zameldować smotrytelowi**) — bez tego nie można.

— Zróbcie to, mój miły Afanasij!

Afanasij niby-wahał się. Rzekł wreszcie:

— Pożałujcie***)... proszę poczekać w poczekalni... Otworzył przed nią drzwi — i poszli. Przed poczekalnią Afanasij zniknął w ciemnym korytarzu.

Helena siedziała w oczekiwaniu jego przybycia i płakała.

Usłyszała szmer za drzwiami — kroki czyjeś... Otarła łzy.

Wszedł Afanasij.

— Chodźmy — rzekł sucho. Ledwie uprosiłem smotrytela... nie można — u nas „strogo“.

Ciemnymi i wąskimi korytarzami, zaułkami i zakrętami prowadził Helenę i mówił po drodze, nie odwracając się do niej, jakby na wiatr rzucał wyrazy:

— W sam czas przyszła wasza miłość... jeszcze mo-

*) Nie można...

**) Dozorcy.

***) Proszę (wejść).

żecie ich oglądać. Mówiąc w liczbie mnogiej o zmarłym, w ten sposób wyrażał swoje osobliwe uszanowanie.

— Za godzinę już byłoby za późno... U nas „po żołdatski” — umarł — nu, i „konczeno”.

Nagle zatrzymał się, nacisnął klamkę i otworzył drzwi szeroko przed Heleną. Uderzył ją mocny zapach rozkładających się ciał trupich.

Izba była obszerna, jasna, z oknami na dziedziniec. Na wielkim stole sosnowym, pocentkowanym śladami zaschłej krwi, leżały trzy trupy, rzucone na stół w takim nieładzie, jak się rzuca do kąta niepotrzebne rupiecie, które za chwilę na śmietnik ma się wynieść. Inne trzy leżały na podłodze tuż przy stole. Wszystkie trupy były zupełnie nagie. Nogi rozłożone spletały się w jedną sieć, rozpostarte ręce wzajemnie zakrywały twarze trupów. Ściśnięte pięści, wykrzywione usta zdawały się świadczyć o męczarniach konania. Z pod rąk, leżących na twarzach, patrzyły oczy szklane zastygłym spojrzeniem, w którym odbijał się ból i przerażenie.

Helena, ujrawszy tę masę nagich ciał ludzkich, głośno szlochać poczęła, odrywając co chwila chustkę od oczów i spoglądając na Marka. Twarzy nie było widać — czyjeś ramię zakrywało ją zupełnie. Poznała go po braku ręki i po włosach.

Afanasij zbliżył się do Marka, ujął rękę sąsiada, spoczywającą na jego twarzy, i tak ją gwałtownie pociągnął, że trup z głuchym łoskotem upadł na podłogę.

Helena uklękła i długą chwilę modliła się. To niecierpliwiło Afanasija.

— Nu — dowolno! Posmotrieli*) — i basta! — rzekł szorstko.

— Gdzież go pochowają?

— Eto nasze dzieło**).

*) No — dość. Popatrzyliście.

**) To nasza rzecz.

— Chciałabym mu trumnę bodaj sprawić — zauważyła.

— To można, ale tylko pod sekretem... u nas strogo...

Błysnęła mu myśl jeszcze jednego zarobku — za trumnę. Znał zwyczaj wojskowych szpitali: chowano we wspólnym grobie, skrzynia służyła tylko do składania trupów i do odwożenia na cmentarz, potem rzucano je nago do dołu i przysypywano ziemią.

— Ileż wam dać na trumnę? — spytała Helena.

— Rubli ze trzydzieści trzeba... przywiezienie... także kosztuje... Trumna przecież nie może być taka, jak dla żołdata...

Helena wyjęła dwie asygnaty po 25 rubli i wręczyła słującemu.

— Czy wystarczy?

— Może wystarczy... pojutrze proszę przyjść... już będzie w trumnie... pochowamy go po chrześcijańsku... i ubranie z magazynu można będzie wydostać... bo jakże... tak nie wypada kłaść do trumny jak prostego żołdata... wiadomo — błagorodny *)...

Zastanowił się chwilę.

— Tylko wicie... magazynierowi także coś trzeba dać, inaczej nie wyda ubrania. Wsio eto maszenniki **)... — dodał ze złośliwym uśmiechem — grzebią goło, a ubranie sprzedają.

— A ileż temu?

— Krasnieńkiju nado ***)...

— Teraz nie mam przy sobie... pojutrze przyjdę i zapłacę.

— Poczekać można... dlaczegoż nie? Przecież to nie z żydami sprawa, lecz z chrześcijanami.

*) Wiadomo — szlachetny (wielmożny).

**) Wszystko to gałgany.

***) Czerwoniutką trzeba.

Trzeciego dnia zjawiała się znowu w szpitalu Helena. Afanasij czatował na nią. Przywitał się z miną niby za-
kłopotaną, niby tajemniczą.

— Jakże tam z trumną? — spytała na wstępie.

— Trumnę kupili...

Z akcentu głosu Helena domyślała się czegoś złego. Afanasij niepewnym głosem ciągnął dalej:

— Ubranie wykupili... wszystko jak należy, ale jego już pochowali.

— Jakto? kiedy?

— Wczoraj wieczorem... Smotritiel, jak się dowiedział, że nie pochowany, to narobił takiego hałasu, że mało szpital się nie zawalił. „Cóż to za porządek? — krzyczał — ludzie umierają... niema gdzie trupów składać, a ty buntowszczyków po śmierci protegujesz?...“ U nas strogo — dodał na zakończenie.

— Gdzie go pochowano?

Miała zamiar krzyż postawić na ukochanym grobie.

Ale Afanasij wiedział, że już wszystkie środki wyczerpał, mówił więc otwarcie i cynicznie:

— Któż go wie? Groby kopią po porządku... po pięciu, po dziesięciu rzucają... jak się zdarzy... któż zgadnie, gdzie on leży...

Helena wsunęła mu do rąk jeszcze dziesiątkę i ze wstrętem opuściła to miejsce wyzysku żywych i umarłych.

IV.

Po smutnym pogrzebie Marka Helena wszystkie swoje usiłowania zwróciła do ulżenia doli Tanasia. Nie ulegało wątpliwości, że będzie wysłany na Sybir. Zanim to jednak nastąpi, przemyślała nad tem, jak złagodzić jego obecne położenie. Ze Środkowej Reduty przeniesiono ich do Półkrągłej baszty. Tanasia z dwudziestu pięciu towarzyszymi umieszczono w jednej „kamerze“. Wilgoć, brak powietrza, niezdrowe odory, nieuniknione towarzyski wię-

ziennego życia, podkopywały zdrowie młodzieńca, nieprzywykłego do niesłychanych niewygód. Brak wody do picia jeszcze bardziej czynił to życie ciężkiem.

Ostatecznie — zachorował i znalazł się w tym samym szpitalu, gdzie umarł ojciec. O śmierci już wiedział.

Szpital wojskowy był jeden tylko, ale istniał drugi, dla więźniów cywilnych, w tak zwanym „Tiuremnym Zamku“. Po długich staraniach udało się Helenie umieścić tam Tanasia, dzięki temu tylko, że już został skazany na dziesięć lat ciężkich robót na Sybirze. Przeniesienie okazało się o tyle możliwe, że do Tiuremnego Zamku przychodziły partje skazańców z Wołynia, razem tedy z nimi wysyłano tę nieliczną grupkę więźniów politycznych, którzy tutaj na rekonwalescencji przebywali w szpitalu. W marcu Tanaś już siedział w cywilnem więzieniu, o wiele łagodniejszym i zdrowszem, niż w Półkrągłej baszcie.

Dostęp do więzienia był tu o wiele łatwiejszy, gdyż istniał tu zarząd cywilny, zupełnie niezależny od więźniów politycznych. Zarządca więzienia, major dymisjonowany „z mundurem“, to jest z prawem noszenia munduru, Anisimow, stary kawaler z pretensjami młodości, starał się, szczególnie wobec kobiet, być grzecznym, uprzejmym i — postępowym. Rzadko dbał o to, ażeby uchodzić za człowieka ludzkiego i przystępnego. W gruncie rzeczy był istotnie dobry i łagodny w postępowaniu, a Polacy szczególnie imponowali mu łatwością towarzyską.

— To naród cywilizowany — mawiał, — a my co? Chamy! Tyle tylko potrafimy — w mordę bić i łać.

Pozwolenia na widzenie się z więźniami Anisimow sam udzielał. Odbывały się one w tak zwanej „karaulce“, właściwie w pokoju przeznaczonym dla dyżurnego oficera od warty. Była to izdebka ciemna, mała, a wchodziło się do niej przez „sborną“, czyli izbę, gdzie przesiadywali żołnierze, zmieniający się na warcie. Łatwo sobie wyobrazić wstrętne powietrze, panujące w takiej izdebce. A jednak

widywanie się więźniów z postronnymi w tej izbie już było pewnego rodzaju złamaniem regulaminu, gdyż do tego przeznaczona była osobna izba, przedzielona po połowie drewnianymi kratami w ten sposób, że między obu kratami tworzył się korytarz. Środkiem korytarza przechadzał się dozorca, który nie tylko kontrolował rozmowę, dozwoloną jedynie w języku rosyjskim, ale uniemożliwiał stykanie się ze sobą rozmawiających, którzy zresztą byli kratami i korytarzem oddzieleni od siebie.

Pierwsze zetknięcie się Anisimowa z Heleną było dość chłodne, ale uprzejme. Odbyło się w prywatnym jego saloniku, dość skromnym, ale pełnym kwiatów i zapachu. Zwykle interesy z gośćmi załatwiała się w kancelarii.

Anisimow pozwolenia udzielił łatwo, ale zrobił minę zakłopotaną.

— Gdzie ja pani pozwolę? — rzekł niby sam do siebie. — Na górze...

Urwał nagle.

— Pani nie wie pewnie, że nasze urządzenia są bardzo barbarzyńskie... Trzeba rozmawiać przez kraty... Ludzie oddzieleni od siebie jak dzikie zwierzęta, aby się nie pokąsały...

Uśmiechnął się.

— Na to nie mam rady... z czasem i to się zmieni... Teraz mamy, Bogu dzięki, rząd liberalny...

Urwał nagle.

— Ja pozwolę pani na widzenie się z bratankiem w karaulce... Nie jest tam przyjemnie... ale zawsze lepiej, niż za kratami. Niech pani poczeka... każę przywołać pana Żywotowskiego.

Długą chwilę bawił rozmową Helenę. Gdy dano znać, że więzień już czeka, sam odprowadził Helenę do karaulki i dyskretnie się cofnął. Za jego przykładem poszedł oficer dyżurny. Zostali sami. Mogli mówić do pewnego stopnia swobodnie.

Na odchodnem Anisimow rzekł z uśmiechem:

— Ale tylko godzinę...

Miało to oznaczać, że przedłużać rozmowy nie wolno.

Gdy się rozstali, Helena wstąpiła jeszcze do kancelarii i podziękowała za uprzejmość. To ostatnie podbiło Anisimowa. Przy pożegnaniu podał jej rękę i rzekł z uśmiechem trochę zalotnym:

— Według regulaminu, widywanie się z więźniami dozwolone raz na tydzień we środy, ale... między krewnymi... ja rozumiem, jest wiele do gadania, szczególnie gdy się mają rozstać na długo... są sprawy majątkowe...

Podniósł wzrok i zatrzymał na twarzy Heleny.

— Gdyby pani pragnęła widywać się częściej... zaopatrywać krewnego swego w lepszą żywność, w karaulce nie mógłbym pozwolić na widywanie się, ale mogę pozwolić prywatnie... w moim pokoju. Jest to nadużycie z mojej strony, ale w imię ludzkości takie nadużycie nie jest zbrodnią...

Zatrzymał się chwilę i dodał:

— Ale, oczywiście, takie nadużycie — mówił z naciskiem — wymaga zachowania zupełnej tajemnicy... Wzajemnie wymagam tylko lojalności — to jest pewności, że wobec rządu narażonym nie będę...

Helena była niezmiernie uradowana takim obrotem rzeczy.

— Panie pułkowniku — awansowała go o stopień wyżej — może pan być zupełnie pewnym... będę umiała cenić dobroć pana.

Anisimow przyjął tę uwagę z taką serdecznością, akby się znali od wielu lat.

— No, dosyć, dosyć komplementów — rzekł wesoło. — Może pani widywać, kiedy się podoba, byle tylko po południu... między czwartą a szóstą najlepiej.

Wiedział, że w tym czasie „władza“ odbywa poobiednią drzemkę.

Wyciągnął rękę.

— A zatem — do widzenia. Obowiązek... służba... Ech, służba to także niewola.

Helena opuściła więzienie, ożywiona jakąś dobrą nadzieją. Podążała niechlujną uliczką, zabudowaną małymi mieszczańskimi domkami, ku drodze Staro-Żytomierskiej. Zastanawiała się nad tem wszystkim, co przeszła przed chwilą, i myślała:

— I Niemcy są ludzie...

Do domu było jeszcze daleko. Właśnie nawinęła się po drodze zwykła jednokonna dorożka.

— Pojedziemy? — zapytał natrętnie woźnica, podjeżdżając ku niej tak blisko, że ledwie koła sukni jej nie musnęły.

Po przebytych wzruszeniach uczuła nagle zmęczenie. Nie mówiąc ani słowa, usiadła machinalnie, rzuciwszy adres:

— Kuźniecza 47.

Zamysłona, nie patrzyła nawet na stronę. Dopiero gdy mignął przed nią blado-złocisto malowany, w koszarowym stylu zbudowany pałac sprawiedliwości, jakby oprzytomniała. Mijała już sobór św. Zofji i jego rozkraczystą, niekształtną dzwonnice, gdy usłyszała gwałtowne wołanie:

— Stój! Stój! Stój!

Ktoś kiwał czapką w stronę woźnicy i dawał znaki zatrzymania się.

Ku dorożce przyspieszonym krokiem zbliżał się jakiś mężczyzna, a głową, rękami, całym ruchem ciała wyrażał radość i zadowolenie. Był to Tyburcy Starykoń Żmijewski.

Jeszcze kilkanaście kroków było do dorożki, gdy pan Tyburcy, idąc przyspieszonym krokiem, głośno krzyczał

— Jakże się cieszę! Jak się cieszę! Co za nieoczekiwane spotkanie!

Zbliżył się i w rękę Helenę cmoknął.

Nie dał jej przyjść do słowa, tylko wciąż krzyczał:

— Któżby się był spodziewał! Poznałem panią odrazu. Kawał czasu upłynęło, kiedym Żywotówkę opuścił... Przepraszam, że zatrzymuję... Pani w którą stronę jedzie?

— Do domu... niedaleko już stąd.

Wysiadła z dorożki.

— Pójdziemy piechotą, jeżeli ma pan czas... Odprawię dorożkarza...

Tyburcy znowu Helenę w rękę cmoknął.

— Odprowadzę panią.

W drodze Helena opowiedziała krótko historję długich lat, śmierć Marka, więzienie Tanasia.

Pan Tyburcy, słuchając, przerywał tylko opowiadanie wykrzykiem:

— Nieszczęście! nieszczęście!

Nagle zapytał:

— A z Żywotówką co się stało?

— Marek zapisał na moje imię przed samem powstaniem.

Pan Tyburcy głową skinął:

— Oby nie za późno!

— Dotychczas jest tylko w sekwestrze... część dochodów wypłacają mi dotychczas.

Zdjął czapkę i czuprynę sobie gładził, wyrzucając ze siebie nieartykułowane dźwięki i pomrukiwania.

— Pani mówi, że Tanaś skazany na Sybir i że lada miesiąc przyjdzie wyrok... że jest w Tiuremnym Zamku... to dobrze... to znaczy, że stamtąd go wyszlą... partja będzie przechodzić przez las Browarski...

Helena słuchała, nie wiedząc, dlaczego to wszystko „dobrze“.

— Mam plan jeden... jutro z panią pomówię... pomyślę.

Helena spostrzegła, że ciągle o swoich sprawach mówiła, a nie spytała, bodaj z grzeczności, o sprawy dawnego dzierżawcy Żywotówki.

— Jakże panu teraz idzie z dzierżawą?

— Z dzierżawą?—powtórzył niby zdziwiony—ależ ja od dziesięciu lat już na własnym kawałku ziemi gospodaruję. Podała mu rękę.

— Winszuję panu... i cieszę się z powodzenia. A dalekoż to?

— Trochę daleko... tęskni mi się... ciągle między obcymi, a powiem pani prawdę, że to prostactwo straszne: wódka i jedzenie — oto ich ideały...

Po chwili dodał:

— Za Dnieprem... trzy mile od Perejesławia... wieś nazywa się Stare... duża wieś... trzy tysiące diesiatyn... lasy... zdarzyło mi się kupić za bezcen...

Helena stanęła przed jakąś furtką.

— Otóż jesteście już w domu... Wstąpi pan do nas na herbatę?

Żmijewski uklonił się jak mógł najgrzeczniej.

— Pani dobrodziejko, dziś nie mogę... w żaden sposób... proszę wybaczyć. Teraz przyjechałem za interesami... pojutrze muszę wracać... siew... już groch siać można... owsy... Ale jutro przyjdę z pewnością.

Zamyślił się.

— Może co z tego będzie?... jutro wszystko opowiem. Tak samo pożegnał obcesowo, jak i witał.

Nazajutrz wrócił. Mówili że sobą długo, a jakkolwiek w pokoju oprócz nich nie było nikogo, mówił półszepetem... z miną tajemniczą, nachylając się prawie do twarzy Heleny. Ze skupionej miny widać było, że do tego, co opowiadał, przywiązywał wielkie znaczenie, tembardziej że i Helena słuchała z uwagą. Nie przerywała mu ani słówkiem. Dopiero gdy spostrzegła, że Tyburcy wyczerpał główny temat, spytała:

— Czy to możliwe? Pan przedstawia to tak jasno, że gotowam uwierzyć.

— Zupełnie możliwe... więcej nawet powiem: bardzo łatwe... Tylko potem żeby wszystko było gotowe — pani rozumie?

— Rozumiem.

— Na kilka dni przedtem ja muszę wiedzieć.

— Postaram się.

— O, nie! To konieczne. Jeśli się ma udać, to ja muszę wiedzieć.

Po tych słowach uważał, że rozmowa już się wyczerpała. Powstał z krzesła.

— Ot, widzi pani, jakie to dziwne losy ludzkie — z Żywtowa do Starego, z nad Roški nad Dniepr...

Nagle zmienił temat.

— Ja pamiętam dobrze, że początek mojej fortunki był w Żywtówce, i rad będę, gdy czemkolwiek przysłużyć się zdołam.

Po wyjściu Tyburcego Helena chodziła jakby odu-rzona i tylko wśród rozmyślań wyrwały się jej wyrazy:

— Czy to możliwe?

Na to odpowiadała sama sobie:

— Gorzej pewnie być nie może.

Nie tracąc czasu, wsiadła do dorożki i kazała się wieźć do cytadeli do biura komendanta. Chodziło o to, ażeby się dowiedzieć, czy już confirmacja wyroku nadeszła i kiedy może być prawdopodobne wysłanie partji, w której i Tanaś miał wyruszyć.

W biurze komendanta udała się wprost do pisarza, w którego rękę znajdowały się spisy więźniów, przeznaczonych do ekspedycji.

Był to pijaczyna z obrzękłym czerwonym nosem, ugarniowanym pryszczami — Mikołaj Arkadjewicz Samochwałow, prawa ręka zastępcy komendanta, kubaniarz, wychowany od dziecka prawie we wstrętnej szkole pisarzy bataljonowych, pułkowych, sztabowych, którzy tuczyli się i bogacili okruszynami żołnierskiego chleba. Najniższa kategoria kanaliż wojskowych, nie pogardzająca nawet nędzną pięciokopiejkową monetą, którą uboga żona żołnierza wciskała mu do garści z prośbą, aby wręczył mężowi „paschę” wielkanocną.

Helena trafiła właśnie na taką scenę i czekała zakończenia. Mikołaj Arkadjewicz brał pieniądze z niesłychaną zręcznością. Wykonywał tak nieuchwytnie ruchy rąk, jak karciarz-szuler filujący potrzebną mu kartę, — w pół sekundy moneta lub papierek znajdowały się w jego niezgłębionej kieszeni lub wsunięte pod kupę papierów, leżących na stole, jakby umyślnie na ten cel przeznaczonych.

Ujrawszy przed sobą zgarbioną kobiecinę w pokornej postawie, trzymającą w ręku ogromną paschę, złocącą się od obfitości szafranu, Mikołaj Arkadjewicz rzucił na nią bystre spojrzenie małych sroczych oczu i odrazu domyślił się, o co chodzi.

— Na co jemu pascha? U nas żołnierze mają dowoli jedzenia.

Kobieta jęklwym głosem prosiła, przypochlebiając się pisarzowi:

— Wasze błahorodije... ta jakże? Wielkanoc przecie... bez paschy domowej... Bud'te łaskawi...

Zbliżyła się do pisarza tak, że ledwie łokcia nie dotykała.

— Bud'te łaskawi...

Mikołaj Arkadjewicz rozpoczął ruch młynkowy rękami, a z pochylenia się ręki w kierunku kieszeni Helena domyślała się, że tam wpadła jakaś drobna moneta miedziana. Pisarz zmieknął nagle.

— Jeśli chcesz... można... dlaczegoż nie? „Naczalstwo“ nie broni...

Wziął paschę z rąk kobiety i w ręku obracał.

— Bardzo piękna... bardzo piękna... oddamy komu należy...

Rzucił okiem na stojącą opodal Helenę i jakby się chciał pokazać wobec niej sumiennym, dodał:

— Zaraz napiszemy, do kogo posłać.

Odwrócił paschę do góry spodem.

— Jakże zwać męża?

— Iwan Mykytiuk, dywizja piąta, pułk trzeci, bataljon drugi, rota pierwsza.

Gdy to wszystko wypisał, rzekł na zakończenie audjencji:

— Teraz oddamy ją komu należy... nie przepadnie z pewnością.

Mikołaj Arkadjewicz wiedział, „komu należy oddać” i że „nie przepadnie”. Znoszone do niego chleby i jadło dla żołnierzy przez matki i żony szły zawsze, w miarę wartości, albo na kuchnię Mikołaja Arkadjewicza, albo dla jego wieprzy — słynnych na całym Peczersku (części Kijowa) ze smaku szynek i grubości słoniny. Żony placokomendantów, a nawet klucznica pomocnika komendanta, jenerała Lenkowicza, bardzo chwaliła szynki, składane w darze przez Mikołaja Arkadjewicza.

Załatwiwszy wszystko formalnie, na pociechę kłaniającej się przez wdzięczność kobiecie, rzekł nabożnie:

— Wracajcie do domu z Bogiem! wszystko pójdzie, gdzie należy...

Gdy już kobieta odeszła, pisarz, nie zwracając najmniejszej uwagi na stojącą opodal Helenę, zagłębił się w papierach i udawał, że jest bardzo zajęty. Znana to była metoda kubaniarzy. Helena czekała cierpliwie.

Poruszyła się nareszcie, dając znak, że czeka, chociaż Mikołaj Arkadjewicz dobrze ją widział. Na szmer, niby teraz usłyszany, podniósł głowę.

— Szto wam ugodno *)? — spytał sucho.

Helena zbliżyła się do stolika i półgłosem opowiedziała mu, że pragnęłaby wiedzieć o dniu odejścia partji, w której będzie Ałanazy Żywotowski,

Pisarz zrobił minę uroczystą.

— Eto niewozmożno **) — rzekł stanowczym akcentem.

*) Czego pani sobie życzy.

**) To rzecz niemożliwa.

Helena знаła dobrze cały tryb postępowania z takimi panami. Chodziło jej o to, ażeby jakiegokolwiek informacji zasięgnąć. Jęła się przeto tłumaczyć, dlaczego jej ta wiadomość była potrzebna: musi przecież przygotować ubranie na podróż, buty.

Mikołaj Arkadjewicz bardzo lubił takie „przygotowanie”, gdyż znaczna część pozostawała zwykle — u niego Podzielał zupełnie troskliwość Heleny.

— Eto oczeń błagorodno... ja ponimaju *)... ale o terminie wyjścia sam tylko Pan Bóg wie i generał-gubernator Stanowczy ton pisarza nie zrażał zupełnie Heleny.

— Może w tych papierach są jakie wiadomości — wtrąciła i ręką dotknęła leżącej kupy papieru.

Mikołaj Arkadjewicz wlot ten ruch pochwycił i spostrzegł, że szary jakiś papierek mignął w jej ręku.

— Dwadzieścia pięć rubli... — pomyślał.

Twarz jego wypogodziła się.

— Popatrzeć w rejestrach można... — rzekł łagodniejszym tonem — ale nie przypominam sobie, żeby temczasą nazwisko to wpadło mi pod pióro.

— Niech pan będzie łaskaw zobaczy...

— Zobaczyć można... dlaczegoż nie?

Brał po kolei jedną księgę po drugiej i przewraca kartki.

Nareszcie złożył księgi.

— „Bumaga” odeszła do confirmacji 15 marca... jeszcze nie wróciła... może za jakie dwa tygodnie... „Dokłady” generał-gubernatorowi bywają raz na tydzień... proszę się dowiedzieć.

Z tą nadzieją wróciła do domu.

Wpadła jednak na myśl, że skoro Tanaś, jako niby chory, znajduje się w szpitalu, muszą przecie zapytać dozorcę, czy już jest zdrow i czy można go wyekspedjować,

*) To bardzo szlachetnie... ja rozumiem.

i że zapewne wyruszy z partją żytomirską wprost z więzienia, jak to przypuszczał pan Tyburcy.

Należało przecież zasięgnąć informacji u smotrytela.

Nazajutrz wybrała się w odwiedziny Tanasia, trochę niepewna, czy humor smotrytela nie zmienił się i czy obietnicy dotrzyma. Widząc wszakże, że Anisimow lubi kwiaty, kupiła olbrzymi wazon kwitnących białych róż i postanowiła złożyć mu w prezencie.

Warta zameldowała ją u dozorczy i otrzymała rozkaz wpuszczenia natychmiast. To napełniło Helenę dobrą otuchą. Wazon róż, owinięty troskliwie w papier, pozostała przezornie w dorożce, nie wiedząc, czy przyjmie, a trochę obawiając się ofiarowania zbyt nagle.

Anisimow był bardzo uprzejmy. Powitał ją jak dobrą i dawną znajomą. Ale rozkazu na przyprowadzenie Tanasia nie wydawał. Bawił ją rozmową w swoim saloniku

To ośmieliło Helenę.

— Panie pułkowniku... ale ja nie przyjechałam sama — zaczęła nieśmiało...

Anisimow rzucił się, udając obrażonego.

— Dlaczegoż pani nie powiedziała odrazu?... prosić. Otworzył drzwi i krzyknął:

— Dyżurny!

Zanim jednak zjawił się ordynans, Helena odezwała się:

— Pan pułkownik pozwoli, że ja sama wprowadzę nieznajomego.

Anisimow uklonił się na znak zgody. Skinęła na ordynansa i wyszli.

Za chwilę wazon zjawił się na stole saloniku smotrytela. Był to dowód grzeczności i wdzięczności ze strony Heleny.

Anisimow był ogromnie uradowany. Zapomniawszy o służbowym stosunku swoim do Heleny, pocałował ją w rękę i rzekł z trochę oficerskim zacięciem:

— Nie mogła mi pani sprawić większej przyjemności...
Lubię kwiaty i kobiety...

Niesmacznym wydał się Helenie ten komplement podstarzałego oficera, ale przyjąć go musiała z konieczności.

Po chwili zjawił się Tanaś i Anisimow dyskretnie wyszedł. Helena, spostrzegłszy przez okno, że smotrytel wyszedł i udał się na dziedziniec więzienia, powtórzyła Tanasiowi długą rozmowę z Tyburcym i plan jego.

Był to plan ucieczki z drogi.

Tanasiowi wydał się zupełnie wykonalnym i łatwym, ale najważniejszą rzeczą było wiedzieć kilka dni naprzód o terminie wyruszenia w drogę.

Partja skazanych na Sybir przychodziła zawsze we środę rano, przez czwartek odpoczywała, a w piątek rano wyruszała za Dniepr. Jeśli kto miał być dołączony do tej partji z więźniów cywilnych, zawiadamiano zwykle smotrytela.

Gdy już żołnierz posterunkowy odprowadził Tanasia do jego celi, Anisimow wszedł do saloniku, jak zwykle, na rozmowę. Z tego skorzystała Helena, ośmielona już dobrem przyjęciem wazonu z różą.

— Nie wie pan pułkownik, kiedy Tanasia mego wysłają?

— Tego nie wiem, ale zwykle wysyłają w tydzień po confirmacji wyroku. Czy sprawa jego już poszła do jenerał-gubernatora?

— W komendanturze powiedziano mi, że już.

— W takim razie około połowy kwietnia musi to nastąpić.

Helena udała zakłopotanie.

— Mój Boże! Ja przecież muszę wiedzieć o tym terminie... Trzeba coś przysposobić do drogi.

Anisimow odezwał się dobrodusznie:

— Nic łatwiejszego... na tydzień przed wysłaniem komendantura musi mnie o tem zawiadomić.

Helena spojrzała na niego wzrokiem pełnym prośby.

— Panie pułkowniku... pan mnie przecie powie, kiedy to nastąpi — prawda?

— Dlaczegoż nie? Nic w tem złego nie widzę...

V.

Helena natychmiast zatelegrafowała do Żmijewskiego: „Kupno doszło do skutku“. Odpowiedź było równie krótka: „Czekam na zadatek“.

Pan Tyburcy miał żyłkę szlachecką do myślistwa i namiętnie polował. W wieku dojrzałym żyłka ta wzmogła się jeszcze bardziej. Zadnieprze było wolne od praw wyjątkowych co do Polaków i własności ziemskiej polskiej. Nie było ani tego prześladowania, ani ucisku, jaki ciążył nad Kijowszczyzną, Podolem i Wołyniem. Ale natomiast, z braku innego sąsiedztwa oprócz Moskali, stosunek z nimi stawał się prawie koniecznym. Większość moskiewska — byli to urzędnicy Rusini, którzy, wyrzekłszy się kozackich marzeń, tyle tylko o swojej narodowości pamiętali, że, popiwszy się, od czasu do czasu używali „mowy chochłackiej“, śpiewali na sentymentalną nutę nutę arję z „Natałki — Połtawki“:

Wijut wity, wijut bujni,
Aż derewja hnuťsia*)...

Jadali w domu „borszcz małorosijskij“, „hreczanyki“ **) i „pampuszki“ ***) z czosnkiem. Potomkowie dawnej starszyny kozackiej — pułkowników, setników, pisarzy, asawułów, siedzieli, stuliwszy uszy, na ziemiach, nadanych ojcom ich i dziadom przez hetmanów, dusili chłopów pańszczyzną i wyduszone pieniądze przepijali lub

*) Wieją wiatry, wieją bujne, aż się drzewa gną.

**) Kluski gryczane.

***) Racuszki.

przegrywali w karty na jarmarkach w Perejasławiu, Połtawie lub nawet w lichych Soroczyńcach. Cały poziom towarzyski odpowiadał moralnemu nastrojowi. Zatrzymując swoje mająteczki przez oddawanie ich w dzierżawę moskiewskim „kułakom“ lub żydom, przyjmowali urzędy państwowe. Jedni wędrowali do Królestwa lub na Ruś i tam stawali się gorliwymi obrońcami „carosławija“ i „jedynodzierżawija“, a drudzy na urzędach stanowych, sprawników, sędziów bez znajomości prawa pozostawali w swoich powiatach, pędząc życie próżniacze i bezmyślne.

Takie miał otoczenie Tyburcy Sarykoń Żmijewski.

Pijatyki nie lubił, w karty grać nie umiał, ale chętnie zbierał u siebie parę razy do roku powiatową hołotę urzędniczą, karmił ją i poił po kilka dni, z pogardą poglądając na pijanych dzień i noc „chochłów“, a oni nie mogli nachwalić się gościnności gospodarza.

— Sławnyj *) wy naród Polaki — mawiali po pijanemu — z wami tylko żyć i hulać, ale buntowniki z was szelmy — strast' **).

Przy sposobności jakiegoś jarmarczku w Perejasławiu, pan Tyburcy pojechał do miasta i najprzód zastępcy marszałka powiatowego, który z nudów przyjechał na jarmark, oświadczył, że w browarskich lasach wytropiono całe stado dzików.

— Nic łatwiejszego obławę zrobić. Zjedziemy się u pana.

— Bardzo dobrze, ale ja muszę pierwej kazać je dobrze wysledzić...

— Nu da, nu da... — potakiwał tamten.

— Niech pan okólnikiem obeszle sąsiadów, aby natychmiast przyjeżdżali, jak tylko zawiadomię.

— Z przyjemnością.

*) Doskonały.

**) Aż strach.

Ze swej strony Tyburcy, kogo spotkał z wyższych urzędników, opowiadał o dzikach i polowaniu.

Przygotowywał się do przyjęcia licznych gości i pewnego dnia otrzymał telegram: „Pojutrze przyjadę”.

Na telegram już nie odpowiadał. Lecz we wszystkie strony powiatu rozesłał gońców z zaproszeniem na polowanie na dziki.

W tym czasie przyszło do Anisimowa zawiadomienie, ażeby Atanazego Żywotowskiego, skazanego do ciężkich robót na Sybir, wysłać z pierwszą partją żytomierską. Zawiadomił też o tem Helenę, która raniutko już się stawiała przed bramą więzienia. Gromadka ludzi tłoczyła się, atakując ciągle żołnierza, stojącego na warcie, pytaniem: kiedy wpuszczać będą — i otrzymywała zawsze jednostajną odpowiedź: niewiadomo. Kilka furmanek chłopskich, w małe koniki zaprzężonych, przeznaczonych do transportowania rzeczy skazanych na deportację i niezdolnych do dłuższego chodu więźniów, oczekiwało także opodal bramy. Woźnice w szerokich zasmolonych hajdawerach, wpuszczonych w cholewy, i w koszulach tylko, ale w wysokich baranich czapkach na głowie, obojętnie, oparłszy się o luźne wozów, paląc fajki na krótkich, wygiętych i płaskich cybuszkach, patrzyli na grzywy końskie, gdyż tylko grzywy widać było. Głowy były w workach z owsem i sieczką schowane. Od czasu do czasu słychać było tylko prychanie koni. Za szeroką, okutą żelazem bramą odzywały się jakieś głosy, dolatywały szmery. Domyślić się można było, że się tam poruszała jakaś liczniejsza gromadka ludzi.

Okolo godziny 9-ej boczna furteczka przy bramie otworzyła się i na progu ukazał się w całej swojej urzędowej postaci Anisimow. Był w mundurze z krzyżami i w czapce z orzełkiem państwowym. Minę miał surową, nachmurzoną, jak na naczelnika w urzędowaniu przystało. Dojrzał Helenę i lekko, ale bez uśmiechu, głową ku niej skinął.

Do tak poważnie nastrojonego zbliżył się podoficer.

— Wozy są?

— Są — brzmiała krótka odpowiedź, zupełnie zbyteczna, bo je wszystkie Anisimow miał przed sobą.

Gromadka ludzi ze stanu mieszczańskiego i włościańskiego posunęła się ku niemu machinalnie. Byli to ojcowie, bracia, żony skazanych politycznych i kryminalnych więźniów, którzy z tą partją mieli wędrować na Sybir.

Obejrzawszy wszystko, Anisimow dał rozkaz:

— Wpuszczaj po jednym!

Baby i mężczyźni rzucili się naraz do furtki.

Podoficer odpychał, rozdając kulaki na prawo i na lewo.

— Kuda leziesz*)! — wykrzykiwał. Pchacie się jak świnie do ogrodu.

W głębokiem milczeniu przyjmowano połajanki.

Wcisnęła się [nareszcie i Helena. Każdy niósł jakiś tobolek ze sobą, przygotowany na daleką drogę dla zesłańca.

Był tu dziedziniec dość obszerny, zamknięty w czworobok najprzód dwoma bramami na przestrzał: jedna była zewnętrzna, druga wiodła do dziedzińca więzienia. Po jednej stronie tego czworobocznego dziedzińca był dom mieszkalny dozorczy i kancelarja, a naprzeciwko mur wysoki, stanowiący zewnętrzną ścianę łaźni i pralni więziennej.

Pośrodku tego dziedzińca, otoczona szczelnym kordonem żołnierzy, stała gromadka, około 20 ludzi, wyznaczonych do drogi. Na ziemi leżało przy nich kilka ręcznych pakunków, jakie wolno było każdemu wziąć ze sobą. Więźniowie, zamknięci kołem żołnierzy, stali w ponurem, skupionem milczeniu, poglądając ku zamkniętej bramie.

Gdy zzewnątrz poczęły się wciskać przez furtkę obce osoby, dziedziniec nappełniał się w miarę tego krzykiem,

*) Gdzie leziesz,

lamentem, gwarem rozmowy. Bezpośredniemu stykaniu się przeszkadzał kordon żołnierzy. Przerzucano się tylko krótkimi, urywanymi słowami. Tymczasem służba więzienna i podoficerowie oddziału, przeznaczonego do konwojowania partji, robili rewizję pakunków, przetrząsając je bezlitośnie.

Partja żytomierska była nieliczna. Okazała się potrzeba zatrzymania kilku w szpitalu, jako niezdolnych chwilowo do drogi. Kilku kryminalistów pobrzękiwało kajdanami.

Helena, rozmawiając z Tanasiem, czekała na kolej rewidowania pakunku, przywiezionego ze sobą. Było tam trochę cukru, herbaty, trzy koszule, bo więcej nie wolno było brać ze sobą, i buty.

Na ganku ukazał się Anisimow, trochę sztywny i poważny, i skinął ku niej ręką.

— Pożałujcie*)!

Chciała wziąć pakunek ze sobą, ale Anisimow kazał podoficerowi przynieść do kancelarji.

Weszła strwożona i milcząca. Dozorca powitał ją skinieniem głowy, a do oficera konwoju rzekł:

— Krewny tej pani idzie z partją... co tylko opuścił szpital... niech mu pan pozwoli jechać wozem.

Oficer mruśliwym tonem odrzekł:

— Można...

Po rozpatrzeniu pakunku Tanasia okazało się, że wszystko jest dozwolone.

Gdy wszystkie dokumenty, odnoszące się do więźniów, wręczone zostały oficerowi od konwoju, od tej chwili władza dozorczy przechodziła na oficera. Porządek ekspedycji znany był wszystkim. Gdy się tylko oficer ukazał na ganku, wśród partji ruch się zrobił. Każdy, ujawszy swój pakunek do rąk, czekał na znak do wyjścia. Anisimow, asystujący oficerowi, dał rozkaz otwarcia bramy. Szerokie okute podwoje ze skrzypnięciem otwały się powoli

*) Proszę.

i orszak skazańców poczał się wysuwać w milczeniu. Gdy już wszyscy wyszli, konwój zatrzymał się znowu. Trzeba było pakunki rozmieścić na wozach, które stanęły, wysunawszy się w jedną linię. Partja zbliżyła się do wozów i otoczyła je razem z więźniami. Tanaś usiadł na ostatnim.

Podoficer od konwoju jeszcze raz przeliczył więźniów i na dany znak przez oficera smutny ten pochód ruszył w kierunku miasta. Nagle powstał znowu płacz głośny, z wyciem połączony — było to pożegnanie rozpacz. Kobiety cisnęły się do kordonu żołnierzy, ażeby jeszcze ostatnie słowo na pożegnanie rzucić. Łajane i poszturchiwane kolbami, cisnęły się uporczywie, szlochając i przez łkanie wyrzucając oderwane wyrazy. Tłum ciekawych zwiększał się i jękom kobiet wtórowało pomrukiwanie tłumu. Ten i ów zbliżał się do kordonu i tkał do rąk skazańców chleb, jadło i pieniądze. Przy ostatnim wozie szła Helena, od czasu do czasu rzucając w stronę Tanasia jakiś wyraz francuski.

Gdy się już zbliżali do Padolu, nadjechał oddział kilkunastu kozaków dońskich i rozpędził nahajkami tłum, towarzyszący pochodowi. Jedni cofnęli się, drudzy już nie przystępowali. I tak pochód, broniony podwójnym kordodem, przeszedł przez Padół i wstąpił na drogę, wiodącą wzdłuż Dniepru do wielkiego wiszącego mostu, który łączył się z szosą czernihowską. Przed mostem kozacy cofnęli się i orszak powoli podążył bez przeszkód.

VI.

Polowanie w Starem zapowiadało się świetnie.

Około dwudziestu myśliwych obiecało wziąć udział w polowaniu na dziki. Obława miała się rozpocząć pojutrze, ale już w przeddzień rano amatorowie gościnnego przyjęcia stawili się w Starem na przyjacielską pijatykę.

Późnym wieczorem przyjechał leśniczy pana Tyburcego, kierownik wszystkich polowań. Stary już człowiek, pod pięćdziesiątkę, a może już i więcej, chudy, szczupły, z dużymi siwymi włosami, ale słuszny i prosty jak topola. W całej postaci miał coś żołnierskiego. Nazywał się Grzymała. Chłopi miejscowi nazywali go Hrymajło, może dlatego, że przyłapawszy złodzieja w lesie, nigdy go do sądu nie skarżył, ale wyliczywszy kilkanaście bizunów, wolno puszczał. Za młodu przebył jako sierżant całą kampanję 1831 roku, a potem z korpusem podobno Ramorina przeszedł do Galicji. Tu ukrywał się czas jakiś jako oficjalista prywatny, służąc u hr. Baworowskich i hr. Gołuchowskich, ale po kilkunastu latach, gdy się już wszystko uspokoiło, z paszportem galicyjskim wrócił na Ruś. Zetknął się przypadkowo w czasie kontraktów w Kijowie z Tyburcym, dawnym znajomym, i u niego jako zarządca lasów już od dziesięciu lat pracował. Obaj starzy kawalerowie, żyli się ze sobą.

Przyjechawszy, Grzymała nie poszedł do dworu, ale posłał kozaczka z zawiadomieniem, że jest i czy niema jakich rozkazów.

Pan Tyburcy, wbrew zwyczajowi, wyszedł do Grzymały.

— Jakże tam, mości Grzymała, z jutrzejszem polowaniem?

— Świetnie wszystko... pójdzie jak po maśle.

Mówiąc to, wciągał Tyburcego włąb dziedzińca tak obszernego, że możnaby na nim robić przegląd wojska. Jako resztki ocalałe niegdyś wielkiego lasu, stały pośrodku dziedzińca trzy olbrzymie sosny.

Rozmawiając, kierowali się ku nim.

Grzymała rzucił okiem dokoła — nie było nikogo. Tylko trzy sosny sterczały samotnie, podnosząc wysoko swoje głowy zielone, przy których były umocowane troje barci.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — zauważył Grzymała niby sam do siebie. Drzewa są uczciwsze od ludzi.

— Mochy piją i ryczą, jak woły ciągnięte do szlachtuza — odezwał się Tyburcy. — Jakże tam idzie? — dodał wkońcu.

— Otóż tak będzie — zaczął Grzymała. — Dzikie siedzą od Pawlukowego błota w łożach. Ażeby się stamtąd nie wymknęły, wyciągniemy strzelców między 14-ym a 15-ym słupem wiorstowym na kilkadziesiąt kroków od linii drogi wgłąb lasu tak, ażeby ich z drogi nikt widzieć nie mógł.

— Miejsce bezpieczne? — zapytał Tyburcy.

— Wybrałem najlepsze... Od drogi ciernie i głogi, dalej gęsty jałowiec, a potem sosny i ta droga leśna, która prowadzi objazdem z Browarów do Kijowa, przy piątym słupie przecina gościniec i skręca do przewozu na Dnieprze. Tam będzie czekać moja kałamaszka, w jednego konia z hołobłą zaprzężona. Wózkiem dojedzie do gajówki o pół wiorsty od przewozu i zostawi go przy gajówce. Na wózku znajdzie szynel i czapkę oficerską...

Wszystkie te informacje wyglądały trochę tajemniczo, ale znać pan Tyburcy rozumiał, o co chodzi, bo słuchając nie oponował, tylko pomrukiwał nieznacznie.

— Pamiętaj, żeby skóra nasza była cała!

Grzymała, zamiast się troszczyć o całość tej skóry, rzekł z pewnem żartobliwem zacięciem:

— Ja ich tak wy kieruję!

Plan mam taki: sam stanę na szpicy ku 16-ej wiorście i koło siebie rozmieszczę gajowych, którym każę strzelać na dany znak — jeden po drugim, tak żeby to robiło wrażenie regularnych salw wojskowych. Mam kilka żywych zajęcy, które mój wychowanek przywiezie i puszczać będzie jednego po drugim przed linią strzelców. Jutro przed wyruszeniem na stanowiska powiem, gdzie są dziki i że ku nim powoli zbliżać się będziemy. Że osacznicy nie ruszą ich z miejsca, dopóki strzałów nie usłyszą. Dlatego zaś, ażeby się wcześniej nie wymknęły, gdyby

się trafił jaki zajęc — niech strzelają. Oni o prawach myśliwskich mają takie pojęcie, jak pies o muzyce. Wytlumaczę im, że w ten sposób dziki, słysząc strzały, nie pójdą na nie i będą siedzieć w łozach cicho, aż ich obławia na nas napędzi.

— Ej, Grzymała! Żeby Mochy tobie teraz nie „nahrymały”!

— Mędrszy Pan Bóg, niż pan Rymsza — odpowiedział na to Grzymała spokojnie.

Po tej uwadze pożegnali się serdecznie i rozeszli.

— Śniadanie o ósmej — odezwał się, odwracając się, Grzymała — na stanowisku musimy być pół do dziewiątej.

Nic już na to pan Tyburcy nie odpowiedział i wszedł do domu, skąd przez otwarte drzwi słyhać było wrzawę, hałas i śpiewy, zmieszane w jakiś chaos dźwięków. W kawalerskim domu Tyburcego goście zachowywali się ze swobodą właściwą ich towarzystwu.

Długo w noc trwała pijatyka i ulubiona przez Moskali „stukalka”, aż dopiero gospodarz musiał im przypomnieć, że jutro polowanie — trzeba się przespać.

Nazajutrz, ledwie słońce wzeszło, trąbka myśliwska zagrała przed oknami pobudkę. Trzech najlepszych trębaczy wysłał do dworu Grzymała.

Z hałasem i wrzawą cały orszak myśliwski, usadowiwszy się na wózkach, wyjechał do lasu. Grzymała wszystkich jak w zegarku rozstawił i sam zajął wyznaczone sobie stanowisko.

W tym samym czasie pochód skazańców zbliżał się do słupa w czarno-białe pasy malowanego, na którego kwadratowej głowicy widać było cyfrę 15. Przodem na wozie jechał oficer od konwoju z podoficerem, a wzdłuż szerokiej drogi, z obu stron najeżonej sosnowym borem, włókł się, w piasku grzęznąc, powoli orszak więźniów otoczony żołnierzami i kilka powózek z rzeczami. Na ostatniej siedział Tanaś, ubrany w szary chałat z żółtą łatką na plecach.

Nie dojeżdżając jeszcze do 15-ej wiorsty, zeskoczył z powózki i szedł przy żołnierzu piechotą.

— Nogi mię bołą od siedzenia w kucki — zauważył.

Nie usłyszał na to żadnej odpowiedzi.

Ledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy rozległ się strzał po lesie. Za nim drugi, trzeci, dziesiąty...

Oficer zeskoczył z telegi i zakomenderował: stać! Popłoch ogarnął wszystkich — żołnierzy i więźniów. W gromadce ruch się zrobił. Orszak się zatrzymał.

Znowu zagrzmiała komenda: stanąć frontem do tej części lasu, skąd dały się słyszeć wystrzały.

W chwili tego zamieszania Tanaś trącił żołnierza i, podstawivszy mu zręcznie nogę, na ziemię powalił. O dwa kroki od niego rosły krzaki ciernia i jałowca; wskoczył w nie tak szybko, że ledwie to spostrzeżono. Tymczasem po przeciwnej stronie grzmiały wystrzały. Oficer kazał także wystrzelić w kierunku lasu. Powoli kano-nada zmniejszała się — aż wszystko umilkło.

Podoficer zameldował, że jeden „polityczny“ uciekł.

— Nu, i sława Bogu, że tylko jeden... Tu musiała być cała szajka polska — zauważył.

— Jednego zdaje się rąnili nasi.

— Może być...

— Widziałem, jak upadł.

— Niech tam i zdycha, gdzie upadł — rzekł z gniewem.

Po tych słowach dał rozkaz do dalszego marszu. Nie siadł już do powózki, tylko szedł piechotą i mruczał do podoficera:

— Na pierwszym postoju trzeba będzie napisać raport i zdać sprawę „naczalstwu“.

Tanaś, wydobywszy się z krzaków, które doskonałe go zakrywały, pomiędzy sosny przemykał się wgłąb lasu, niepewny, czy umknąć zdoła, czy napotka tę powózkę, w jednego konia zaprzęzoną w hołobłę, o której mówiła mu Helena.

Pomiędzy sosnami dostrzegł linię drogi. Otucha wstała mu do serca. Jeszcze kilkanaście kroków — droga. Wita się jak wąż, oplatając olbrzymie pnie sosnowe. Na załomie daleko dostrzegł konia. Skierował się w tę stronę z uczuciem pewnej radości. Zbliżał się przyspieszonym krokiem. Przy powózce stał spokojnie jakiś młodzieniec.

Tanaś wpadł prawie na niego.

— Piotruś? — zapytał.

— Piotruś...

Sięgnął do kałamaszki i wyciągnął płaszcz oficerski.

— Wdziękuje pan...

Pomógł mu zrzucić chałat i wetknął go w krzaki.

— W kieszeni czapka...

Wsiedli obaj i pojechali truchtem drożyną leśną w kierunku przeciwnym odzywającej się kanonadzie.

Po godzinnej może jeździe błysnęła przed nimi srebrząca się do słońca smuga Dniepru, a równocześnie prawie między drzewami zarysowały się kontury leśniczówki. Tuż przed wrotami jej Piotruś zatrzymał konia.

— Stąd już pójdziemy piechotą — zauważył — przewóz niedaleko.

Podprowadził konia do płotu i umocował lejce, zarzucawszy je na kół sterczący.

— Teraz widzi pan...

Ręką przed siebie skinął.

— Pan niech idzie tą drożyną bliską, ja pójdę dalszą. Zejdziemy się u przewożu. Pan przyjdzie pierwszy... ja będę śledził z daleka. Jeśli przewoźnika nie będzie, na ścianie jego budki wisi trąba — proszę zatrzeć; jeśli będzie — proszę powiedzieć, żeby przewiózł pana na drugą stronę, do Rżyszczewa, ale z wsiadaniem nie śpieszyć się, aż ja przyjdę.

Dochodząc do Dniepru, Tanaś widział z daleka łódź, przywiązaną do słupa; na ławeczce przy budce siedział barczysty muzyk i lulkę obojętnie kurzył.

Ujrawszy zbliżającego się oficera, podniósł się z ławeczki, lulkę do kieszeni schował i zdjawszy pokornie czapkę, czekał na przybycie.

Tanaś, zbliżywszy się, rzucił okiem dokoła i odrazu dostrzegł, że Piotrusia nie było.

— Odpocznę trochę — rzekł — rozglądając się bacznie, nie tyle szukając miejsca, gdzieby mógł usiąść, ile badając okolicę. Cisza była głucha. Od lasu szły balsamiczne wonie drzew iglastych, ogrzanych słońcem, a u podnóża prawie pluskały powolnie i równomiernie fale Dniepru, łagodnie rozsypując się w pianę na złocistym piasku pobraża. Daleko na drugiej stronie Dniepru białły chaty włościańskie na wyniosłych brzegach i błyszcząły krzyże cerkwi.

Przewóz prowadził od bocznej drogi Perejesławskiej do Monastyrka i łączył Perejesławski brzeg z Rżyszczewem.

Po dłuższej chwili czekania nadszedł Piotruś.

Przywitał pokornie Tanasia, uczciwszy w ten sposób jego orla na czapce oficerskiej, i zwrócił się wprost do przewoźnika.

— Pojedziemy, diad'ku... odwiążujecie czółno.

Zamiast odpowiedzieć Piotrusiowi, przewoźnik zapytał:

— A wasze błagorodije także do Monastyrka?

— Nu da*) — posłyszał w odpowiedzi.

Piotruś i Tanaś udawali, że się nie znają.

Płynęli w milczeniu. Słyszać było tylko plusk wiosła, dotykającego wody, i jęgliwe głosy czajek, krążących nad Dnieprem.

Gdy się już do brzegu zbliżali, przewoźnik zauważył, niby sam do siebie:

— Dzisiaj dobra woda...

Miało to oznaczać, że Dniepr był spokojny, a przewóz łatwy.

*) No, tak.

Gdy już na brzeg wysiedli, każdy zapłacił przewoźnikowi po 10 kopiejek i ruszyli w dwie przeciwne strony. Piotruś poszedł brzegiem, Tanaś na górę.

Ledwie wyszedł na drogę, wiodącą już do Monastyrka, gdy na zakrętach, daleko jeszcze ode wsi, zdawało mu się, że ujrzał parę razy bryczkę, jakby wynurzającą się z kłosów żytnich.

Według porozumienia się z ciotką, Tanaś miał się z nią spotkać pod Monastyrkiem. Pan Tyburcy, znając dokładnie miejscowość, tak dobrze czas obliczył, że oznaczył Helenie godzinę przybycia Tanaśia. Helena miała go spotkać w pół drogi i zająć się dalszą podróżą.

Istotnie, owa bryczka, w którą Tanaś wpatrywał się tak pilnie, była jego zbawieniem. W przebraniu oficera bez broni mógł nie zwracać na siebie uwagi czas jakiś, dopóki się z wojskowymi nie zetknie. Ale niebezpieczeństwo stawało się coraz większe. Oficer bez broni, wędrujący piechotą, już sam prawie rzucał się w oczy każdemu.

Bryczka zbliżała się do niego. Już słychać było turkot kół, głucho rozlegający się wśród zielonych pól.

Zatrzymała się wreszcie. Serce uderzyło mu radośnie i mocno: poznał Helenę.

Woźnica był jednym z oficjalistów pobliskiego majątku, przebranym dla niepoznania.

Śród stepu byli sami. Nad nimi wisiało tylko szafirowe niebo, ciche, spokojne, dokoła zieleń dojrzewającego żyta, z oddali dolatywał szmer fal dniewprowych, niby ginące echa muzyki, a delikatna woń żywicy mieszała się z zapachem kwitnącego żyta.

Po krótkim przywitaniu Helena odezwała się:

— Musisz przedewszystkiem zrzucić szynel... Jest tu ubranie.

Woźnica wyciągnął płaszcz i czapkę cywilną. Wojskową czapkę wsunął do kieszeni szynela, a szynel pod koziół wepchnął.

— Wracajmy — rzekł trochę niespokojnym głosem. — Chwała Bogu, żeśmy nikogo nie spotkali.

Bryczka potoczyła się w kierunku Rżyszczewa.

Gdy Tanasiowi udało się tak szczęśliwie umknąć, na dworze w Starem był rwetes nielada, nie z powodu bynajmniej ucieczki więźnia, ale z innego przypadku: oto pokazało się, że w mięso na siedzeniu był ranny sam marszałek szlachty.

Zamieszanie było nielada, i to z powodu zwykłego nieporozumienia. W chwili, gdy partja zesłańców zbliżała się do słupa wiorstowego № 15, w lesie rozpoczęła się formalna kanonada do zajęcy, zanim się miano zabrać do obławy na dziki. Wystrzały zaalarmowały oficera konwojowego, który, będąc pewnym, że jest to zasadzka bandy powstańców, zatrzymał partję i kazał dać kilka salw w kierunku dolatujących doń wystrzałów. Skutkiem tego pad ofiarą biedny i niewinny marszałek.

Wkrótce potem oficer, przekonawszy się, że atak powstańców ustał, wyruszył w dalszą drogę, a na placu boju pozostał dygnitarz, leżący na ziemi i jęczący z bólu. Zbiegli się do niego strzelcy, zjawił się także zaniepokojony pan Tyburcy i otoczyli rannego biedaka.

Leżał w kałuży krwi.

Narazie nie można było nawet zmiarkować, gdzie rzeczywiście otrzymał postrzał. Rozebrano go — i pokazało się, że ręce, piersi, podbrzusze nie tknięte. Zrzucano obuwie — pełne krwi. Dalsze rozbieranie przekonało obecnych, że rana była nie tyle niebezpieczna, ile zupełnie nie rycerska: kula przeszła na wylot obie połowy siedzenia — i znikła w lesie.

Wobec tak nieuniknionego wypadku, polowanie na dziki spelzło na niczem. Rannemu zrobiono naprędce opatrunek z własnej jego koszuli i, położywszy na powózkę grzbietem do góry, przewieziono do dworu.

Powrót z polowania mniej był wesoły, niż wyjazd. Różne były domysły, skądby nieszczęście, które spotkało marszałka, przyjść mogło.

Jeden tylko Grzymała wiedział, ale milczał.

Posłano natychmiast po doktora do Perejasławia. Po oglądnięciu rany uspokoił zarówno rannego jak i otoczenie.

— Od takiej rany nikt nie umiera wprawdzie — rzekł na pocieszenie — ale jest ona nieprzyjemna: będziesz pan musiał leżeć w niewygodnej pozycji jaki tydzień.

— Kiedyż będę mógł wrócić do domu?

— Choćby dziś nawet... niebezpieczeństwa niema żadnego...

Nie nadawano temu wypadkowi żadnego znaczenia, gdy pewnego wieczora przyjechał do Starego „sprawnik” perejesławski, Iwan Iwanowicz Wierowkin, potomek w prostej linii hetmana siewierskiego Mnohohresznego. Jak on rozumiał to pokrewieństwo „w prostej linii” — to było jego tajemnicą, ale szczycił się ogromnie rycerską swoją rodowitością i powtarzał często wiekopomne słowa, wyrzeczone przez Mnohohresznego w wojowniczym nastroju przeciwko Polsce, którą obiecywał solennie całą podbić „pod carską rękę”: „Wiedzą oni, że był Aleksander Macedoński — mawiał, upiwszy się — teraz dowiedzą się, że jest Mnohohreszny”.

Mimo to Polski nie podbił.

— Wyobraźcie sobie, Tiwerij Aleksandrowiczu — mówił przestraszonym głosem — jutro zjeżdża do nas bataljon piechoty i sotnia kozaków na oblławę...

Pan Tyburcy wpatrzył się w niego zdziwiony, nie mogąc domyślić się, co by to mogło znaczyć.

— Jakto na oblławę? Może znowu na dziki? — zapytał nie bez ironji.

Wierowkin rzucił się jak oparzony.

— Da, nu ich z temi dzikami! Od nich to właśnie i cały kłopot! Zaraz zrozumiecie, o co tu chodzi.

I począł opowiadać.

— Siedzimy sobie spokojnie i gramy w stukatkę z Ho-
holem, gdy — tarach! — sztafeta! Patrzę — od generał-gu-
bernatora. Bardzo nie lubię depesz, bo to zawsze z tego
jakiś kłopot...

Począł odsapywać.

— Cóż się stało? — dopytywał się pan Tyburcy nie
bez zdziwienia.

— A ot co: — rzekł z miną tajemniczą Wierowkin —
w lasach naszych byli buntowscyzyki, a my nic o tem nie
wiedzieli... Byli... Ktoby się spodziewał, żeby aż tutaj mo-
gli sformować bandę, a byli — jej Bogu! Przed trzema dnia-
mi, proszę sobie wyobrazić, kiedy partja skazanych prze-
chodziła browarskim traktem, nagle napadli na nią Polacy,
odbili jednego skazanego do katorgi. Nasi strzelali do nich
i jednego zabili...

— Skądże wy o tem wiecie?

— A ot skąd!

Wyjął z kieszeni kopertę urzędową i pokazał ją
zdaleka.

— Od samego generał-gubernatora...

Schował kopertę i mówił dalej:

— Oficer, który prowadził konwój, raportował „po
naczalstwu“, naczalstwo do generał-gubernatora, a generał-
gubernator do kogoż? Do mnie, do naczelnika powiatu...

Westchnął głęboko.

— Prawdziwe nieszczęście! Latam jak szalony, rozsy-
łam na wszystkie strony stanowych, byłem w gminie, py-
tałem chłopów, nikt o powstańcach nic nie wie.

— Bo ich z pewnością nie było — wtrącił pan Tyburcy.

— Jakto nie było? Sam generał-gubernator pisze, że
byli, a wy powiadacie, nie było — zakończył z oburze-
niem. Jakże nie było, kiedy strzelali do konwoju, a nasi
jednego powstańca zabili. To fakty.

— A coż się z zabitym stało?

— Ze sobą pewnie zabrali.

Pan Tyburcy, wysłuchawszy spokojnie, rzekł obojętnie:

— To sztuka!]

Wierowkin oburzył się:

— Wam sztuka, a mnie nieszczęście. Jutro przychodzi bataljon... Dońców... Bardzo proszę tużać się z nimi!

Pan Tyburcy uspokajał:

— Poszukają, przekonają się, że nikogo nie było, i wrócą.

— Nie tak to łatwo pójdzie. Proszę się potem tłumaczyć, jeździć, kłaniać się, gadać... Powiedzą zaraz: nie porządku.

Nazajutrz rzeczywiście pojawiło się wojsko, obstępiono lasy, przeszukano je dokładnie — ani śladu powstańców.

Koło 15-ej wiorsty nagle alarm się zrobił. Stłoczyła się kupka żołnierzy, nadjechał dowódca i otoczyli jakiś punkt, przypatrując się pilnie.

Dowódca uderzył po ramieniu najbliższego stojącego podoficera.

— Nu, Fiedorow, co ty myślisz?

— Podobne do krwi, wasze błahorodje.

— A wy co myślicie? — zwrócił się do żołnierzy.

— Podobne do krwi, wasze błahorodje! gruchnęli chórem.

Były to rzeczywiście zaschłe i poczerniałe plamy krwi po wypadku z marszałkiem.

Dowódca zawyrokował:

— Jeśli to krew, to znaczy, że tu była bitwa i tu leżał zabity buntowszczyk.

Zwołano gajowych dla wypytania się.

— Jakże to może być, żeby wy o niczem nie wiedzieli? Byli buntowszczyki, strzelali się z naszymi, a wy nic?

— Przed trzema dniami było polowanie, ale bitwy nie było.

— Ja wam dam polowanie! W Sybir „skoty“ pójdziecie! Kto polował?

Wyliczono kilkanaście osób — samych dostojników powiatowych.

Dowódca zamyślił się.

— Cóż dalej?

— Strzelali do zajęcy i postrzelili „predwoditiela”.

— Gdzież to było?

— Tu właśnie... na tem miejscu...

Dowódca sponsował ze złości.

— Czemuż nie gadacie tego odrazu? Kto urządzał polowanie?

— Pomieszczuk*) ze Starego.

Po tej indagacji dowódca wraz z oficerami i sprawnikiem odjechali do dworu.

Przekonano się, że był rzeczywiście jeden ranny, ale „bandy” nikt nie widział.

O ucieczce więźnia nie było mowy, ponieważ była to sprawa oficera od konwoju.

VII.

Do Rżyszczewa Helena już przyjechała z planem gotowym co do dalszego losu Tanasia. Wyboru nie było: albo wracać na Sybir, albo uciekać zagranicę. Najbliższą ziemią obcą była Galicja. Na szczęście, Żywotowscy mieli wuja pod Poryckiem, właściciela dużego folwarku niedaleko Zarubiniec i Żdżarek. Dzieckiem będąc, Tanaś często u niego po kilka dni przesiadywał. Wuj wiedział o wszystkim, co się stało: o śmierci Marka, o uwięzieniu Tanasia. Nie wiedział tylko o projekcie ucieczki. Był tedy niepomału zdziwiony, gdy pewnego dnia otrzymał krótką depeszę: „Tanaś przyjedzie”. Myślał, że może udało się Helenie wykupić go z niewoli.

Z Rżyszczewa była stała komunikacja na Kijów i Berdyczów tak zwaną budą żydowską — bałagułą. Żydzi utrzymywali tę komunikację dla swoich interesów handlowych. Inni podróżni, jeżeli nie posiadali własnych pojazdów, korzystali z poczty, czyli jeździli tak zwaną „perekładną”,

*) Obywatel ziemski.

to jest zmieniając konie na każdej stacji pocztowej. Żydzi jeździli „buda“, czyli bryką. Trzeba przyznać, że taka komunikacja była najbezpieczniejszą i najmniej przez rząd kontrolowaną, gdyż żydzi uważani byli za obywateli lojalnych. W podróży mieli swoje zajazdy, swoją pocztę, swoich agentów.

Do Berdyczowa Helena towarzyszyła Tanasiowi, od Berdyczowa wróciła do Kijowa, a Tanaś na Zaslów, Równe, Klewań, Łuck podążył do Porycka. W Porycku kończyła się linja komunikacyjna żydowska. Tu zabierano kontrabandę, przemycaną z Galicji, i wracano do Berdyczowa.

Do Żdżarek musiał najać furkę chłopską i pod wieczór dojechał do Zarubiniec.

Nie dojeżdżając do dworu, spostrzegł zdaleka wracającego z pola konno wuja. Jechał stępą i lustrował pola. Słońce co tylko zaszło. Był chłodek, a zapach zbóż nappełniał powietrze. Tanaś zatrzymał woźnicę, kazał mu czekać, a sam poszedł na spotkanie wuja. Nie chciał mieć świadka powitania.

Wuj Ignacy powitał go bez zdziwienia.

— Wiedziałem, że przyjedziesz — rzekł, zsiadając z konia i składając na głowie Tanasia pocałunek. Ciotka depeszowała.

— Ale wuj nie wie wszystkiego.

Zdziwiła ta uwaga starego.

— Wykręciłeś się z biedy?

— Niezupełnie.

Opowiedział pokrótce swoją ucieczkę.

— Że uciekłeś, to dobrze — zauważył wuj — ale czy uciekniesz drugi raz?

Pytanie było trochę tajemnicze.

— Drugi raz już uciekać nie będę.

— Ale i tu siedzieć nie możesz.

— Jużci...

— Krótkie słowo, ale niełatwo go w czyn zamienić.

Przerwał temat rozmowy.

— Odeszłijże swego furmana stąd odrazu z powrotem, a piechotą wrócimy do dworu i pogadamy.

Gdy Tanaś odprawił furmana, wuj wrócił do tematu.

— Dwa, trzy tygodnie będziesz mógł przechować się u mnie... powiem ekonomowi, że cię jako dozorcę przyjąłem do pilnowania kosowicy.

Zamyślił się chwilę.

— Musisz się ulokować u ekonoma. Trzeba odegrać komedję, to dobrze rozumiesz; bo i ty zginać możesz, i mnie narazisz wobec rządu, a można tego uniknąć. Ryzykowaliśmy, gdy było coś do zyskania; teraz wszystko djabli wzięli, a niewiadomo, kto i kiedy lepszych czasów doczeka.

Obok wuja szedł Tanaś, niosąc w ręku niewielki pakunek podróżny, w brudną płócienną szmatę zawinięty.

Wujaszek mówił dalej:

— Zastosujesz się do rozkazów ekonoma.

Zbliżali się do dworu.

Dwa charty wybiegły z dziedzińca i łaszcząc się skakały koło panów.

Do dworu wszedł pan Ignacy sam, Tanasiowi kazał zatrzymać się przed gankiem.

Przez otwarte okna słyhać było donośny głos gospodarza, nawołujący kogoś po imieniu. Z akcentu głosu znać było, że do służby się zwraca.

Za chwilę wybiegł z ganku kozaczek kredensowy, rzucił okiem na stojącego przy ganku Tanasia w postaci pokornej i wyczekującej i spytał go trochę opryskliwie:

— A ty czego chcesz?

— Do pana mam interes.

— To nie tutaj... tutaj pan nie przyjmuje... do kancelarji...

Zniecierpliwiony tą indagacją Tanaś odpowiedział także opryskliwie:

— To nie twoja rzecz... pan kazał mi tu czekać.

Kozaczek obrzucił okiem ubranie Tanasia, trochę pobrudzone i niedbałe, spojrzał na zawiniątko, leżące na ziemi, i rzekł z lokajską fanfaronadą pogardliwie:

— O, jakie państwo! „Daj za szah (grosz) medul!“

Obrócił się na pięcie i pobiegł do budynku opodal przy którym kręciła się kupka chłopów bez czapek, oczekując widocznie na kolej zawołania do kancelarii.

Po chwili wyszedł stamtąd w towarzystwie kogoś, z którym poufale rozmawiał. Był to ekonom imię pan Harap. Nomen—omen. Chłop słuszny, barczysty, wąsaty, o twarzy ogorzalej, prawie czarnej. Miał na głowie kaszkiek z daszkiem, niegdyś szafirowy, a teraz zrudziały od słońca i słoty. Świtka, do figury skrojona, szczelnie przystawała do ciała. a podpasana rzemiennym paskiem, nabijanym w niewielkie mosiężne guzy, jeszcze bardziej nadawała wyrazistości całej postaci imci pana Harapa. Jakby dla uzupełnienia swego nazwiska, miał wetkniętą w cholewę od buta nahajkę z rzemienia, w drobne paski plecioną, a zakończoną płaskim, grubym, w wydłużoną elipsą ujętym jednolitym rzemieniem.

Przechodząc koło Tanasia, zatrzymał się.

— Do pana? — zapytał.

— Do pana.

— Po służbie?

— Jak Bóg pomoże — odrzekł pokornie Tanaś.

Pan Ignacy widocznie ujrzał przez okno idącego Harapa, bo na spotkanie jego na ganek wyszedł i od razu do rzeczy przystąpił.

— Spotkałem na drodze przypadkiem tego kawalera... służby szuka. Jak myślisz, mości Harap, czyby ci się pomocnik nie przydał do kosowicy?

— Przydać toby się przydał, bo to teraz chłop, proszę jaśnie pana, bez dozoru nic nie robi, tylko spogląda na słońce, czy daleko do wieczora.

Zwrócił się do Tanasia:

— A ty już służyłeś gdzie?

— Nie.

Harap zmierzył go od stóp do głowy badawczo i z taką miną zwrócił się do pana Ignacego, jakby chciał powiedzieć:

— Jak pan chce, tak proszę zrobić.

W rzeczy zaś samej panu Harapowi nie na rękę był ten nowy towarzysz, kontroler niejako jego czynności, ale nie mógł oponować, aby podejrzenia na siebie nie zwrócić.

Pan Ignacy przerwał tę scenę mimiczną.

— Niech zostanie — rzekł w tonie stanowczym. Obaczmy, co wart; jeśli się będzie spisywać dobrze, może i na zimę zostanie. Umieścisz go u siebie... Obiad będzie jadał razem z tobą, z kuchni dworskiej.

Wprost do Tanasia się zwrócił:

— Ruszajże asindziej z panem Harapem, a robotę to ci on sam wyznaczy.

Tanaś, zbliżywszy się do wuja, w rękę go pocałował, a pan Ignacy rękę na jego głowie położył i rzekł dobrotniwie:

— Bądź zdrow, chłopcze... a sprawuj się dobrze.

Kosowica jeszcze się nie rozpoczęła. W oczekiwaniu przeto tej chwili Tanaś wspólnie z imć panem Harapem objeżdżał folwark, zapoznawał się z jego różnemi częściami i jako niby nowicjusz, przypatrywał się rozmaitym robotom.

Dzdarzało się nieraz, że w polu spotykał się z wujem, a wówczas śmiało całował go w rękę. Harap nie mało dziwił się takiej poufałości i podejrzewał Tanasia o przypochlebianie się dziedzicowi; z tego powodu krzywem okiem patrzył na młodego praktykanta, tembardziej że dziedzic zawsze sam na sam z Tanasiem rozmawiał.

Wróciwszy do domu, Harap podejrzliwie pytał Tanasia:

— A cóż to waść tak dziedzica po rękach wycałowujesz?

— Stary człowiek.

A na to pan Harap:

— Czemuż chłopów po rękach nie całujesz, choć tak-
że starzy?

Tanaś na to:

— Bo u chłopą nie służę.

Stropiła ta odpowiedź Harapa, a poniekąd zadrasnęła jego dumę ekonomiczną.

— Widzę, że waść słowa w kieszeni nie szukasz... ale... łatwiej gadać, niż robić. Myślisz, że sobie łaskę wycałujesz u pana? Tyle będziesz miał, co i ja... Dwadzieścia lat ekonomuję — i czegom się dosłużył? Wam młodym zdaje się, że gospodarstwo to raj. Można sobie cały dzień na koniku brykać... Poczekaj — obrzydnie to tobie! Służ panu wiernie, a pan ci za to w nos dmuchnie... jak mu się nie podobasz — bądź zdrow, holenderski śledziu!

Tanaś słuchał tych rekryminacyj spokojnie. Nie chciał się wdawać w żadne dyskusje z Harapem, który, wyprychawszy się jak koń, wrócił do równowagi. Zmiarkował, że może za wiele powiedział, a Tanasiowi niebardzo ufał, widząc jego poufałość do pewnego stopnia z dziedzicem.

— Nasz pan na szczęście nie taki, jak inni.

Wreszcie i kosowica zbliżała się.

Harap przy wieczerzy zwrócił się do Tanasia:

— Wiesz pan, gdzie leży łąka pod Wysokim Garbem?

— Wiem.

— Otóż jutro czut' świt pójdziesz ją waćpan obejrzeć, bo mam podejrzenie, że chłopci spasają... a niezadługo i kosić trzeba.

Tanaś wstał do świtu jeszcze i skierował się do lasku za dworem, przez który wiodła w pole ścieżka.

Wszedł do lasku i kroczył powoli z pewnem zadowoleniem. Świeży poranny oddech lasu sprawiał mu rozkosz, której nie umiałby nazwać. Czuł, że cała jego istota jest równie świeża, jak ten poranek, że ma w sobie siłę, jak te drzewa, które go otaczały, jędrność, jak młode pedv

drzewne, zdobne zielonym liściem, poranną rosą jeszcze pokrytym. Gałązki ugięły się ledwie dostrzeżenie pod naciskiem powietrza, a krople rosy drgały na liściach i błyszczały różnobarwnym blaskiem djamentów. Mimo- woli z ust jego wyrwał się wyraz: „życie“ — tak cicho, jak cichy był poranek. Tak, to życie. Uczuł nagle pewną radość, że żyje, że w tem wielkiem życiu całej natury bierze udział. Idąc, potrzącał ręką gałązki, które się ku niemu nachylały, i patrzył, jak krople rosy, przed chwilą igrające barwami tęczy, spadały na ziemię jako szare, małe kulki wody i w brudzie kurzu niły. Znowu mu się nasunął wyraz: „życie“. Tyle w niem piękna, tyle tajemnic, tyle tajemnic, tyle złudzeń... życie...

Drożyna kręto schylała się do jaru.

Rzucił okiem wgląd jaru.

— Lipa... studnia pod lipą.

Zbliżył się do niej. Zacerpnął wody drewnianym czerpaczką przy studni leżącym. Pijał ją nieraz — a nigdy nie wydała mu się taką smaczną. Pomyślał sobie o legendowej ambrozji bogów greckich — uśmiechnął się. Może z tego źródła Herkejos pijał... Pewnie przy takich studniach gromadziły się nimfy, driady — może nasze rusalki...

Drożyna wiodła pod górę. Poszedł. Jeszcze chwilka — i las się skończył. Szeroka smuga zieleni między z jednej strony dotykała lasu, z drugiej równego i daleko ciągnącego się łąnu pszenicy, która dopiero w kłosy poczęła się wybijać. Pod lasem, w cieniu chroniły się puszyste owsiki, roztrzepane mietlice, w pękach rosnące niestrawy, tuż przy ścieżce przydrożnik, tuląc ku ziemi swoje brudno-zielone listki, lub strzelała w górę złocistą tarczą lancetowatą babka. Po drugiej stronie ścieżki, ku ścianie pszenicy opierał się bujny perz, wysmukła brzanka, a ponad niemi do słońca, ku górze, jak strzały, wysuwały się oblepione złocistym kwiatem dziewanny, spoglądając z wysoka na różowe kwiaty smółki.

Od ładu pszennego szedł zapach jakiejś mocy i siły który się unosił w powietrzu i szeptał tajemniczy wyraz życia.

Tanaś czuł to życie w sobie. Błogie, nieuchwytne zadowolenie ogarnęło całe jego jestestwo. Zdjął czapkę, jakby pragnął ochłodzić rozpaloną głowę, i tak szedł wąską ścieżką między lasem a ładem pszennym, wdychając świeże wonie poranku.

Robiło się coraz jaśniej, jaśniej. Na blado-szafirowem tle nieba ukazywały się różowe obłoczki, zwiastuny słońca. Drożyna poczęła pochylać się i w perspektywie ukazała się dolina, która w miarę pochylania się ścieżki rozszerzała się, a na zakręcie niby się zamykała wyniosłym pagórkiem. Krzaki kwitnącej kaliny, leszczyny, dzikiej róży, w przyjaznem sąsiedztwie rosnące, pokrywały całą płaszczyznę pagórka, stojącego niby na straży łąki, wypełniającej całą dolinę.

Zatrzymał się na drożynie i z uczuciem pełnem spokojnej rozkoszy zapatrzył się i zasłuchał. Z lasu dolatywały do niego ćwierkania i szczebioty ptaków, a przed sobą miał żywy kobierzec kwiatów, niby różnobarwne centki, rozrzucone na zielonem tle łąki. Dokoła siebie czuł wonny oddech drzew, łąki, pszenicy. Żyje to wszystko — pomyślał — i na usta wysuwał mu się bezwiednie wyraz „życie”. Widział je dokoła, czuł w sobie i wdzięczność bezgraniczną miał dla ciotki Heleny, że go z niewoli moskiewskiej wyrwała.

Nagle słuch natężył, pochylił głowę ku pagórkowi, za którym srebrzyła się powierzchnia stawku, schowanego między łąkami i wzgórzami, otaczającemi dolinę.

Śpiew dolatywał do niego.

Hyl-la, hyl-la, biły husy,
Hyl-la za Dunaj...

Głos młody, świeży jak poranek, z za pagórka leciał ku niemu. W swojej prostocie wydał mu się śpiewem

niewidzialnej rusałki, wabiącej go w sidła swoje. Między trawą łąki a łąnem pszennym dostrzegł zarośniętą prawie drożynę, wiodącą właśnie w tym kierunku, skąd śpiew dolatywał.

Ledwie parę kroków stąpił, gdy za sobą usłyszał szmer. Obejrzał się — i na tej samej ścieżce, którą szedł niedawno, ujrzał jadącego na koniu wolnym krokiem Harapę, który chrypliwym trochę głosem odezwał się:

— A pan jeszcze tutaj?

Wszystkie wrażenia, napelnione wonią życia, które przed chwilą wdychał w siebie, znikły jak sen. Zdawało się, że na te kwiaty, które jeszcze igrały w oczach jego różnemi barwami, ktoś nagle wrzącej wody nalał, że świegot ptaków zagłuszyło wycie wilka.

Drgnął, usłyszawszy głos Harapę.

— Pan na koniu, a ja piechotą — rzekł usprawiedliwiając się.

— Gapisz się waćpan na wszystkie strony...

Tanaś zacisnął zęby i zamilkł. Zapanował nad sobą, ażeby z roli nie wystąpić.

Szli przez chwilkę w mi'czeniu koło siebie, wreszcie Harapę odezwał się:

— Wracajże pan na tok... tam robotnicy zbierają się... ja sam łąkę obejrzę.

Okazało się, że jeszcze kilka dni z kośbą wstrzymać się można.

Przy wieczery pan Harapę odezwał się:

— Na stawku, do którego przytyka łąka, pastuszka pasie dworskie gęsi... i naturalnie gęsi trawę tłoczą... Pójdiesz pan jutro rano, ale zająć trzeba od folwarku, bo jak pan pójdiesz koło pszenicy, to ujrzy pana i spędzi gęsi.

Niebardzo podobala się Tanasiowi ta rola posługacza ekonomskiego, ale musiał być posłuszny woli wuja. Po-szedł tedy nad owo jezioro drugą stroną, od toku, jak mówił Harapę. W perspektywie, na prawo widział ten łą-

sek, przez który przechodził niedawno, i wielki łąn pszenicy, falujący niby jakieś jezioro łagodne, które do słońca mieniło się barwami jasnego i ciemnego szmaragdu, a nad płaszczyzną jeziora, poruszając się lekko, ślizgały się złociste promienie słońca. Wreszcie zazieleniała łąka, a dalej zabłyszczała naprawdę tafla jeziora. Na zalamach drogi spostrzegł występ, ostro spadający do łąki, który zdaleka onegdaj oglądał. Podążył ku niemu, aby jednym spojrzeniem obejrzeć całe jezioro.

Blado-szafirowa, prawie srebrzysta płaszczyzna jego ujęta była w ramy zielonych oczeretów. Śród wąskich, długich, ostro zakończonych liści strzelały w górę bezlistne łodygi, ubrane w szyszki kwietne, niby podłużne czapki brunatne, zawieszane na ich szczycie. Za lasem oczeretów, u ich podnóża leżały na wodzie szerokie, koliste liście lilij wodnych, a ze środka wychylały się już rozpękłe kielichy kwiatów blado-zielonych spodem, białych pośrodku, a lekko zaróżowionych w górze. Na środku jeziorka pływało stado gęsi, co chwila zanurzając w wodzie swoje różowe dzioby.

Nad wodą, strojną w zielone obramienie oczeretów, ożywioną gęganiem gęsi, unosiła się lekka mgła, ledwie dostrzegalna, niby biała, delikatna tkanina, rozwieszona także i nad łąką kwitnącą.

Tanaś, przekonawszy się, że wszystkie gęsi skupione były na jeziorze, stał długą chwilę i z pewną radością przyglądał się krajobrazowi, który niedawno oglądał z innej strony. Cisza otaczała go zewsząd pełna łagodnego ukołysania, że stał, zasłuchany w tę ciszę, zamyślony nad tą falą życia natury, które przed nim płynęło, i zdawało mu się, że to życie wciąga w siebie, że je w sobie czuje, że je wchłania w siebie z uczuciem spokojnego zadowolenia.

Pełen świeżych wrażeń, już chciał nawrócić do domu, gdy spostrzegł, że przy stadzie gęsi, o których mówił Ha-

rap, nie było pasterki. Przecież gęsiarka musiała je przypędzić i odpędzić musi.

Począł się rozglądać w pobliżu jeziora.

Tuż u stóp wzgórza, na którym stał, dostrzegł dwoje rąk, podniesionych do góry, które odbywały różne ruchy — raz powolne, drugi raz gwałtownymi rzutami naprzód i w tył rzucające się, jakby goniły coś, co przed nimi uciekało. Wpatrując się pilniej w ten punkt, ujrzał tam jakąś postać leżącą, ale tak wysokimi trawami kwitnącej łąki otoczoną, że ją ledwie można było dojrzeć.

Tanaś postanowił zejść z pagórka cicho i przypatrzeć się temu zjawisku.

Powolutku, przesuwając się między krzaki leszczyny i dzikiej róży, zeszedł niepostrzeżony aż na kraj łąki gdzie leżała w trawie zwrócona do jeziora gęsiarka.

Zatrzymał się przy samym brzegu łąki i patrzył. W trawie schowana, leżała nawznak dziewczyna. Na głowie, zwyczajem wiejskich dziewczuch, miała wianek z bławatków, które, rozruciwszy wdzięcznie swoje listki szafirowe, plątały się z nitkami jasno-żłocistych włosów. Biała koszula, w czerwone „połyki” (mereżki, naszycia) na rękawach i na przodzie zdobna, łączyła się przy pasie z jasno-czerwoną zapaską, tak że sama dziewczyna, w trawie leżąca, jak kwiat wyglądała.

Długą chwilę niemo przyglądał się Tanaś jej ruchom, których powód dopiero zbliśka odgadnął. Nad leżącą dziewczyną wirowała gromada świtezianek. Ich cienkie, jak pajęczyna, jasno-szafirowe skrzydełka migały przed oczyma dziewczyny w promieniach słońca, a dziewczyna łapała je w powietrzu.

Z uśmiechem zadowolenia przypatrywał się tej zabawie, której świadkami było słońce, niebo i kwiaty. Przyszły mu na myśl słowa Hrabiego z „Pana Tadeusza”:

Pocóż się ludzić? myślał, zgadując po czasie.

Moja nimfa tajemnicza pono gęsi pasie.

Dziewczyna posłyszała szelest za sobą. Nagle ręce jej opadły i zerwała się na równe nogi. Stała oko w oko naprzeciwko Tanasia. Oboje byli zdziwieni: ona nagłym pojawieniem się nieznajomego mężczyzny, on — piękną dziewczyną. Ubrana w białą, w mieniącą się czerwona wstążką koszulę, w zapaskę czerwoną, przetykaną czarnymi nitkami, wyglądała jak kwiat polny, bogaty w barwy. Jasne jej oczy, blada nieco, ale piękna twarz wyrażały zdziwienie i przestraszenie.

— Oj! — zawołała — myślałam, że to ekonom.

Tanaś stał uśmiechnięty, dziewczyna stropiona.

— Co ty tutaj robisz? — zapytał, aby coś przecie powiedzieć.

— Alboż panicz nie widzą? Bawię się.

Odpowiedź brzmiała spokojnie i naiwnie.

Spojrzała na niego jasnymi jak błękit oczyma.

— A panicz co tu robi? — spytała, jakby w odpowiedzi na zapytanie Tanasia.

— Przychodzę zobaczyć, czy gęsi szkody nie robią.

— O, ja pilnuję przecież.

Spojrzała na niego ciekawie.

— A panicz ze dworu?

— Dlaczego pytasz?

— Bo widzę, że nie tutejszy.

Patrzyli na siebie milcząc chwilę.

— Jakże ty się nazywasz? — zagadnął Tanaś.

— Ja? Handzia. A panicz jak?

— Tanaś.

— To tak, jak mój brat.

— Masz brata?

— Mam, owce pasie.

Handzia podniosła oczy na słońce, potem na jezioro spojrzała.

— Ot i południe. Tak prędko przyszło! Trzeba gęsi do domu pędzić... zanim dopędzę — i słońce stanie na połowie nieba.

Nie mówiąc nic więcej, pochwyciła leżący przy niej pret łożyny, odwróciła się i wprost do jeziora pobiegła. Weszła do wody prawie po kolana i gęsi spędzać poczęła, wołając swoje:

— Hyl-la! Hyl-la!

Tanaś stał trochę zdziwiony, trochę oczarowany tą sielanką, w jakiej mimowolnie brał udział, i po chwili nawrócił do folwarku. Szedł brzegiem łąki aż do wylotu doliny.

Za nim niewidzialny szedł cień Handzi. Czuł ją przy sobie i myślał, o ile jest piękniejszym czyste i niepokalane piękno natury wobec tego wszystkiego, co ludzie nazywają sztuką. Błyszczały obok niego jasne oczęta Handzi, a cała postać jej, jak rozkwitły pąk maku, nakrapiany w różne barwy, zdawało się szła obok niego.

Już niedaleko folwarku spotkał się z wujem.

— Dobrze, żeśmy się zetknęli — zauważył wuj.

Pomilczał chwilę.

— Za kilka dni muszę cię wysłać do Galicji. Zaczynają się tu kręcić Mochy... mogliby ciebie przyłapać.

Tanaś nic nie odpowiadał, ale doznał przykrego uczucia, jak gdyby go kto ze snu obudził nagle.

Wuj mówił dalej:

— Powiesz Harapowi, że ci się tutaj nie podoba... żeś słyszał, że w Galicji lepiej płacą, niż u nas, i chciałbyś się tam dostać. On miewa stosunki z przemysłnikami... coś mu obiecasz, a on ci z pewnością ułatwi przedostanie się na tamtą stronę.

Po chwili dodał:

— Tylko ostrożnie... nie wygadaj się... ze swojej roli nie wychodź, bo Harap to szczywany lis... jak się połapie, co co chodzi, to będzie się obawiać.

Tanaś postąpił w myśl życzenia wuja.

Gdy wieczorem zasiedli do jedzenia, udawał zamyślonego. Harap spostrzegł to.

— Jakaż to mucha ukąsiła dziś waści, żeś nie w humorze?

— Zwykła mucha, panie rządcu, a nazywa się bieda. Harapowi podobał się tytuł rządcy, więc trochę łagodniej odezwał się:

— Jeszcześ za młody, panie bracie, aby ci się bieda za kołnierz naląła. Czego ci tu braknie? Jak się będziesz dobrze sprawować, możesz zostać pisarzem prowentowym, a później ekonomem. Chleb nasz jest ciężki, ale prawdę powiedziawszy, nie jest gorzki.

— Jabym miał ochotę na leśniczego.

— Jeżeli tak, to się tutaj niczego nie dosłużyysz, bo u naszego dziedzica lasów mało.

— Nie tyle świata, co w oknie — zauważył Tanaś.

— Otoś mądrze powiedział. Jak za młodu nie będziesz szukać, to na starość nic nie znajdziesz.

Rozmowa, raz wprowadzona na ten temat, już się nie przerwała.

Ostrożny Harap, który rad był pozbyć się młodego współzawodnika, podbechtywał go.

— Upatrz sobie co, a wtenczas podziękujesz. Pełnej misy nie porzucaj, dopóki nie wiesz, co w drugiej znajdziesz.

— Święta prawda... ale kto nie szuka, ten nie znajdzie. Tanaś westchnął.

— Powiadają, że pod Austriakiem są także Polacy... że tam się lepiej ludziom powodzi, niż u nas... Ot, gdyby się tam dostać!

Harapowi mignęła myśl — czyby się nie dobrze było pozbyć konkurenta. Zanadto on przypochlebia się dziedzicowi i wycławowuje po rękach... w łaski się wkrada.

— Dostać się nie trudno... są tacy ludzie, którzy co noc chodzą za granicę i wracają... znają wszystkie ścieżki lepiej, niż zające; ale trzeba im grubo płacić za to, że droge pokażą.

Tanaś udał wielką radość z powodu tej wiadomości. Schylił się i za kolana ścisnął Harapa.

— O, mój dobrodzieju! Gdybyś pan mnie takiego człowieka nastreczył... Co mam się tu poniewierać! Młody jestem... mogę szukać chleba wszędzie. A ileżby takiemu przewodnikowi zapłacić trzeba?

— Pewnie ze sto rubli, a może i więcej.

Tanaś znowu Harapa za kolana ścisnął.

— Pan Bóg mnie chyba pana posłał... Właśnie mam sto rubli... Matka moja miała chałupę w Machnówce, wyprowadzając mnie w świat, sprzedała ją, a na drogę pocztowe matczysko sto rubli mi dało.

Harap pomyślał chwilę.

— Nie masz potrzeby się śpieszyć — rzekł — chleb nie kole... dziedzic cię nie pędzi... poczekaj, a ja z ludźmi pogadam... może się taki znajdzie, co za sto rubli przewiezie na drugą stronę.

Minęło kilka dni. Dziedzic zagadnął raz Harapa:

— A jakże się tam twój praktykant zachowuje?

— Niczego chłopiec... pilny... ale zdaje się, że to wiatrogon.

— Skądże wnosisz?

— Rozmawiałem z nim... powiada, że chciałby praktykować w leśnictwie.

— U nas niema tyle lasów — wtrącił dziedzic.

— Mówiłem mu. Ale on gdzieś zasłyszał, że w Galicji, za granicą są duże lasy, i chciałby się tam dostać.

Pan Ignacy wąsy pogładził.

— Hm... — mruknął. — To mi się nie podoba... Możeby lepiej pozbyć się?

— I mnie się zdaje, że z niego pan dziedzic nie będzie miał pociechy... to jakieś chuchro wątłe, blade, wymizerowane... przy gospodarstwie trzeba zdrowia...

— Masz słuszość... jeżeli tylko chce iść, nie zatrzymuj go... wolnomu wola, spasiennomu raj *).

— Niech sobie idzie z Panem Bogiem — zakończył nie bez zadowolenia Harap.

Wrócił do swego mieszkania zupełnie zadowolony z polityki, jaką względem Tanasia prowadził. Tymczasem sprawy wszczętej nie zasypiał i potajemnie porozumiewał się ze swoim przyjacielem Hryńkiem Łazegą, który z Galicji przemyczał różne towary i na wspólny zysk z Harapem sprzedawał żydom. Czasem też Harap przemycane towary przechowywał u siebie, a niekiedy i Hryńkowi nastęczał zarobek — dzieląc się z nim zyskiem po połowie.

Raz późnym bardzo wieczorem Harap poprosił do swego mieszkania Tanasia. Temu odrazu rzucił się w oczy stół, zastawiony jadłem. Pośrodku stała kwadratowa flaszką z wódką, a obok niej leżał chleb, ser i kiełbasa. Flaszka już była trochę nadpita, a na talerzach okruszyny sera i skórka od kiełbasy świadczyły, że poczęstunek już się odbywał. Za stołem siedział chłopisko przysadkowaty, barczysty, o dużej czarnej brodzie i małych sroczych oczach, bystrych, ruchliwych, niespokojnych. Nie powstał na powitanie Tanasia, ani nawet głową nie kiwnął. Harap nie przedstawił ani Tanasia, ani gościa.

Do wchodzącego rzekł protekcyjnie:

— Siadaj waść... pogadamy.

Gość milczał, ale badawczego spojrzenia z Tanasia nie spuszczał.

Głos zabrał Harap, nie zwracając się do żadnej strony:

— W naszym zawodzie człowiek musi różnie chleba szukać... Pan — głową skinął na Tanasia — chciałby przeprawić się do Galicji, aby tam szukać kondycji...

Na gościa spojrzał.

— Jak myślicie, czy to możliwe?

*) Wolnemu wola, zbawionemu raj.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Rubel wszystkie zamki otwiera — rzekł, niby sam do siebie.

Harap się wtrącił.

— Młody człowiek chudзина... na dorobku... płacić niema czem... więcej jak jedną katarynkę (sto rubli z portretem Katarzyny) daćby nie mógł.

— Jak nie można więcej, to nie można — uzupełni gość.

— A jakże myślicie: kiedy najlepiej?

— Najlepiej z soboty na niedzielę... żydzi się jeszcze modlą, a objezdzyki piją — dodał z uśmiechem.

Harap wpadł w ton proszący:

— Zróbcie to już dla mnie, aby temu biedakowi dopomóc... może się wam kiedy odwdzięczy...

Gość dał wymijającą odpowiedź:

— Obaczymy... w sobotę rano dam wam znać... a pieniądze ten panek niech u was zostawi.

Jednokonny wózek stał za bramą; gość wsiadł i wśród ciemnej nocy odjechał.

Tanaś domyślił się, że był to właśnie Hryńko Łazęga.

Do soboty było jeszcze daleko, gdyż rozmowa w obecności nieznajomego odbywała się w poniedziałek.

Nazajutrz Harap był jakiś serdeczniejszy dla Tanasia. Ciągłe chwalił galicyjskie gospodarstwo, jakby zachęcał do przejścia granicy.

Po długich pochwałach i zachętach zakończył:

— Ale pieniądze, panie bracie, musisz naprzód zapłacić... bo bez pieniędzy nikt palcem nie kiwnie, a nie myśl sobie, że przeprowić się na drugą stronę granicy to jak z bicia trzasnąć... Granicy i Moskale, i Austrjacy pilnują... trzeba chyłkiem... ostrożnie...

— Za to też się płaci... — wtrącił Tanaś.

— Mądrze mówisz, chociaż młody jesteś... Kto smaruje, ten jedzie...

Tanaś wiedział, że bez porozumienia się w wujem nie mógłby się na ten krok zdecydować. Chcąc jednak upozorować to zetknięcie się, zauważył:

— Będę musiał pożegnać dziedzica... za chleb i sól podziękować...

— Na to czasu będzie dosyć.

— Wolałbym do dziedzica nie chodzić do pałacu, ale tak przy sposobności zetknąć się z nim i powiedzieć, że odchodzę.

— To przecież nie trudno... do soboty daleko... Uważaj, gdzie pójdziesz, dogonisz go niby niechcący i powiesz, co masz powiedzieć — rzekł Harap i uśmiechnął się chytrze. — Dla obu was będzie to mała radość, krótki żal.

Tanaś rad był nawet z tej rady, która mu się zresztą i sama nasuwała, bo wolał z wujem rozmawiać na wolnem powietrzu, niż uważać, czy za ścianą kto nie podsłuchuje.

Chwila zetknięcia się z wujem nadarzyła się rychło śród szczerego pola. Opowiedział, jak rzeczy stały, kiedy wyruszy i ile trzeba zapłacić przewodnikowi.

Wuj na zakończenie rozmowy rzekł mu:

— Przyjdźże do mnie w piątek... Harapowi powiesz, że kazałem ci przyjść po świadectwo. Jeśli przeprawisz się szczęśliwie do Galicji, proszę cię, abyś do mnie nie pisał przynajmniej przez pół roku... niech hałas co do twojej ucieczki ucichnie trochę... przez ciotkę będę wiedział o wszystkim. Na pocztę listy czytają. Mogę mieć nieprzyjemności bez potrzeby i pożytku. Jeśli cię przyłapią, powiedz, że nazywasz się, dajmy na to, Jan Grzegórczyk... i w Galicji to piękne nazwisko możesz zachować... Powiedz, że stamtąd pochodzisz, że chciałeś szukać chleba z naszej strony, że byłeś krótki czas u mnie, że ci się nie podobało i chciałeś wrócić... Tak i wilk będzie syty i koza cała...

VIII.

W piątek wieczorem Tanaś otrzymał bardzo krótkie świadectwo: Jan Grzegórczyk (przez taki a taki czas) był u mnie praktykantem przy gospodarstwie, a dla wynalezienia sobie odpowiedniejszego zajęcia opuścił dobrowolnie to zajęcie.

Do świadectwa dołączył mu na drogę trzysta rubli, z których sto miał zapłacić przewodnikowi, a dwieście na życie, dopóki się nie porozumie z ciotką Heleną.

Tanaś o pieniądzach nic nie powiedział, świadectwo pokazał. Harap, przeczytawszy je, głową pokiwał:

— Ostrożne — zauważył. Z takim świadectwem daleko nie zajedziesz... lepiej nie pokazywać... bo coś warte świadectwo, kiedyś na miejscu ledwie kilka tygodni przesiedział.

Tanaś spędził noc prawie bezseną. Z jednej strony niebezpieczeństwo i niepewność losu, z drugiej żal z powodu opuszczenia najbliższej rodziny i smutna dola tułaczów, bez ojczyzny, o której nieraz nasłuchiwał się i naczytał dowoli, spędzały mu sen z powiek. Dzień sobotni miał już wolny — bez służby, wstał przeto nieco później i poszedł do studni w jarze przy lipie. Znowu na znaną sobie drożynę wstąpił. Ale jakże się wszystko przedstawiało inaczej! Szmaragdowa zieleń pszennego łąnu straciła swoją pierwotną barwę, a na jej miejsce jasno-żółcisty kolor pokrywał łąn cały, jak daleko oko sięgnąć mogło.

Zeszedł w dolinę ku łące. Zamiast różnobarwnego kobierca, z którego woń ożywcza ulatywała w powietrze, leżały grube pokosy ściętej trawy — smutne pobojoywisko, gdzie w walce o życie człowieka padały miliony innego życia, którego człowiek nie rozumiał i nie umiał ocenić. Zamiast tej woni, która tak niedawno jeszcze odurzała go rozkosznie i kołysała marzeniami, czuć było zapach skoszonej trawy — zapach śmierci.

Przez pokosy poszedł na drugą stronę doliny i podążył ku temu pagórkowi, skąd oglądał zaczarowane jezioro.

Ujrzał stado gęsi na środku pływające i mimowoli szukał okiem Handzi. Tak wówczas podobna była do kwiatów, wśród których widział ją leżącą i łowiącą w powietrzu modroskrzydłe świtezianki.

Schodzić już począł ku dolinie, gdy nagle posłyszał za sobą głos, dzwoniący jak dzwonek srebrny:

— Dzień dobry, paniczu!

Odwrócił się — Handzia.

Dziwna jakaś ogarnęła go radość.

— Jak się masz, dziewczyno! — zawołał z takim serdecznym zacięciem, jak gdyby witał kolegę.

Wyciągnął ku niej rękę i chciał ją pogłaskać bez najmniejszego złego zamiaru, z takim uczuciem, z jakim zbliża się do oczu piękny kwiat, ażeby mu się przypatrzyć i wonią jego nasycić.

Handzia wyciągniętą ku niej rękę odchyliła na stronę milcząco, spoglądając rozpromieniona, uśmiechnięta na Tanasia.

— Skądżeś się tu wzięła? — zapytał zdziwiony, cofając rękę.

Patrząc śmiejącemi się oczami, odpowiedziała:

— A ja panicza widziałam...

Jakby na potwierdzenie słów swoich, dodała:

— Panicz szedł od krynicy... potem stanął i patrzył... potem zeszedł na łąkę pokoszoną... potem na górę — aż tutaj...

— Jakże to mogło być, żem ciebie nie widział?

Oczęta jej turkusowe błysnęły.

— Alboż mnie panicz chciał widzieć?

Na te słowa drgnęło mu serce.

— Chciałem... chciałem cię pożegnać...

Nagle rumieniec zniknął z twarzy dziewczyny.

— Nie chce panicz służyć u nowego pana?

— Nie mogę... muszę jechać... daleko...

— Bardzo daleko?

— O, bardzo...

Zamyślił się i rzekł powolnie:

— Bardzo... bardzo... sam nie wiem, gdzie...

Słowa te mieszały i zdziwiły dziewczynę. Uśmiech zniknął z jej rozjaśnionej i delikatnej twarzyczki. Czy jej żal było tego panicza, którego przypadkowo spotkała i przypadkowo pożegnać musi? Czemże on jest dla niej — panicz — dla tej gęsiarki, wychowanej w kurnej chacie na nędzy chłopskiej, a jednak podobnej do kwiatu polnego, który nad dziką miedzę wystrzelił najpiękniejszymi barwami i wonią.

Głos jej nabrał miękkości i dobroci.

— Ale panicz wróci — prawda?

— O, nie, moje dziecko...

Małe serduszko pod mereżoną koszulą biło jej mocno — ale czego? Nie umiała znaleźć na to odpowiedzi. Może to była rodząca się miłość wśród pól i łąk zielonych, taka sama czysta i jasna, jak zwierciadło jeziora, tak przetkana świeżymi uczuciami, jak łąka kwiatami, i tak zniszczona, jak trawa, która co tylko położyła się pod uderzeniem kosy.

Łzy nabiegły jej do oczu. Dostrzegł je Tanaś.

— Żal ci będzie za mną?

Patrzyła na niego błyszczącymi oczyma.

— Żal... — szepnęła. A po chwilce dodała:

— Albo ja wiem, dlaczego?...

Zajęci rozmową, nie dostrzegli, że z tyłu nadjechał cicho Harap i do Hanusi groźnie się zwrócił:

— A gęsi gdzie? Czemu nie pędzisz do domu? Nie widzisz, gdzie słońce — co?

Już sięgnął ręką po nahaj, który w cholewie nieodłącznie mu towarzyszył, gdy dziewczyna jak przepiórka z pod nóg mu się porwała i do jeziora popędziła.

Tanaś patrzył milcząco za uciekającą Hanusią, a Harap, jakby nic nie zaszło, do stojącego w podziwieniu Tanasia odezwał się:

— Miałem wiadomość... Dziś przed wieczorem przyjedzie tu furka i odwiezie pana do tego... przewodnika.

Tanaś nie słuchał tego, co Harap mówił. Serce jego przepełnione było uczuciem żalu, niepokoju, smutku i oburzenia na Harapę, dla którego nahajka była ultima ratio.

A Harap trzepał swoje:

— Po obiedzie niech już pan nie wychodzi z domu, bo lada chwila może nadjechać — ten... on na czekanie nie ma czasu.

Harap wracał do folwarku. Tanaś szedł przy koniu Harapę i słuchał, ledwie rozumiejąc, co ten do niego mówił.

Nagle zatrzymał się. Od jeziora doleciał do niego znany dobrze śpiew:

Hyl-la, hyl-a, bily husy,
Hyl-la, hyl-la za Dunaj...

ale zdało mu się, że nie śpiew, lecz płacz słyszy. Głos jęczał jak struna zerwana.

Tanaś drgnął, stanął i mimowoli zwrócił się w tę stronę, skąd głos dolatywał. Ogarnęła go żałość i gorycz nie dająca się opisać.

Harap, widząc, że się Tanaś nagle zatrzymał, zapytał:

— Co się stało?

— Nic... Ktoś płacze...

Harap spojrzał na niego zdziwiony.

— Co panu Pan Bóg dał?... to ta warjatka Handzia zawodzi... Śpieszmy się... obiad czeka...

Tanaś miał chwilę wahania. Chciał się oderwać od tego byka w postaci ludzkiej, który w śpiewie nie umiał znaleźć różnicy między płaczem a porykiem wołu, tęskniącego do pełnego żłobu. Ale poco? Niech sobie rośnie ta dziewanna polna i złoci się do słońca...

Głos Handzi dolatywał coraz słabiej, słabiej — i skończył w dolinie, rozbiwszy się o pokosy trawy...

Pod wieczór, około godziny piątej, zjawił się u Harapa jakiś chłop — nie Hryńko — i oświadczył, że jedzie do Żdżarek, że ktoś ma także jechać.

Tym kłosem był Tanaś.

Z 300 rubli, które otrzymał od wuja, sto odłożył dla Harapa, a do 200 nie przyznając się, schował je do bocznej kieszeni surduta. Osobno ciotka Helena zaszyła mu parę setek w wewnętrznej stronie kamizelki — na wszelki przypadek, jak mówiła.

Wręczył sto rubli Harapowi dla Hryńka i ze wstrętem podał rękę na pożegnanie „szczwanemu lisowi“ — jak wuj nazywał Harapę.

Jechali, a raczej wlekli się, jednym konikiem powoli piaszczystą, ciężką drogą.

Tanaś jechał smutny i zamyślony. Miał nad czym myśleć. Z jednej strony dziwne uczucie, wywołane zetknięciem się z Handzią, wybiło go zupełnie z równowagi, z drugiej — niepewność podróży ku zakrytej przed nim przyszłości nasuwała mu smutne myśli.

Woźnica należał widocznie do tej samej partji przemysłników, do której potajemnie zaliczał się i Harap. Nie bardzo wierzył temu, co mówił Harap i Hryńko, że Tanaś za służbą jedzie do Galicji. Wiedział dobrze, że tam jeżdżą po towary i po gorzałkę, ale nie za chlebem, którego i w domu nikomu nie brakło. Tej materji nie dotyczył zatem. Ale ciekaw był sprawy pieniężnej.

Jechali rzadkimi laskami sosnowemi wśród piasków. Woźnica daremnie pokrzykiwał na konia i groził mu batogiem; chuda szkapa, wyciągnawszy szyję, z trudnością postępowała. Wieczór zapadał.

— Już niedaleko... — pomrukiwał niby do konia, niby do siebie woźnica.

Przemysliwał, jakby nawiązać rozmowę z podróżnym, który zgoła nie okazywał do tego skłonności.

— A ile też zapłacili pan Harapowi? — spytał nagle.

— Według umowy... sto rubli.

Chłop głową pokiwał.

— Małeńko... — rzekł. — Nie wiem, jak to będzie, bo Harap dla Hryńka dał tylko pięćdziesiąt rubli.

Tanaś trochę zniecierpliwiony odrzekł:

— To nie moja rzecz... Ile się umówiłem, tyle zapłaciłem.

Widocznie woźnicę obchodziła też zapłata, bo trochę buńczucznie odpowiedział:

— Tak, ale pan godzili się z Harapem, a nie z Hryńkiem.

Nie podobała się ta odpowiedź Tanasiowi. Gdyby ją był usłyszał w domu, byłby nie jechał. Teraz za późno.

Noc już prawie zapadła.

Wózek wjechał na jakąś leśną wąską drożynę i po pewnym czasie zatrzymał się przed chałupą, zupełnie samotnie stojącą w lesie.

Przed progiem koń stanął.

— To tu — rzekł woźnica i zeskoczył z wózka.

Na progu ukazała się ta sama postać, którą już był oglądał przy traktamencie u Harapa. Profil jego, ledwie dostrzegalny wśród ciemności nocy, mignął czarną brodą i maleńkimi złodziejskimi oczkami.

Na powitanie postępywał:

— W sam czas przyjechaliście... Za dwie godziny będziemy mogli wyruszyć... Chodźcie do izby...

Tanaś, schyliwszy się w niskich drzwiach, wszedł za gospodarzem do ciemnej sieni. Hryńko — był to on właśnie — namacawszy pociemku klamkę, drzwi do izby otworzył. Przy kominie, w otwór, zrobiony w kapie nad przypieckiem, wetknięta drzazga sosnowa paliła się czerwonym, kopącym płomieniem i słabo oświetlała izbę.

Hryńko miał swoją ofiarę w ręku. Teraz już nie potrzebował bawić się w tajemnicę. Po krótkim wstępie oświadczył:

— Pan Harap przysłał mi tylko pięćdziesiąt rubli, a zgoda była na sto.

— Umówiliśmy się, że Harap otrzyma całe sto rubli.. to też mu zapłaciłem...

— Tak, pan Harap otrzymał sto, ale mnie przysłał tylko pięćdziesiąt, to znaczy, że należy mi się jeszcze pięćdziesiąt.

Było to powiedziane tonem stanowczym i ostrym.

Tanaś próbował opierać się.

— Nie mogę przecież drugi raz płacić.

— To niech pan od Harapa odbierze resztę.

— Trudno zaraz wrócić.

Hryńko zrobił minę niby niewyraźną, ale bardzo wymowną.

— Jeżeli tak, to już dzisiaj chyba nie pójdziemy... może być późno... Poczekamy do drugiej soboty, aż się zobaczę z Harapem.

Rozmowa przybrała charakter kłótni, której zakończenie mogło być dla Tanasia bardzo niepożądane. Nie trudno było domyślić się, że ze strony Hryńka jest to zwykle wymuszanie, oszukaństwo, korzystanie z sytuacji drażliwej. Wiedział on dobrze, że to przeprawa do Galicji nie za chlebem.

Tanaś rozumiał niebezpieczeństwo, które trzeba było zażegnać.

— Nie będziemy się kłócić — rzekł niby zgodliwym tonem. Może Pan Bóg da, że mi się to wróci, gdy znajdę dobrą posadę.

Hryńkowi widocznie na rękę była ta zgoda, bo się udobruchał i twarz mu się rozchmurzyła.

— Napisze pan z zagranicy do pana Harapa, on panu zwróci te pięćdziesiąt rubli... to porządny i rzetelny człowiek.

Na punkcie rzetelności Harapa już sobie Tanaś nieosobliwe wyobrażenie wyrobił, ale się wdawać w żadne

dyskusje nie chciał. Sięgnął tedy do kieszeni, wydobył pieniądze i odliczył Hryńkowi pięćdziesiąt rubli.

Humor przemytnika poprawił się znacznie. Oczka mu migwały i błyszczały, gdy patrzył na paczkę pieniędzy, z której Tanaś odliczał ruble.

Jeszcze jej nie schował do kieszeni, gdy woźnica odezwał się:

— Niechże już pan i mnie odrazu zapłacą!

Tanaś zmiarkował, że wpadł w pułapkę, ale niepodobna było wycofać się. Z miny tych ludzi miarkował, że nic do stracenia nie mają.

— A ileż wam? — spytał, przybierając minę zadowoloną.

Woźnica odrzekł z chytrą pokorą:

— Co łaska.

— Dwa ruble wystarczy?

Wiedział, że według cen miejscowych jest to za wiele, ale pragnął raz już z tymi ludźmi skończyć.

Woźnica skrzywił się.

— Jak pan dadzą „sina bumażkę“ (pięć rubli), to nie będzie chyba za wiele... Konisko się namęczyło.

Tanaś bez protestu wsunął mu do garści pieniądze.

Zdało mu się, że już wszystko skończone. Zrozumiał, że wpadł w ręce opryszków, i pragnął się z nich wyrwać co rychlej.

— Teraz już możemy iść.

— Zawczasie... tak za godzinę wyruszymy... będzie ciemniej... łatwiejsza będzie przeprawa przez rzekę.

Przez Bug mieli się przepawić na drugą stronę.

— Tymczasem trzeba coś zjeść, bo to się człowiek namorduje w drodze.

Nie czekając odpowiedzi Tanasia, huknął wprost do drzwi:

— Babo, a przynieś nam chleba i słoniny!

Sam do alkierza poszedł i przyniósł stamtąd flaszkę wódki.

— Dobra okowita — rzekł, stawiając ją na stole — z tamtej strony... musiałem tylko do naszej flaszki przebrać, bo te huncwoty objezdzczyki zaglądają często do naszej chałupy.

Zjawiała się i baba z kudłatą i rozstrzępioną głową, tak że kosmyki włosów siwych ze wszystkich stron sterczały. Koszula brudna, czarna prawie, zapaska na niej niechlujnie bokiem zawiązana, twarz pomarszczona, żółta.

Weszła, nie spojrzawszy na nikogo, i milcząco położyła na stole bochen chleba, sól, kawał słoniny.

Jak weszła milcząc, tak wyszła.

Hryńko nalał kieliszek i przepił z grzeczności do Tanaś, Tanaś do woźnicy. Gospodarz i woźnica, odkroiwszy po kawałku słoniny i posypawszy go solą, jedli z apetytem, przekrapiając kolejnymi kieliszkami gorzałki.

Tanaś jadł chleb tylko. Nie mógł się zdecydować na słoninę, chociaż był głodny.

Wyruszyli nareszcie w drogę we trójkę.

Tanaś nie miał najmniejszego pojęcia o tem, gdzie idzie. Szli w milczeniu, jarkami, dolinkami. Wiedział tylko, że zniżają się lub podnoszą do góry. Dobrą godziną była tego chodu. Nareszcie zatrzymali się w zaroślach.

— Trzeba łódkę wyciągnąć — zauważył Hryńko.

Powiedziawszy to, odeszli na stronę. Tanaś został sam. Mignęła mu myśl, że może go opuścili i umknęli. Stał bezradny długą chwilę.

Nareszcie szmer usłyszał. Natężył wzrok i w ciemności nocy pochmurnej i czarnej ujrzał niby dwa cienie, posuwające się ku niemu powoli. To Hryńko z woźnicą ciągnęli łódkę, za dziób sznurem ją zaczepiwszy.

Przesunęli się koło niego.

— Chodźmy! — szepnął Hryńko.

Tanaś miał wrażenie, że schodzą z góry.

Widział przed sobą czarną płaszczyznę — to Bug. Łódkę wciągnęli w oczerety i wszyscy trzej wśród zarośli wodnych znikli, brodząc po kolana w wodzie.

Wszystko to odbywało się w największej cichości.

Odплыnęli wreszcie, ledwie dotykając wiosłami wody. Łódka wypakowana była beczułkami, z których uderzały wyziewy alkoholu.

Tanaś siedział na czole łódki.

Nagle łódź zatrzymała się, i w tej samej chwili Tanasia z tyłu czyjeś ręce za gardło chwyciły, a druga para uczepliła się jego ramion, tak że nagle uczuł się prawie skrępowany zupełnie.

Jakaś ręka sięgnęła mu do kieszeni.

Zrozumiał, że go chcą obrabować.

Ale położenie było o wiele gorsze.

— Przywiąż mu kamień do pasa... ręce związać... — słyszał szept za sobą.

Cały ohydny plan przemytników stanął mu przed oczyma: pragnęli go obrabować i wrzucić do wody.

Szarpnął się całą siłą młodości i jedną rękę zdołał wydobyć, zarazem usiłując oderwać rękę opryszka od swego gardła. Czuł jednak, że słabnie, powietrza, tchu mu brakło...

W tej chwili rozległ się strzał i głuchem echem przeleciał ponad wodą, Hryńko, który go trzymał za gardło, pochylił się całym ciężarem swego ciała, instynktownie podniósł ręce do góry, zachwiał się i stoczył się z łodzi do wody. Łódź przewróciła się. Tanaś znalazł się w wodzie. Na szczęście pływać umiał, a że lekko był ubrany i brzeg był niedaleko, skierował się ku lądowi.

Kilka minut szamotania się i poczuł pod nogami ziemię — błoto grząskie, przerosłe wodnemi roślinami. Co chwila nogi plątały mu się w niewidzialnych łodygach, które jak węże ścisnęły go prawie po kolana.

Dopłynął wreszcie do oczeretów i obiema rękami uczeplił się ich łodyg.

Zmęczony, ociekający wodą, stanął наконец, poczuwszy twardą ziemię pod nogami, i całą pierśią oddychać począł.

Stał jakiś czas nieruchomo. Jeszcze echo wystrzału grało mu w uszach.

Zdał sobie sprawę z tego, co było, i mimowoli wyrwał mu się z ust krzyk oburzenia:

— Łotry!

IX.

Długą chwilę stał tak nieruchomo pośród oczeretów. Woda ociekała z niego powoli. Czapki na głowie nie było. Sięgnął do kieszeni, w której miał resztę pieniędzy schowanych — pusto. Albo wypadły — pomyślał — albo któryś z tych łotrów wyciągnął. Na szczęście miał jeszcze trochę zaszytych przez ciotkę w kamizelce.

Powoli począł wydobywać się z oczeretów. Wiedział, że już jest na drugiej stronie. To mu sprawiło ulgę, ale równocześnie nasunęła się myśl: co dalej?

Wybrnął nareszcie z zielonych kleszczy roślin wodnych. Przed sobą miał niby drogę, wysadzaną wierzbami. Znalazłszy się tam, machinalnie nawrócił na lewo — przeciwko wodzie.

— Tędy bliżej pewnie będzie do Sokala — pomyślał.

Była już może północ, do rana daleko. Usiadł przeto pod wierzbą i miał zamiar doczekać rana, aby się udać w dalszą wędrówkę.

Przejęcia i wstrząśnienia, jakie przeżył, tak wyczerpały jego siły, że drzemać począł. Nie chciał zasnąć, ale sen był mocniejszy od woli. Oczy mu się zamykały i otwierały coraz powolniej, nareszcie nieświadomie zasnął.

Obchodząc granicę, żandarm posterunkowy austriacki spostrzegł zdaleka leżącego pod wierzbą Tanasia. Nad granicą, skutkiem przemytnictwa, często się zdarzały wypadki rabunków i zabójstwa, bo oczywiście przemytnicy należeli wprawdzie do najzuchwalszych ludzi, ale zgoła nie do najuczciwszych. Począł się przeto pocichu zbliżać do leżącego. Tanaś spał, twarzą na wschód zwrócony. Leżał jak martwa bryła ciała ludzkiego. Z początku żandarm myślał,

że to trup. Zatrzymał się i począł mu się przypatrywać. Na twarz śpiącego padały promienie słońca, ale go nie zbudziły. Twarz była blada, ale spokojna. Nie trudno było domyślić się, że nieprzemogzone zmęczenie powaliło na ziemię tego młodzieńca. Zwichrzona czupryna, ubranie mokre i zabłocone, gdzieniegdzie potargane, były wymownem świadectwem, że nieznajomy przez Bug przedostał się na stronę austriacką, że w czasie tej przeprawy stoczyć musiał walkę, a zmęczony i wyczerpany zasnął.

Stary żandarm, na szczęście Polak, wiedział najlepiej, że z tamtej strony uciekają albo sybiracy, którym udało się umknąć, albo przestępcy polityczni, którzy chronią się przed więzieniem moskiewskiem. Spokój śpiącego, jego twarz łagodna, młodość wreszcie były najlepszem świadectwem, że ma przed sobą nie jakiegoś łotrzyka i przemysłownika, ale uczciwego, może tylko nieszczęśliwego człowieka.

Wpatrywał się długo w śpiącego.

Może wzrok, utkwiony w Tanasia, posiadał jakąś magnetyczną siłę, bo oczy śpiącego nagle otworzyły się. Zdziwienie i przerażenie błysnęło w tych oczach, gdy spostrzegł stojącego nad sobą uzbrojonego żandarma. Mimowolnym ruchem porwał się i stanął na nogi. Na wszelki wypadek miał już odpowiedź gotową, nie myślał tylko, że tak rychło wypadnie mu zetknąć się z władzą.

— Co pan tu robi? — zapytał żandarm.

— Idę do Lwowa... zmęczyłem się i zdrzemnąłem trochę.

— Skąd?

— Z Sokala.

— Masz pan jakie dokumenty?

Tanaś rezolutnie odpowiedział:

— Przecież jestem tutejszy i nie potrzebuję żadnych dowodów.

Żandarm zmierzył go od stóp do głowy.

— A cóż się stało z czapką pańską?

— Wiatr mi ją zerwał i uniósł.

— A to ubranie mokre co znaczy?

— Chciałem się umyć w rzece i wpadłem niechcący do wody.

Żandarm uśmiechnął się:

— Ubranie potargałeś pan na krzakach — prawda?

— Tak jest.

Żandarm milcząco badał dalej Tanasia.

— A może to było zupełnie inaczej? — zauważył, lekko uśmiechnawszy się pod wąsem. — Pan przeprawiałeś się przez rzekę, stoczyłeś walkę z przemytnikami, wyrwałeś się z ich szponów i zmęczony zasnąłeś, najmniej myśląc o tem, że cię żandarm napotkać może.

Twarz Tanasia jeszcze bardziej zbładła. Spostrzegł, że wyrwawszy się z jednej pułapki, wpadł w drugą, i nie miał najmniejszego pojęcia, jak się z niej wymknąć. Nie było innego sposobu, jak tylko zaprzeczać i pozostawić rozwiązanie zagadki ślepemu losowi.

Patrząc przeto w twarz żandarma, mówił:

— Ależ, panie komendancie, jestem z pewnością z Sokala.

Żandarm potakiwał:

— Wiem... wiem... Może zatem wrócimy do Sokala i tam sprawdzimy tożsamość pańskiej osoby?

Tanaś spojrzał w oczy żandarma wzrokiem, który zdawał się mówić: puść mnie!

Może to spojrzenie i widoczne zbiedzenie Tanasia wzbudziło litość żandarma; może serce polskie, które biło pod mundurem austriackim, szepnęło mu, że żal marnować młode życie, które może wyrwało się z pazurów moskiewskich. Stał i wahał się, co robić. Już to wahanie się i niezbyt groźna postawa żandarma jakąś otuchą ogarnęły młodzieńca.

— Niech mnie pan puści... — odezwał się tonem prawie błagalnym.

— Gdybym wiedział prawdę, kto pan jesteś, mógłbym puścić.

Zapanowało milczenie z obu stron. Żandarm, zdawało się, czekał na odpowiedź; Tanaś wahał się, chociaż miał wrażenie, że ma przed sobą człowieka uczciwego i dobrego... Muzyka głosu ma także swoją wymowę.

— Wiem, że pan nie z Sokala... — zauważył żandarm — uciekłeś pan z Rosji... to nie jest zbrodnia... na zbrodniarza pan nie wyglądasz...

Spojrzał mu w oczy.

— Z Rosji? Prawda?

Nie uważając na dalsze następstwa, Tanaś odpowiedział:

— Tak jest.

— Uciekłeś pan z więzienia?

— Tak jest.

— Za co pan siedziałeś w więzieniu?

— Wzięto mnie na placu bitwy z bronią w ręku i skazano na Sybir... uciekłem, ratując życie.

— Pocóż pan do Lwowa jedziesz?

— Sam nie wiem... jest to najbliższe większe miasto... stamtąd może pojedę dalej.

— Masz pan krewnych we Lwowie?

— Żadnych.

Rozmowa przerwała się na chwilę.

— Chodź pan ze mną! — rzekł żandarm.

Szli dłuższy czas milcząc. Nareszcie odezwał się żandarm:

— Teraz wiem, że pan prawdę mówisz, że jesteś uczciwym człowiekiem, więc i ja panu prawdę powiem. Żal mi pana... Obowiązek nakazuje mi oddać pana w ręce rządu, a sumienie nie pozwala brać odpowiedzialności za dalsze życie pana... Czyn pański wobec rządu rosyjskiego jest zbrodnią, ale nie wobec naszego. Ze strony Austrii nie spotka pana żadna kara, ale będą pana włączyć po więzieniach, indagować, a wkońcu każą opuścić granice państwa...

Ta szczerość wzruszyła Tanasia. Nie był zgola na to przygotowany, aby w żandarmie austriackim można było znaleźć uczciwego człowieka, któryby umiał godzić obowiązki z sumieniem.

Podał mu rękę i ścisnął mocno.

— Niech mi pan wierzy, że więcej czuję przyjemności z tego, co pan mówi, niż z radości, że po nowych więzieniach tulać się nie będę... Od wiadomego uciekłem do niewiadomego — może dlatego lepsze, że niewiadome.

Zapanował między nimi szczery stosunek, jak gdyby się znali oddawna.

— A wiesz pan, co mnie tutaj sprowadziło?

— Skądże mogę wiedzieć?

— Wystrzał po stronie moskiewskiej. Był to znak, że strzelono do przemytnika, albo przemytnik do żandarma, bo te łotry za nic sobie ważą życie własne i cudze. Kiedyś pana ujrzał śpiącego, odgadłem wszystko: objeżdżycy ujrzeli was przemykających się i strzelili... nie wiem, co się z objeżdżycami stało, ale pan zdołałeś umknąć... porwane ubranie pańskie świadczy, że musiałeś pan z przemytnikami stoczyć walkę — prawda?

Tanaś potwierdzająco głową skinął.

— Oni najchętniej polują na „politycznych“, przemykających się za granicę, obrabowują ich doszczętnie, zamordują i do rzeki spychają... Dziękuj Panu Bogu, żeś się z rąk ich wywinął.

Tanaś, przypomniawszy sobie szamotanie się z Hryńkiem i woźnicą na łódce, mimowoli wykrzyknął:

— O, to szubienicznik!

Zbliżali się do Zabłocia.

— Wójt tutejszy — odezwał się żandarm — jedzie zaraz do Lwowa... pojedziesz pan z nim, ale o całej rozmowie ze mną ani słowa. Powiesz, gdyby pytał, że jesteś z Sokala: jedziesz do Lwowa na dwa dni za kupnem różnych materiałów, stali styryjskiej. W dyskusję, broń Boże, nie wdawać się, aby się nawet nie domyślił, coś pan za

jeden... Na porwane suknie zwróci uwagę?... powiesz, że w karczmie Oszarpanej, na drodze sokalskiej, napadli cię pijacy, musiałeś się bronić...

Gdy weszli na dziedziniec wójtowego obejścia, pacholek już zaprzęgał konie. Wójt gorąco zapraszał żandarma do izby, ale ten wymówił się brakiem czasu. Na Tanasia uwagi nawet nie zwrócił.

— Panie wójt — rzekł żandarm — jedziecie do Lwowa — podwieźcie mego znajomego z Sokala...

Na Tanasia głową wskazał.

— Jedzie tam za sprawunkami...

Wójt, uradowany, że może żandarmowi przysługę oddać, powtarzał dobrodusznie:

— Dobrze... dobrze...

— Przed Żółkiewską rogatką wysiądzie...

Pożegnał wójta i odchodząc skinął głową na Tanasia, który się do niego zbliżył. Odeszli nieco od dziedzica wójtowego.

— Przenocujesz pan u Sruła Łapigrosza w zajeździe... a we Lwowie nie kręć się bardzo, bo teraz Polacy nie są w łaskach u naszego cesarza: jednych wyłapują i oddają Moskalowi, a drugich wypędzają z kraju zagranicę — do Francji, do Szwajcarii.

Zastanowił się chwilę.

— Mimo wszystko jest tam waszych jeszcze dużo... ukrywają się do czasu... gdybyś się z nimi zetknął, możeby jaką radę dali...

Myślał nad czemś.

— Nikogo, żadnego nazwiska we Lwowie nie znasz?

— Nikogo...

— To źle... Po chwili dodał: — Jest tam taki pan, nazywa się Jan Dobrzański, mieszka na ul. Halickiej... opowiesz mu całą prawdę, ale o spotkaniu się ze mną ani słówka. Wierzę w twoją uczciwość... Pragnę ci dopomóc, ale nie chcę być odpowiedzialnym za ciebie — rozumiesz to.

Przemawiał do niego z uczuciem braterskiej życzliwości i zakończył udanym akcentem szorstkości:

— No, do widzenia... a raczej szczęśliwej podróży!

Tanaś podał mu rękę na pożegnanie i, wdzięczny za niesłychaną przysługę, zdołał tylko ze wzruszenia powiedzieć:

— Pan jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Żandarm nic mu już nie odpowiedział, tylko odsalutował po wojskowemu i odszedł.

X.

W podróży Tanaś rozmawiał bardzo mało z wójtem i bardzo ostrożnie, ażeby się z niczem nie zdradzić.

Pod wieczór zbliżali się już do rogatki.

Jeszcze dobry kawałek przed nią uprzejmy wójt zatrzymał konie.

— Otóż i zajazd Srula Łapigrosza... — rzekł niby sam do siebie, niby do towarzysza podróży.

Tanaś się porwał.

— Dziękuję wam... byłbym prześlepił...

Zeskoczył z wozu, podziękował bardzo pięknie i skierował się do szynku; tuż przed bramą wjazdową zatrzymał się, aby o gospodarza zapytać.

W szynku wstrętny zapach kwaśnego piwa i gorzałki uderzył go przedewszystkiem. Izba była pełna dymu tytoniowego i hałasu, podobnego do chrapania pijanego człowieka. Kilka małych stolików obsiadło pijackie towarzystwo, reszta, stojąc, raczyła się przy szynkwasiu. Szynkwasiu obstawiony talerzykami, na których rozłożone były zakąski — plasterki kielbasy, sera, śledzi, wieprzowiny w żelatynie i innych przysmaków. Wzdłuż stołu wąskim pasem ciągnęła się na podwyższeniu pokrywa z blachy, na której stawiano kufle od piwa i kieliszki. Brudna blacha lśniła się od rozlanych płynów i cuchnęła zdraika.

Wszedłszy do izby napół ciemnej, bo ledwie oświetlonej naftową lampką, przyczepioną wysoko pod sufitem prawie, Tanaś doznał takiego wrażenia, jak gdyby go ktoś znienacka obuchem w łeb uderzył. Cofnął się mimowoli, jak przed niebezpieczeństwem. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nieznanomego, który był bez czapki, w ubraniu potarganem, z rozwichrzonemi włosami na głowie.

Rzucił okiem na opasłą żydowicę, stojącą za szynkwasem. Na szerokiej, rozlanej twarzy, o czerwonych, jakby sokiem burakowym powleczonej policzkach, sterczała nos krogulczy, niby w dziób zakręcony. Żywe oczy biegały niespokojnie po długim stole szynkwasu, pilnie strzegąc, ażeby czyja ręka nieoczekiwanie nie ściągnęła z zastawy jakiego kawałka śledzia lub paprykowanej słoniny. Ruda peruka na głowie przekreśliła się na bok, a zatłuszczone palce co chwila chwytaly z drapieżnym gestem kieliszek wódki lub szklanekę piwa, albo wsuwały pod fartuch drobne miedziaki.

Tanaś zbliżył się do niej.

— Chciałbym tu przenocować — czy można?

Spojrzała na niego, przymrużywszy nieco lewe oko i pilnie się przypatrując.

— Nu? Dlaczego nie można? Na to jest zajazd.

Zwróciła się do jakiegoś szajgeca, kręcącego się przy niej.

— Ruf a tate... geschwind...

Potem, nie spuszczać oka z Tanasia, pytała.

— A pan chce osobnego pokoju?

— Osobnego.

Zainteresował ją ten nowy gość, który żądał osobnego pokoju, chociaż w jej przekonaniu nie wyglądał na takich, co w hotelach nocują.

Zjawił się „tate”, rzucił podejrzliwie okiem na Tanasia i zapytał krótko:

— Nu?

Z akcentu miało to oznaczać, czego sobie życzy.

Stara Ruchla uprzedziła już męża o życzeniu podróżnego.

„Tate“ zaprowadził Tanasia na górę i otworzył pokój. Uderzył stęchły zapach przestarzałego brudu.

— Dwa ryńskie dziennie...

Zwykle za taki pokój na przedmieściu płacono się trzecią część tej ceny. Ale był to także żydowski sposób wybadywania kieszeni podróżnego.

— Dobrze... — zauważył Tanaś — ale trzeba okno otworzyć.

— To można zrobić.

Gdy Tanaś rozglądał się po izbie, żydek zapytał znowu:

— A rzeczy pańskie?

— Nie mam żadnych... przyjechałem na jeden dzień tylko.

Żyd brodę pogładził.

— Nu, nu — odpowiedział na to, niby godząc się z tem, co słyszał — ale u nas się płaci zgóry.

— Dobrze... zaraz panu zapłacę... proszę mi tylko przynieść szklanek herbaty...

— Nic więcej?

— Nic.

Po wyjściu żyda Tanaś rozpiął kamizelkę i wydobył pieniądze. Przeliczył — było dwieście rubli... — Kochana ciocia!... — pomyślał.

Po chwili gospodarz wsunął się, niosąc w rękę szklanek z herbatą.

Tanaś podał przygotowany różowy banknot — dziesięć rubli.

Żyd spojrzał na pieniądze zezem.

— Co to?

— Innych nie mam.

— To nic nie szkodzi... możemy zmienić zaraz.

Wziął banknot z rąk Tanasia i począł go badać. Najprzód palcami zbadał grubość i mięsistość papieru, potem

obejrzał podpisy, porównał liczby na obu stronach asygnaty, wreszcie przekonał się do światła, czy są znaki wodne. Po tem wszystkiem schował pieniądze do osobnej przedziałki brudnego, tłustego pugilaresu, a natomiast wyliczył „według kursu“ czternaście austriackich guldenów papierowych. Poznawszy, że ma przed sobą fryca, okpił go o półtora guldena na wymianie.

Załatwiwszy się z tem, Tanaś poprosił żyda, aby go nie budzono rano, bo jest zmęczony i dłużej spać będzie.

Żyd, widząc, że ma gościa, który płaci, a zmiarkowawszy, że jest to jeden z tych, którzy z Rosji uciekli, z większą rewerencją pożegnał go, niż witał.

Tanaś rzucił się jak kłoda na łóżko i zasnął.

Minęła godzina ósma, dziewiąta — Tanaś spał. „Tate“ kilkakrotnie zbliżał się do drzwi, nastawiał ucho — cisza. Wracał, znowu nasłuchiwał — i odchodził, kręcąc głową. O niepokoju swoim powiedział Ruchli.

— Idź... stukaj do drzwi... może się on otrul?... kto go wie?... włóczęga jakiś.

Posłuszny życzeniu Ruchli, począł walić we drzwi. Tanaś zerwał się nagle. Zdało mu się, że słyszy wystrzały. Rzucił okiem dokoła i przypomniał, gdzie jest.

„Tate“ walił kulakami we drzwi.

— Zaraz... kto to?

Żyd, usłyszawszy głos gościa, uspokoił się.

— To ja, gospodarz... może czego trzeba?

— Niech pan przyjdzie za pół godziny... Herbaty proszę przynieść...

— Może kawy?

— Dobrze... niech będzie kawa...

Ledwie się umył, żyd zjawił się z kawą.

— Może jeszcze czego? — dopytywał się.

— A tak... muszę sobie czapkę kupić... Zdrzemnąłem się na wozie i wiatr mi zerwał.

Usłużny żydek sam czapkę przyniósł, a gdy Tanaś, uporządkowawszy się trochę, opuszczał gościnne progi zajazdu, zapraszał go z powrotem.

Tanaś wyszedł. Przed nim jedna tylko była ulica — Żółkiewska, taka sama brudna, niechlujna, pełna tłumów, bardzo podobnych do tych, jakie wieczorem oglądał w za-jeździe Ruchli.¹

Doszedł do placu. Rozglądał się powoli z ciekawością, bo nie wiedział, ani gdzie jest, ani dokąd iść. Minął plac i poszedł prosto przed siebie. Znowu plac... wielki, z ob-szarganemi murami budynek pośrodku... pewnie ratusz...

— Muszę się najpierw do tego Dobrzańskiego dostać — myślał — a potem zobaczymy.

Naprzeciwko szedł jakiś młodzieniec. Zatrzymał go.

— Przepraszam, gdzie jest ulica Halicka? — zapytał.

Młodzieniec ogarnął go trochę zdziwionem spojrzeniem.

— Stoi pan właśnie na rogu ulicy Halickiej...

— A gdzie mieszka pan Jan Dobrzański?

Młodzieniec uśmiechnął się.

— Jan IV... właśnie mieszka na Halickiej № 415.

— Dziękuję bardzo.

Uklonili się sobie i rozstali się.

— Co też to za figura ten Jan IV? — myślał. — Musi być człowiekiem bardzo popularnym.

Rzucił okiem na odrzwia górne kamienicy: № 415.

Wszedł szerokimi, ale bardzo brudnymi schodami na pierwsze piętro. Właśnie po poręczy od schodów zjeżdżał z góry jakiś chłopaczek i przed nosem prawie Tanaś zeskoczył.

— Nie wie pan, gdzie mieszka pan Jan Dobrzański.

— Drugie piętro na lewo.

— Zapukał — żadnej odpowiedzi. Powtórzył pukanie: za drzwiami dał się słyszeć niecierpliwy chód i otworzyły się z hałasem.

W półciemnym pokoju, bo oświetlonym tylko z okna jednego, ukazała się postać człowieka średnich lat, trochę

przysadkowatego, o czarnej, rozkłaczonej czuprynie, takich-że wąsach i okrągłych, świdrujących oczach. Przeszył Tanasia temi oczkami i skrzypiącym nieco głosem zapytał niecierpliwie:

— Czego?

Pytanie to i ton jego stropiły trochę Tanasia.

— Chcę prosić o radę?

— Co? Rady? Jakiej panu rady trzeba? Z jakiego pan oddziału? Jaki dowódca pana przysłał?

— Przepraszam pana... nie należę ani już, ani jeszcze do żadnego oddziału...

Odpowiedź ta zastanowiła Dobrzańskiego.

— Nie należysz pan? Co? Chodź pan bliżej... do światła...

Tanaś nieśmiałym krokiem za nim podążył. Dopiero teraz spostrzegł, że Dobrzański trzymał pióro w ręku. Widocznie zerwał się od stolika, gdy usłyszał pukanie.

Stanęli obaj przed wielkiem biurkiem, chwilę badając się wzajemnie.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał Dobrzański.

Tanaś w krótkich słowach opowiedział o bitwie, a raczej rzezi na Baranem Polu, o ucieczce z partji, prowadzonej na Sybir, o przeprawie przez Bug.

Czarne oczka Jana IV zamigotały.

— Czy to tylko nie fantazje opowiadasz? Teraz powódź włóczęgów ze wszystkich stron zalewa Galicję... Bić się nie chcą, a z pola bitwy uciekają i żebrzą pomocy... Dowódcy chcieliby być tylko pułkownikami i generałami...

Słowa te oburzyły Tanasia.

— Przepraszam, ja nie żebrzę pomocy, ale o radę proszę... Fantazyj żadnych panu nie opowiadam, ale prawdę...

Zrobił ruch, jak gdyby chciał opuścić mieszkanie. Słowa te i mocny akcent, z jakim wypowiedziane zostały, zreflektowały trochę pana Jana. Spostrzegł, że się pomylił.

— Poczekaj pan... będziemy gadać spokojnie... usiadźmy...

— Usiadł przy biurku, przy nim na krześle Tanaś.

Dobrzański wysłuchał po raz drugi niektórych szczegółów ucieczki Tanasia i, słuchając, wydawał jakieś dźwięki nieartykułowane.

— Organizuje się tutaj wyprawa na Ruś... poszedłbyś pan?

— Ależ naturalnie. Wolę zginąć, niż tułać się Bóg wie gdzie.

Pan Jan jakby nie słyszał tego.

— Czy do tej wyprawy dojdzie — to jeszcze na wodzie pisano. Nasz naczelny wódz za dużo o nieśmiertelności duszy rozprawia... To dla żołnierza niedobry znak... niech rozprawiają księża... żołnierz tylko myśleć o tem powinien...

Pomyślał chwilę.

— Naturalnie, dokumentów żadnych nie masz... Nie trzeba, żebyś się narażał policji... Ona jest głupia, to prawda, ale zawsze kogoś złapie. Przedewszystkiem musisz sobie ubranie kupić... masz za co?

— Mam.

— Tem lepiej, bo u nas straszna golizna. Jakiś czas musisz się ukrywać... Musisz się zobaczyć z Buczyńskim... dam ci do niego kartkę... on będzie wiedział, co zrobić... Wiesz, gdzie jest kościół Jezuitów?

— Nie wiem.

— Zapytasz. Obok jest wielka brama; tam mieści się urząd austriacki do obdzierania ludzi ze skóry, nazywa się Dyrekcja Skarbu... Wejdiesz do wielkiego dziedzińca, potem drzwi prosto — tam zapytasz o Buczyńskiego. A jak potrzeba będzie, to i do mnie zajrzysz. Do widzenia, nie mam czasu.

Wtykając do rąk Tanasia jakiś karteluszek, zapytał:

— Ale, ale... powiedz mi pan, kto pana do mnie skierował?

Najmniej oczekiwane to zapytanie stropiło Tanasia. Prawdy powiedzieć nie mógł, boby może na przykrość naraził dobroczyńcę swego, a kłamstwem się brzydził. Musiał jednak uciec się do zmyślenia.

— Przy śniadaniu słyszałem, jak młodzi mówili o panu, że się tułaczami opiekujesz. Jeden drugiemu pański adres wymienił.

Odpowiedź ta, bardzo prawdopodobna, może zadowolila pana Jana, bo rzekł spokojnie:

— Ruszajże z panem Bogiem i pytaj o kościół Jezuitów.

Poszedł za wskazówkami. Na jednym z korytarzy Dyrekcji Skarbu woźny wywołał Bućzyńskiego. Był to jeden z najuboższych i najgorzej uposażonych urzędników, który za 40 reńskich miesięcznie dziesięć godzin skrobał piórem i rachował. Urząd austriacki nie zepsuł mu pięknej polskiej duszy. Do powstania nie poszedł, bo nie miał komu zostawić na opiece siostrzeniczki swojej, dwunastoletniej dziewczynki, ale wysługiwał się biednej ojczyźnie, jak mógł: pełnił służbę bezpłatnego kwatermistrza ochotników, zgłaszających się do oddziałów powstańczych.

Tanaś przechadzał się po korytarzu, gdy ujrzał idącego naprzeciwko człowieka niewielkiego wzrostu, o dobrej, łagodnej, bladej twarzy i nieco ostrzyżonych szpakowatych włosach.

— Czy pan Buczyński?

— Do usług.

Tanaś wręczył mu bilecik pana Jana. Buczyński czytał, odrywał wzrok od pisma i rzucał spojrzenie na Tanasia.

— Chciałbyś się pan wpisać na ochotnika? — spytał.

— Chciałbym.

— Hm... hm... To można, dlaczego nie? — rzekł przeciągłym trochę głosem. Oby jak najwięcej... możeby to poskutkowało...

Ton, jakim przemówił, a szczególnie zakończenie, miały dźwięk niby niepewności, powątpiewania.

— A do jakiegoż oddziału? bo i Gołuchowski formuje oddział i Sawa.

Ostatnie nazwisko uderzyło Tanasia.

— Jaki Sawa? Rudnicki?

Buczyński przez ostrożność nie potwierdził. Uśmiechnął się tylko i rzekł dobroduszenie:

— Pan chciałby odrazu wszystkie tajemnice wiedzieć?

— O, nie! — zaprotestował Tanaś — chociaż tajemnicy umiem dochowywać. Ale nazwisko Sawy zainteresowało mnie, bo Sawa wyprowadził młodzież z Kijowa, a słyszałem, że w więzieniu kijowskim siedzi... chyba uciekł?

— I to się zdarza — zauważył Buczyński.

— Jeśli to ten sam Sawa, to chciałbym w jego oddziale służyć.

— Zapiszemy cię do jego oddziału. Ale gdzie ty mieszkasz, młodzieńcze?

— Nigdzie, dopiero dziś rano przyszedłem do Lwowa.

— A masz co jeść?

— Mam trochę grosza.

— Rzadki z ciebie ochotnik — zauważył swoim dobrym, przeciągłym akcentem Buczyński, — bo i ojczyźnie chcesz służyć i przychodzisz na służbę nie bez grosza.

Spojrzał na zegarek.

— Poczekaj pan tu chwilkę; zaraz kończy się moje urzędowanie, będziemy mogli wyjść razem.

Tanaś przechadzał się. Co chwila drzwi otwierały się i po kilka osób wysuwało się na korytarz, a wszyscy przyspieszonym krokiem pędzili ku wielkim drewnianym schodom. Ukazał się i Buczyński.

— Widzisz, mój kochany panie, ja ciebie na obiad nie zaproszę, bo i sam niewiele mam do zjedzenia; ale pokażę ci garkuchnię uczciwszą od innych, gdzie i nie otrują i nie obedrą. I ja w tę stronę idę.

Weszli na ulicę Trybunalską.

— Gdybyś nie miał swego grosza, jak powiadasz, to bym się postarał, abys z głodu nie przymierał, ale ponie-

waż masz za co kupić, to kup, mój bracie, a głodni zjedzą twój obiad.

Bardzo się Tanasiowi podobał ten człowiek, bo wyglądał na uczciwego, dobrego i łagodnego. Trzeba było pomyśleć o tem, gdzie się ulokować i jak, a miał to wrażenie, że dobrej rady tylko od Buczyńskiego spodziewać się może. Na ulicy trudno było rozmawiać i wypytywać. Przyszła mu myśl zaprosić Buczyńskiego na obiad — miał jeszcze przecie blisko 200 rubli w kieszeni.

Szli nieduży kawałek, gdy Tanaś ujrzał ten sam budynek, który go już był uderzył swoją wielkością i opuszczeniem.

— Rynek... ratusz...

Skręcili na lewo.

— Otóż i restauracja Stadtmüllera... Niemiec to, ale uczciwy... Nie każdy Niemiec pies... Ten uszanował kraj, który mu dał kawałek chleba, i ludzi, którzy mu dają zarobek... Synowie język polski znają, z Polkami się pożenili...

Zatrzymali się przed wejściem.

— Pójdiesz prosto, a potem drzwi na prawo... Zjedz obiad i poczekasz na mnie... za pół godzinki wrócę... dowiem się, co moja dziewczyna robi, i zjem z nią, co Bóg dał.

Tanaś odezwał się:

— Mam prośbę do pana... proszę bardzo nie odmówić...

— Mów... co można, zrobię.

— Niech pan będzie tak dobry i zje ze mną obiad! Buczyński patrzył zdziwiony, a na twarzy jego igrał zwykły dobry uśmiech.

— Toś ty król, mój bracie, król... na obiady zapraszasz...

Tanaś, zmieszany trochę, mówił:

— Chciałbym panu podziękować...

Buczyński zaśmiał się głosem, który do płaczu raczej był podobny.

— Za cóż to? Za co? Nic przecie nie zrobiłem...

- Za dobroć pańską.
- No, nie bawmy się w komplementy.
- Przyjmij pan moją propozycję i prośbę!
- Ależ dobrze, bardzo dobrze, mój kochany młodzieńcze... Pogadamy; widzę, żeś niepodobny do naszych ochotników..., Ale muszę pierwiej do domu wstąpić i mojej kochanej dziewczynie powiedzieć, że przyjechał do Lwowa jakiś krezus i Buczyńskiego na obiad zaprosił.
- A zatem czekam szanownego pana — dobrze?
- Dobrze.

XI.

Tanaś nie robił przed Buczyńskim tajemnicy z niczego, chociaż go nie wypytywał. Nawet o żandarmie powiedział prawdę.

Gdy już wyszli na ulicę, Buczyński bez ceremonji odezwał się:

— Ponieważ masz pieniądze, trzeba, żebyś sobie kupił inne ubranie... Jesteś obszarpany, brudny... ludzie oglądają się za tobą.

— Już myślałem o tem, ale mam tylko ruble.

— Pójdę z tobą i zmienisz... Mogliby pana okpić.. wnet poznają, że nie jesteś tutejszy.

Tanaś propozycję z podziękowaniem przyjął. Zmieniwszy ruble, poszli obaj do magazynu ubrań, gdzie się Tanaś przystroił po miejsku.

— A teraz zaprowadzę cię na kwaterę — rzekł swoim dobrodusznym akcentem Buczyński. — Będiesz miał jeszcze kilku towarzyszy — dodał — niechże się pan im nie zwierza. Kartę pobytu trzeba ci będzie wyrobić... ponieważ masz czem posmarować, to się wyrobi łatwo. Dokumentów oczywiście żadnych przy sobie nie masz?

— I owszem, mam.

— Pokaż pan!

Przeczytał milcząco.

— Doskonale — rzekł, zwracając mu papier — jesteś Jan Grzegórczyk, praktykant gospodarski. Na podstawie tego świadectwa wyrobimy panu kartę pobytu... będziesz mógł zupełnie bezpiecznie mieszkać we Lwowie aż do wyjścia waszej partji. Ale kiedy to nastąpi?

Nie dokończył, tylko niechętny ruch ręką zrobił i zamilkł.

— Daleko trochę... — zauważył.

Rzucił okiem przed siebie.

— Otóż i kościół św. Antoniego... Za kościołem dodał:

— Żebyś się pan tylko nie rozpróżniaczył z tymi lampartami... bo muszę uprzedzić, kolegów nieosobliwych będziesz miał. Niby to czekają na wyjście z oddziałem, ale tak im się chce bić z Moskalami, jak mnie umierać.

Skręcili w boczną uliczkę i weszli na dziedziniec.

W tyle dziedzińca, tuż prawie pod Wysokim Zamkiem, którego resztki poszczerbionych murów sterczały na szczycie, uwieńczone warkoczami brzoź, przystrojone w błado-różowe listki dzikiej róży, przytulił się niewielki domek parterowy, a tuż obok wielki, rozkraczysty budynek drewniany, niby śpichlerz, niby stajnie.

Weszli do izby.

Koło okna przy stole stała kobieta już leciwa, otyła. Ręce miała zakasane poza łokcie, w obu dłoniach trzymała wielkie sito i przesiewała krupy hreczane.

Była to imć pani Magdalena Turkowa, krupiarka z Łyczakowa i właścicielka tej właśnie realności, do której Buczyński z Tanasiem weszli. Wdowa po Turku, który Turkiem nie był, słynną była na całym znanym z rycerskiego ducha Łyczakowie z łagodnego usposobienia, uczynności i dobrego polskiego serca. To też zawsze kilku powstańców po kilka miesięcy żywiła i przechowywała u siebie. A że policjantom sprzedawała krupy na rynku zawsze taniej, niż innym, więc też przez palce patrzyli na to, co się u niej działo. Znał ją dobrze i Buczyński,

który u niej często lokował ochotników do oddziałów powstańczych.

— Daj Boże zdrowie! — zawołał, stanąwszy na progu.

— Daj Boże i panu!

Rzuciła okiem na stojącego obok Tanasia, nie odrywając się od roboty.

— Przyprowadzam pani nowego lokatora.

Pani Magdalena odłożyła sito na stole i, spoglądając na Tanasia, w ręce klasnęła.

— Oj, Bożeńku miły! Gdzie ja takiego panicza pomieszczę?

— Pan Jan Grzegórczyk — przedstawił go Buczyński

Ale pani Magdalena nie zwracała na to uwagi, tylko patrząc na Tanasia, mówiła swoje:

— O, Bożeńku miły! Toż to paniątko... jego przytulić trzeba inaczej i nakarmić inaczej, niż naszych urwi-połciów.

Tanaś czuł się w obowiązku uspokoić panią Magdalенę.

— Niech się pani nie lęka... nie jestem ci ja żadnem paniątkiem i nie dla rozkoszy zaciągnąłem się do wojska, jeno na to, ażebym się bił z Moskalami.

Pani Magdalena biadała dalej:

— Oj, Bożeńku miły! Gdzieś ja go podzieję, czem go nakarmię?

— Proszę pani nie troszczyć się o mnie — odezwał się Tanaś głosem stanowczym. Gdzie inni żołnierze mieszkają, tam i ja mieszkać mogę; co inni jedzą, i dla mnie truczna nie będzie. A da Bóg wyjdziemy w pole, pięknie podziękuję pani za przytułek.

Pani Magdalena wyszła, ażeby gościom kaszy ugotować. Tanaś szepnął do Buczyńskiego:

— Mogę za wikt płacić.

— Tylko tego niech pan nie robi! Między ochotnikami straszna demokracja — zakraczą pana. Spodnie two-

je i surdut będą kłuły w oczy. Dziś jeszcze otrzymasz tytuł arystokraty.

— Niedługo to może potrwa... Na polu bitwy będziemy znowu demokratami.

Buczyński machinalnie powtórzył:

— Na polu bitwy... — i znowu rękę podniósł do góry i kiwnął nią w powietrzu niedbale.

Po podwieczorku Buczyński zaprowadził Tanasia do wielkiego budynku drewnianego. Wewnątrz był to rodzaj koszar przygodnych. Szeregiem stały łóżka z siennikami.

Kilka łóżek było zajętych. Jedni spali, drudzy w karty grali.

— Przyprawdzam panom nowego kolegę — odezwał się Buczyński.

Wszystkie spojrzenia podniosły się na wchodzących. Jeden z grających krzyknął:

— Wiwat! Niech żyje!

Inni z łobuzowskim akcentem powtórzyli:

— Wiwat! Wiwat! Niech żyje!

Ruch się zrobił w obszernej hali.

Nie podobało się Tanasiowi ani przyjęcie, ani ton jego trochę rozwichrzony i towarzystwo, grające w karty.

— Koło mnie jest łóżko wolne — odezwał się jeden z grających, który z kartami w ręku zbliżył się do Tanasia. Proszę bardzo, niech się pan rozgości.

Ktoś krzyknął:

— Ale wkupić się musi do naszego towarzystwa!

— Wkupić się! Wkupić się!

Tanaś z niesmakiem słuchał tych wykrzykników.

Buczyński przerwał:

— Już się wkupił, bo zapisany do oddziału Sawy.

Znowu wrzask powstał:

— Niech żyje kolega! Niech żyje!

— A może waćpan oficer? — odezwał się jakiś głos chrypliwy.

— Szeregowy, żołnierz — odpowiedział Tanaś.

Znowu wrzask powstał:

— Niech żyje kolega! Niech żyje! Wkupić się! Taki zwyczaj!

Buczyński, ażeby przerwać ten nastrój zbyt wesoły, odezwał się do Tanasia:

— Chodźmy jeszcze do pani Magdaleny podziękować za przytułek.

Gdy się już na dziedzińcu znaleźli, rzekł do Tanasia:

— Niebardzo tu panu będzie wygodnie... postaram się o inne mieszkanie. Za parę dni dowiem się...

Podał mu rękę na pożegnanie i dodał:

— A bądź pan ostrożny... Pieniądze najlepiej oddać pani Magdalenie do schowania... Do widzenia!

Tanaś, przyzwyczajony do innego otoczenia, do innego koleżeństwa, z uczuciem niesmaku wszedł w nowy tryb życia. Bezczynność trawiła go w sposób niemożliwy. Koledzy jego koszarowi w dzień wysypiali się, w nocy włączyli się po kawiarniach i przytułkach nocnych; a zapowiadany dzień wyruszenia w pole nie nadchodził. Szep-tano sobie nawet, że już wcale nie pójdą, bo Moskale zgnetli powstanie, tak że tylko tu lub ówdzie biją się małe oddziały.

Tanaś nie miał wielkiej ochoty łączyć się z rozlam-partowanym towarzystwem, w jakim się przypadkowo znalazł; a to odrazu wywołało nieprzychylne dla niego usposobienie.

Na drugi dzień kupił jakąś książkę i, leżąc na swoim łóżku, czytał.

Na drugim końcu ktoś się odezwał złośliwie:

— To literacik... jemu książka w głowie, nie wojna. Połknął tę pigułkę Tanaś i nic nie odpowiedział.

Najbliższy natomiast kolega jego, tuż przy łóżku, okazywał dużo usługomości, do tego stopnia, że narzucał się nawet z czyszczeniem ubrania lub butów. Ale i te dowody uprzejmości cenił Tanaś.

Rano wstała z łóżka jeszcze bledsza, niż dawniej. Tanaś już siedział przy stoliku. Powiedziała mu, jak zwykle: — Dzień dobry panu!..

I pobiegła tak szybko, jak gdyby lękała się spojrzeć mu w oczy.

Widywali się ze sobą rzadko. Najczęściej spotykali się przelotnie na drodze, gdy on wracał z biura, a ona z pracowni. Kilka minut obojętnej rozmowy kończyło się zwykle przed progiem mieszkania.

Wypadek zbliżył ich więcej. Pani Pelagja zachorowała i nie mogła już codziennej zupy gotować dla Tanasia. Było to dla niego więcej niż niedogodne, bo za najlichszy obiad musiał płacić 30 centów, to jest dwa razy tyle, ile go kosztował w domu. W ciągu tygodnia fundusze jego tak się nadwężyły, że chcąc do końca miesiąca dociągnąć, musiał zastawić zegarek, tembardziej że i buty wypowiadały posłuszeństwo, domagając się stanowczo reparacji.

Ale znalazło się i wyjście.

Krzysia, rozmawiając z leżącą w łóżku Pelagją, oświadczyła jej, że obiady u pani Kądzielskiej dużo jej czasu pochłaniają. Mogłaby już wracać o 1-ej, a na obiad musi czekać do 3-ej, nieraz i dłużej.

— Zresztą, niebardzo są zdrowe — dodała.

— Niech sy pani u mnie gotuje.

Krzysi o to właśnie chodziło.

— Jeśli pani pozwoli, będę bardzo wdzięczna. O 1-ej przyjdę i w pół godziny już będę miała obiad. Wszystko sobie rano przygotuję.. i dla pani mogę ugotować...

— I pan Jan skorzysta... — wtrąciła — przy jednym ogniu to i dla niego można co ugotować.

— Jeżeli pan Jan zechce.

Pani Pelagja nachyliła się do męża.

— Jermołajkul Poprośno pana Jana!

Tanaś przyszedł. Pani Neczupurna, aczkolwiek osłabiona, opowiedziała treść poprzedniej rozmowy.

— Z miłą chęcią zgadzam się... jeśli tylko pani ten trud przyjmuje na siebie.

— Żaden trud...

Tanaś podał jej rękę i mocno uściskał.

— Dziękuję...

Spojrzał jej w oczy, a spojrzenie jego spotkało się z tym dziwnym wzrokiem, który go tak uderzył przy pierwszym zetknięciu się przy stoliku straganiarki i pociągnął za sobą.

Na pozór nic się w kolokacji nie zmieniło. Tanaś wracał z biura zawsze o tej samej godzinie, Krzysia już była w domu. W białym fartuszkach stała przy piecu i kończyła gotowanie obiadu.

Ażeby przejść do drugiej izby, musiał ją minąć. Skinęli do siebie głową z uśmiechem i mijali się.

Po chwili talerz zupy stał już na stoliku Tanasia.

Tanaś, śledząc ruchy dziewczyny, na której twarzy znać było przepracowanie, nabierał dla niej coraz większej czci i uszanowania.

— Mam wyrzuty sumienia — rzekł z pewnym wybuchem.

Udała, że nie rozumie.

— Dlaczego?

Ujął ją za rękę i przyciskając do ust, rzekł głosem zdławionym trochę:

— Pani wie, dlaczego.

Stało się to tak szybko, że zaledwie miała czas z dłoni jego wyrwać swą rękę i krzyknąć:

— Co pan robi, panie Janie!..

Były w tych słowach i skarga, i żal, i brzmiało jakieś radosne uczucie.

Na bladą twarz uderzył ostry rumieniec tak nagle, że go ukryć nie zdołała. Odwróciła się i skryła za swoim parawanikiem, jak w twierdzy.

Dziwne uczucie ją ogarnęło: chciało się jej płakać i śmiać się i uciekać gdzieś jak najdalej. Wreszcie utkwiała głowę w poduszkę i płakała, tłumiąc łzy.

Od tej chwili przyspieszyła gotowanie obiadów, ażeby się z Tanasiem nie spotykać.

Zdrowie pani Neczupurnej poprawiać się poczęło. Lada dzień zapowiadała powrót do swojej codziennej służby — do pieca.

Raz, gdy wrócił na obiad, Jermołajko oświadczył mu:

— Przyjeżdżała tu jakaś pani taka szumna... „ajnszpenerem“ zajechała... pytała o pana.

Serce drgnęło Tanasiowi. To mogła być tylko ciotka. Darmo wypytywał, jak wyglądała: Jermołajko opisać nie umiał.

— I cóż powiedziała?

— Nic.

— Jakto? nic?

— Że wróci o piątej.

Odetchnął spokojniej. Nie miał tylko zegarka, aby śledzić minuty czekania.

O 5 ej zaturkotały koła powozu przed domkiem kolokacyjnym. Weszła do pokoju Helena.

Tanaś poskoczył ku niej i, rękę przytuliwszy do ust, długo całował. Na szczęście, świadków tego powitania nie było. Panna Kunegunda, wystroiwszy się, wyszła na przechadzkę; Jermołajko poszedł na pobliską górę Tracenia, zwaną przez lud „Hyclowską“, na której Austriacy wieszali więźniów politycznych. W drugiej izbie leżała sama Pałasia.

Helena, ująwszy głowę Tanasia obiema rękoma, całowała jego włosy, i czoło, i twarz po kolei, szepcząc tylko:

— Mój Tanasieczku kochany... Nabiedowałeś się...

— Jakże zdrowie cioci?

Helena nie odpowiadała na pytanie, tylko, wpatrując się w twarz Tanasia, mówiła:

— Opowiedział mi Buczyński wszystko... wszystko... to taki dobry człowiek.

Tanaś tak był wzruszony, tak był zajęty własnymi troskami, że zapomniał zupełnie o obecności Krzysi za parawanem i mówił tak, jak gdyby sam z ciotką był w pokoju.

— Cóż się stało z Żywotówką? — zapytał.

— Skonfiskowana... sąd nie uznał zapisu ojca... dojrzał w tem chęć uratowania majątku przed powstaniem.

Na to łzy potoczyły się cicho z oczu Tanasia. Chwila była ciężkiego milczenia.

— Uratowałam tylko urządzenie domu... srebra... wywiozłam to przed wyrokiem... Zostało nam jeszcze około 30.000 rubli długu na skrypcie wuja...

Spojrzała na niego i dopiero teraz spostrzegła, że by wychudzony i blady.

— Ależ ty zmizerowany jesteś, biedaku...

Uśmiechnął się milcząco.

— Da Bóg wyruszymy w pole... znowu w nasze strony... poprawię się — zauważył, niby żartując.

Całej tej rozmowy musiała mimowoli wysłuchać Krystyna. Nie chcąc być jednak dalej uczestniczką zwierzeń, zdecydowała się wyjść.

Helena usłyszała szmer za parawanem.

— Ktoś tam jest... — rzekła.

W tej chwili parawan odsunął się i ukazała się Krzysia. Helena trochę podejrzliwie spojrzała na nią.

Dziewczyna zarumieniała się.

— Nie będę państwu przeszkadzać... przeszkadzam bardzo...

Tanaś, ażeby tę przykrą trochę sytuację poprawić, odęzwał się głośno:

— Cioteczko kochana... pozwól, że ci przedstawię moją dobrą i troskliwą żywicielkę.

Helena podała jej rękę.

— Zawstydz mnie pan... pani Bóg wie co sobie pomysli — usprawiedliwiała się zmieszana panienka.

— Wiem, że mój Tanaś nie byłby tak mówił, gdyby pani nie zasługiwała na wdzięczność.

Po wyjściu Krzysi Tanaś opowiedział o swoim życiu i skąd pochodzi jego wdzięczność dla Krzysi.

Teraz położenie Tanasia zmieniło się. Ciotce Helenie udało się jeszcze wydobyć z majątku skonfiskowanego dość znaczną gotówkę i z pieniędzmi wyjechać zagranicę. Zaraz tedy nazajutrz podziękował za służbę Szwindlewiczowi. Mecenas nierad był bardzo, że utracił pożytecznego sobie człowieka, który pracował dla niego jedynie za zupełną kartoflaną.

Helena zamieszkała tymczasowo w hotelu i oglądać się poczęła za wynajęciem mieszkania. Tanaś jeszcze czas jakiś pozostać miał na Źródlanej. Ten kącik nabrał dla niego pamiątkowego uroku.

Po długich rozmowach z ciotką o przeszłości i przyszłości, z uczuciem pewnego zadowolenia chronił się do swego mieszkania „kątem“, które mu przypominało, że do czary jego młodego życia, gdzie się tak wcześniej znalazła gorycz, los dodał także kropelkę rozkoszy. Jakkolwiek z Krzysią widywał się mało, rozmawiał rzadko, czuł jednak, że tę skromną i dobrą dziewczynę pokochał i sprawiłoby mu to przykrość, gdyby się z nią rozstać musiał. Chwilę tę sama Krzysia zbliżyła.

Nazajutrz pani Neczupurna już z łóżka wstała i oświadczyła, że rządy domu w swoje ręce bierze. Z tego skorzystała Krzysia.

— Moja służba przy kuchni kończy się — rzekła po obiedzie, starając się słowom swoim nadać ton żartobliwy.

— Dlaczego?

— Najprzód, że pani Neczupurna już jest zdrowa, a następnie, że ja od jutrzejszego dnia opuszczam to mieszkanie.

Tanaś doznał uczucia, jak gdyby go ktoś szpilką w serce ukłuł.

— Zostawia mię pani na zupełną samotność.

W słowach tych brzmiał niby żal, niby wyrzut.

Krzysi zrobiło się bardzo przykro.

— Bardzo mi tu dobrze było — rzekła — ale trochę za daleko od pani Kądzielskiej... chcę bliżej mieszkać... więcej będę miała czasu do pracy.

Tanaś zamyślił się.

— Pani powiedziała w czasie przeszłym, — teraz nie jest pani dobrze?

— O, nie! Tylko... daleko.

Ten jeden wyraz „daleko“ był zupełnie wystarczającym dla pani Neczupurnej.

Po wyprowadzeniu się Krzysi rozpoczęły się dopiero pochwały dziewczyny:

— Takie to małe, a takie pracowite stworzenie — zauważyła pani Pelagja.

— Co weźmie, to się u niej pali w ręku... Jak pani była chora, to ona gotowała nie tylko dla siebie, ale i dla tego pana, a tak to wszystko szło jej składnie.

— Ręce zgrabne — uzupełniła Neczupurna.

— To już się takim człowiek musi urodzić — zakomładował Jermołajko, wyjmując fajkę z ust.

Uwaga ta nie podobała się Pałasi.

— Czemu ty się lepszym nie urodziłeś? co?

Jermołajko zamilkł pokornie.

XIV.

Tanaś nie wiedział, gdzie się przeniosła Krzysia.

Przeżywał dziwny okres życia. Z jednej strony trapiła go niepewność jutra, to ciągłe oczekiwanie dalszej walki z Moskwą i coraz trwożliwsze wieści z placu boju, z drugiej potęgowało się uczucie miłości dla Krzysi. Tak mało komunikowali się ze sobą, a jednak, gdy jej zabrakło, zdało mu się, że w jego życiu wytworzyła się jakaś wielka próżnia, której niczem zapełnić nie umiał.

Krótkie „dzień dobry“ i „dobry wieczór“, które codziennie słyszał od niej, wystarczały mu na cały dzień. Teraz chodził jakiś oszołomiony i niespokojny.

Obiady przestał jadać u pani Pelagji, ale na noc regularnie przychodził. Helena tymczasem zatroszczyła się o najęcie mieszkania i urządzenie się jakie takie. Minęło tak dni kilka. Właśnie wypadł czas płacenia komornego. Wręczając pieniądze Neczupurnej, Tanaś zauważył:

— Proszę pani... ja niezadługo zapewne opuszczę mieszkanie moje... będę mieszkać z ciotką.

Pani Pelagja przyjęła tę wiadomość spokojnie i z rezygnacją.

— To si wi... pocóż się panu poniewierać po cudzych kątach. Szkoda pana... — dokończyła z uczuciem litości. — Niech pan powi tylko, kiedy.

Chodziło o to, ażeby wywiesić kartkę.

— Niech pani już dzisiaj kartkę wywiesi... ja mogę w każdym czasie mieszkanie opuścić.

Pałasia spojrzała na niego zdziwiona.

— Ta jakże? Pan przecie zapłacił...

— To nic nie znaczy... nie chcę pani robić zawodu.

Amator na „kąt“ nadspodziewanie prędko się znalazł. Wiadomością tą ucieszył się i Tanaś.

Pomilczał chwilkę, a potem rzekł:

— Wie pani... ja już dzisiaj mogę mieszkanie uwolnić... nawet zaraz... jeśli pan Jermołaj ma czas, niech zawoła dorożkę, a ja rzeczy zabiorę.

Jermołajko z ochotą zgodził się. Tanaś zabrał książki, Jermołajko kuferek; kołdra i poduszka zostały. Spostrzegła to Pałasia.

— Jeszcze kołdra...

— Niech to zostanie dla pana Jermołaja.

Jermołajko nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

— Ta co? Kołdra tyż?

— I kołdra także.

Stojąc na uboczu, Pałasia trąciła męża łokciem.

— Ta podziękujże, capie, panu!

Jermołajko uśmiechnięty podziękował, skinąwszy roz-wichrzoną czupryną.

Przy wyjściu Tanaś podał rękę Kunegundzie, która, zdziwiona tym niezwykłym faktem w jej życiu, zatrzymała w powietrzu ciągle w ruchu będące druty i wybąkała:

— Niech Bóg prowadził!

Jermołajko towarzyszył Tanasiowi aż do powozu. Pałasia przez okno patrzyła i widziała wyraźnie, jak Tanaś coś w rękę mężowi wetknął, a Jermołajko kłaniał się i trząsł głową.

Gdy wszedł do izby, wnet go zaatakowała Pałasia:

— Co ci pan dał?

— Ta co dał? Szóstkę.

— Nieprawda... pokaż!

Jermołajko trzymał garść ściśniętą; nie miał jeszcze czasu schować pieniędzy do kieszeni.

— Pokaż!

Uchwyciła go za rękę i otworzyła garść. W jednej sekundzie porwała pieniądz — był to nowiuteńki srebrny gulden.

— Jezusieńku! — zawołała — to ci dobre panisko! Panno Kunegundo! Niechno pani popatrzy! Ten pan dał Jermołajkowi guldena, nowiusieńki... nawet z rokiem terazniejszym.

Z drugiej izby przysunęła się powoli Kunegunda, spojrzała na pieniądz i rzekła swoim flegmatycznym głosem:

— Rychtyk... nowiuteńki...

Pałasia patrzyła na guldena i kiwała głową:

— Co pan, to pan; bo to i grzeczny i dobry. Nasz chłop nafuka, nałaje i jeszczeby ze skóry obdarł.

Jermołajko słuchał, westchnął i rzekł z miną pokorną:

— Ta dajże mi, Pałasiu, choć szóstkę na tytoń...

Tanasiowi ogromnie ciążyło próżniacze życie, jakie wraz z innymi, w oczekiwaniu wyjścia w pole, pędzić musiał. Mieszkał wprawdzie z ciotką, która troszczyła się

o wszystkie jego potrzeby, ale co miał robić z czasem? Chodził do biblioteki Ossolińskich i czytał, ale po drugiej już stałego zajęcia nie miał.

Ażeby przecież czemś umysł zająć, począł spisywać ostatnie wypadki z powstania na Rusi — za świeżej pamięci. Najmilszą mu była rozmowa z ciotką o niedawnej przeszłości, chociaż tyle ona zawierała goryczy i rozczarowań. Smutno mu było, że od grobów rodzinnych, z ziemi rodzinnej wyrwany został jak roślina i rzucony na drogę życia, niewiadomo dokąd prowadzącą.

— Wie ciocia? — rzekł pewnego wieczora — ja z trwogą o swojej przyszłości myślę.

— Cóż tam znowu za chmury?

— Wrócić nie mogę, a gdybym nawet wrócił — to co tam po mnie? Tu siedzieć beczynnienie — jeszcze gorzej. Zaczynam tracić wiarę... zdaje mi się, że nasza sprawa już przegrana.

— Nie bluźnij! — odrzekła mu surowo. Ludzie umierają, ale narody nie.

— Cóż z tego, gdy nam nie danem będzie oglądać rezultatów pracy naszej i ofiar.

Helena wpatrzyła się w niego.

— A cóżby była warta nasza praca, gdyby się nie wiązała z przyszłością? Jeśli rzeczywiście powstanie upadnie, to trzeba tylko zmienić charakter pracy... i tu pole będzie wielkie... oby do uprawy jego ludzie stanęli!

— Straciliśmy wszystko... — wtrącił Tanaś zamyślony.

— Polska straciła więcej, bo wolność.

— Cóżby ciocia myślała robić?

— To, co nasi praojcowie z pokolenia w pokolenie robili: orać ziemię, pilnować ziemi; a reszta w rękę Boga.

— Jakże to ciocia rozumie?

— Posiadamy niewiele, ale dosyć, aby kupić kawał ziemi i na niej pracować.

Tanaś zamyślił się.

— Może to jeszcze byłoby najlepsze.

Ciotka Helena spostrzegła w Tanasiu ogromną zmianę: dawny jego wesoły, żywy temperament nabrał pewnej nierówności. Na tem młodem czole, gdzie niedawno jeszcze świeciła radość życia, wisiało ciągle zamyślenie. Zdawało się jej niekiedy, że ukrywa jakąś tajemnicę, która go męczy. Przypisywała to z jednej strony ogólnemu położeniu, które go niewątpliwie trapiło, a z drugiej temu dziwnemu ochłodzeniu się uczuć patryjotycznych, [z jakimi trzeba było stykać się niemal codziennie. Zdawało się, że dawny zapał do walki ostygł, że ta maszyna, którą nazywano „rządem w Galicji“, coraz słabiej i niedołężniej działa.

Niepokojącem na przyszłość zdawało się także stanowisko Austrii — ostre wobec Polaków i bezwzględne. Miało się nieraz wrażenie, że stosunki między obu rozbójniczymi sąsiadami, napięte dotychczas, poprawiły się, a rezultatem tego było wzmocnione prześladowanie tej garstki powstańców, która schroniła się do Galicji. Zwiększona czujność policji utrudniała większe skupienie się.

Pewnego popołudnia, gdy Tanaś wracał z biblioteki Ossolińskich i nawrócił już na Chorążczyznę, żandarm w pełnym rynsztunku zastąpił mu drogę:

— Halt! — usłyszał tuż w nos rzucone.

Tanaś zachnął się. Żandarm stał i milczał.

— Pan Jan Grzegórczyk?

— Tak.

W tej chwili ręka żandarma wyciągnęła się ku niemu życzliwie.

— Jakże się pan miewa? Nie poznaje mnie pan?

Był to ten żandarm, który go na granicy śpiącego przydybał i do Lwowa odesłał.

— W pierwszej chwili nie poznałem pana. Jakąż mi pan wielką radość sprawił! Cóż pan tu robi? Przeniesiony może?

— Nie. Na dwa dni po służbie przyjechałem.

Tanaś rzeczywiście cieszył się, że spotkał tego doł brego człowieka, prawdziwego dobroczyńcę swego. Uczu- potrzebę odwdzięczenia się mu czemkolwiek.

— Cóż pan dziś wieczorem robi? — zapytał.

— Nic — brzmiała krótka odpowiedź.

— Niech mi pan zrobi wielką przyjemność...

Nie śmiał dokończyć.

— Cóż takiego? Jeśli mogę...

— Niech pan ze mną dzisiaj kolację spożyje... Bar- dzo pana o to proszę.

Żandarm zawahał się chwilę.

— Niebezpiecznie — zauważył. — Nie dla mnie, ale dla pana. Ludzie patrzą tutaj podejrzliwie na każdego, kogo widzą w towarzystwie żandarma.

Uwaga była słuszna, ale oburzyła Tanasia.

— Nic sobie z tych patryotycznych krzykaczy nie robię!

I powtórzył z akcentem:

— Proszę pana bardzo!

Żandarm nie oponował.

— Zatem o 8-iej na Trybunalskiej. Będę czekać pana.

— Dobrze.

To najmniej oczekiwane spotkanie wielką radość spra- wiło Tanasiowi. To też wszedł do domu z rozpromienioną twarzą. Ciotka odrazu spostrzegła zmianę.

— Cóż tam ciekawego? — spytała.

— Proszę sobie wyobrazić: spotkałem tego żandarma który mnie od więzienia uratował.

Helena nie zmiarkowała odrazu, o co chodzi.

— Jakiego żandarma?

— Opowiadałem przecież cioci: tego, który mnie spot- kał na granicy śpiącego.

Po chwili dodał:

— Zaprosiłem go na kolację dzisiaj do restauracji... Musiałem mu w jakikolwiek sposób okazać swoją wdzięczność.

Cioci nasunęła się ta sama uwaga, co i żandarmowi.

— Trochę niebezpiecznie — rzekła. — Tu panuje manja wyszukiwania szpiegów... Wiadomo przecież, że i na Kaczkowskiego rzucono podejrzenie.

Tanaś odpowiedział uspokajająco:

— Restauracja drugorzędna... Kto chce szpiegować, ten do Żorża pójdzie...

Niedługo Tanaś oczekiwał na przybycie żandarma. Usiedli w ustronnym kąciku i rozmawiali. Nikt na nich najmniejszej uwagi nie zwracał.

Z początku rozmowa szła trochę twardo. Miało się wrażenie, że obaj lękają się siebie wzajemnie, ale powoli szczerze usposobienie ogarniało coraz bardziej obu. Czuli, że się wzajemnie obawiać nie potrzebują. O ile Tanaś był w swoich uczuciach bardziej wylany i otwarty, przyzwyczajony do wypowiadania się w towarzystwie równych sobie, o tyle żandarm był powściągliwy. Otaczała go atmosfera nieprzychylna Polsce, złośliwa; musiał tedy uczucia swoje patryotyczne nie tylko hamować, ale tak trzymać na wodzy, aby nikt nie domyślał się nawet, co się w jego duszy kryje. Nie chciał się narazić nie tylko na uszczypliwe sarkazmy, ale i donosy służbowe, które pozbawiłyby go wraz z żoną i dziećmi kawałka chleba.

Zachowywał się przeto i wobec Tanasia z pewną ostrożnością.

— Ja spojrzałem tylko na pana — rzekł, ośmieliwszy się trochę — i odrazu poznałem, że pan powstaniec... że stamtąd uciekasz... dzień nie mija, żeby się dwóch trzech nie zatrzymało. Który z nas litościwszy, to albo pozwoli uciekać, albo udaje, że nie widzi. Najzłośliwsze psy to są żandarmy Rusini. Niemiec czasem puści, a Rusin nie daruje nigdy.

— Słyszałem, że straż wzmocniono na granicy.

— I jak jeszcze! Parę miesięcy jeszcze temu to Austria niby przychylna była powstaniu. Patrzyła przez palce, niby nic nie wiedziała; ale teraz strasznie surowy nakaz z Wie-

dnia przyszedł — łapać wszystkich podejrzanych, nie puszczając nikogo.

— Podobno jednak ma się przemknąć jedna partja — wtrącił niby od niechcenia Tanaś.

— Nie puszczaj! — rzekł żandarm głosem stanowczym, nachyliwszy się do ucha Tanasia — kordon wojska wzdłuż granicy wysunięty.

— A są jakie wiadomości z za kordonu? z Lubelskiego?

— Tu i ówdzie są jeszcze małe partje, ale to już koniec.

Powiedział to sucho, spokojnie, tonem pilnego obserwatora, który zdaje raport.

Tanasiowi okrutnie zrobiło się przykro.

— Może to jeszcze nie koniec — pocieszał sam siebie. — Przecie Francja i Anglja obiecywały nam do-pomóc.

Żandarm pokiwał głową.

— Oj, wy panowie, panowie! Mądrzy jesteście, uczeni, a byle kto złapie was na piękne obietnice.

— Widzi pan — rzekł po namyśle — Polacy teraz w modzie... wszyscy o nich mówią...

Uśmiechnął się.

— Jak moda bywa na kapelusze i surduty, tak samo i na narody, ale moda mija prędko. Mówić o Polsce to znaczy myśleć liberalnie, gadać gładko. Francja gadać lubi, a ludzie lubią pięknego gadania słuchać. Ale co zrobiła? Nic. Anglja? Pan wierzy Anglji?

Pokiwał głową i zaśmiał się.

— Widzi pan — ciągnął — ja jestem prosty człowiek i poprostu sobie tłumaczę. Cała Anglja to jeden wielki kupiec, a kupiec ma tylko jedną politykę swoją — aby jak najwięcej zarobić. Kiedy cały świat o Polsce mówi, Anglikowi nie wypada milczeć. Pięknie więc gada, bo to — liberalnie, i myśli sobie: może co od Rosji wytarguję? On wie, że dopóki Rosja Polskę trzyma w pazurach, nic

z Polski nie weźmie. Gdyby Polska była wolna, onby tu zaraz zjawił się i cichutko zagarnął wszystko w swoje łapy. My znamy ludzi: złodziej czasem prawdę powie, ale kupiec nigdy, bo on nieprawdą bogaci się i z nieprawdy żyje. Wierzyć Anglikowi i żydowi — to wszystko jedno. On będzie mówił codzień co innego, a zawsze tylko to, co jest dla niego z pożytkiem.

Wobec tych prostych słów i sądów Tanasiowi strasznie malały nadzieje na Francję i Anglię.

— Bardzo pan czarno sądzi przyszłość.

Żandarm rzekł tonem stanowczym:

— Na siebie tylko liczyć! A od przyjaciół tak samo trzeba się mieć na baczności, jak od nieprzyjaciół.

Powstał z za stołu.

— Chodźmy... już późno...

Jakoż rzeczywiście jedenasta wybiła na ratuszu.

Weszli na Rynek. Od strony Krakowskiej ulicy gwar dolatywał, śpiewy. Stanęli na rogu i przysłuchiwali się. Gromadka rozbawionych ludzi wysypała się z kawiarni zwanej „Piekielko“ i jakby dalszy ciąg rozmowy, słysząc było nierówny, nieharmonijny śpiew:

Struś, Struś, Struś

Śpieszy się na Ruś.

Oj, nie śpiesz się, mój ty Strusie,

Bo cię nie chcą tam na Rusie.

Nie śpiesz się, oj nie:

Nikt nie wzywa cię...

W wąskiej ulicy wśród cisy nocy każdy wyraz jak bomba wpadał do ucha Tanasia.

— Śpiewają... wesoło im — odezwał się nie bez ironji żandarm.

Na tę uwagę Tanaś nie odpowiadał. Podał tylko rękę żandarmowi.

— Pan idzie na Dominikańską, ja na Halicką. Do widzenia! Dziękuję panu za wszystko... za wszystko... Pragnąłbym jeszcze kiedy uścisnąć dłoń pańską. Do widzenia!

Tanaś, pożegnawszy się z żandarmem, powoli wracał do domu przygnębiony i smutny. To, co słyszał z ust żandarma, równie było przykre, jak i piosnka śpiewana na ulicy.

Nikt nigdy Strusia nie widział we Lwowie, ale nazwisko to stało się bardzo popularnem z chwilą, gdy przez rząd polski został mianowany jeneralnym komisarzem wojskowym na Galicję Wschodnią. Żadna ważniejsza sprawa nie obeszła się bez tego, ażeby jego tajemnicze nazwisko nie było wymówione. Kto to był? jak wyglądał? Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, nikt nie oglądał go nigdy. Mówiono o czynach Strusia, ale jego osoba była mitem. Śpiewano o nim piosenki, ale jego nikt nie widział. Pułkownik Struś był pewnego rodzaju legendą.

Szeptano sobie, że organizuje wyprawę na Ruś; ale czy to prawda? Kto nią będzie dowodzić? Najgłośniej wymieniano nazwisko jenerała Różyckiego, który, ustępując pod naporem wojska moskiewskiego, cofnął się do Galicji; ale inni mówili, że go w Galicji wcale niema, że siedzi w Paryżu. Może nawet umyślnie rozpuszczano takie pogłoski, może umyślnie wywyższano stanowisko pułkownika Strusia, ażeby pokryć przygotowania Różyckiego.

W takim oczekiwaniu czas przepędzał i Tanaś, widując się tylko niekiedy z Buczyńskim. Nowych znajomości unikał, bo i pocóżby je miał zawierać? Rozkaz wy marszu mógł przyjść nagle.

Coraz częściej stawała mu tylko przed oczyma Krzysia. Prześladowała go jej postać — szła przed nim, jak ongi, kiedy ją po raz pierwszy spotkał, czuł cień jej obok siebie. Ani zapomnieć o niej, ani się pozbyć jej niewidzialnego towarzystwa nie mógł.

Nieraz stawało przed nim pytanie: czy to przeznaczenie? W takim razie pocóż walka ze sobą samym? Czy nie lepiej poddać się mu spokojnie i w nowych warunkach

szukać nowego życia dla siebie? Ciotka kilkakrotnie wspominała o kupnie folwarku...

Staął znowu przed nim ponętny obraz wspólnej pracy z ukochaną kobietą, bo z tamtą daleką Rusią coś go teraz łączy? Wspomnienia, kości niewiadomo gdzie spoczywające, prochy niewiadomo z czyją ziemią zmieszane, garść złudzeń górnych i zakończonych boleśnie... „Tęgo już się chyba przez całe życie nie pozbędę... Będą one wlokły się za mną nieodstępnie aż do grobu... A mój grób gdzie będzie?”

Pewnego popołudnia zdjęła go chęć pójść na Wysocki Zamek. Bardzo rzadko tam chodził, ale lubił to wzgórze dzikimi krzakami porośłe, te resztki szarych murów, potęgą Kazimierza Wielkiego wzniesionych, które tyle razy opierały się nawale wrogów.

Szedł wąską drogą, otaczającą podstawę góry, i zatrzymał się w tym punkcie, gdzie droga, lipami niegdyś sadzona, wiodła ze Lwowa do Żółkwi. Lipy Sobieskiego świeciły już tylko nagimi żebrami, z pośród których wychylały się jeszcze żywe gałęzie o liściach warstwą białego kurzu pokrytych. Droga wiodła równo, jak strzała, aż pod górę do Zboisk i tam stykała się z horyzontem.

Tak niedawno jeszcze tą drogą obdarty, brudny i obrabowany jechał do Lwowa.

Nawrócił w aleję kasztanową.

Cisza zbliżającego się wieczora; pełno ozonu i zapachu. Na skrócie ukazała się postać niewieścia. Szli naprzeciwko siebie.

— Czy to nie ona? Jej ruchy przecie... jej kibić...

Zrównał się z nią — Krzysia.

Oboje byli trochę zmieszani tem spotkaniem przypadkowym, a tak mającem wszelkie pozory umówionego.

— Dobry wieczór pani! — rzekł, uchylając kapelusza.

Usłyszał w odpowiedzi takie same „dobry wieczór”, jakie codziennie słyszał na Źródlanej. Dźwięk tych wyrazów miał dla niego niezwykłą słodycz i dobroć.

Stan nieprzychylności i złośliwych żartów przybrał wkrótce charakter otwartej wojny. Pewnego ranka Tanaś, wstawszy, wyszedł na dziedziniec, ażeby się umyć. Wróciwszy, ubrał się i sięgnął machinalnie do kieszeni, w której chował pugilares. Pieniądzy nie było.

Zaniepokojony odezwał się głośno:

— Zginęły mi pieniądze!

Na to powstała powszechna wrzawa.

— Tu złodziejów między nami niema! — posypały się protesty. — Obrażasz pan wszystkich podejrzywaniem o kradzież.

— Nie podejrzywam nikogo.. przepraszam... mówię tylko, że mi pieniądze zginęły.

— Mówisz pan do nas! To obraza! Precz z paniczem!

— Precz z paniczem! — krzyczano ze wszech stron. My jesteśmy demokraci, a między demokratami złodziejów niema.

— Moi kochani koledzy! — odezwał się Tanaś nie bez ironji — ja nikogo nie posądzam, bo nie mam najmniejszego do tego powodu; ale pieniądze zginęły, to nie ulega wątpliwości, a nie jestem tak naiwnym arystokratą czy demokratą, abym przypuszczał, że anioł wyjął je z kieszeni.

Zdziwiło go to, że najgłośniej piorunował właśnie ten, który był dla niego najbardziej uprzejmy.

Nie chcąc przedłużać sporu, nałożył czapkę i wyszedł.

Przed kościołem św. Antoniego spotkał się z panią Magdaleną, która właśnie wracała z targu, a tuż obok niej pacholek na ręcznym wózku wioził worki z krupami.

Przywitał ją uprzejmie, ale ze smutną miną, bo nie mógł ukryć tego, że strata, którą poniósł, sprawiała mu wielką przykrość.

— A dokądże to Pan Bóg tak wcześniej prowadzi? — spytała.

— Nie wiem... mam zmartwienie... chcę się przejść trochę.

Pani Magdalena ze współczuciem spojrzała na niego.

— Cóż się tam stało? Zmartwienie? Cóż tam nabroili te łobuzy?

— Ot, nie warto mówić.

— Może się przecież złe da naprawić?

— Co przepadło, to przepadło — wymknęło mu się. Pani Magdalena w dłonie klasnęła:

— No, to już wiem, o co chodzi... Okradli pana pewnie, co? Bożeńku mój miły! Nic dziwnego... toż to zbieranina... jeden idzie do wojska, aby się bić, a drugi, aby się lampartować. Zawiadomić policję...

— Poco? Strata się nie znajdzie, a hałasu i gadania będzie dużo... powiedzą, że...

— Co powiedzą, to powiedzą, ale może się pieniądze znajdą.

— Złodziej lepiej chowa, niż policja szuka.

— Przemówię im do sumienia.

— Niech pani tego nie robi... bardzo proszę...

Rozstali się.

Tanaś, idąc bez celu, rozmyślał nietylko o swoim próżniaczem życiu, ale i o tem, że przecież trzeba się oglądać za jakimś zajęciem, aby biednej kobiecie nie być ciężarem i coś zarobić. W każdym razie szedł z mocnem postanowieniem, żeby nie być darmozjadem i towarzystwo swoje opuścić. Myślał, że najlepiej będzie, gdy zasięgnie rady Buczyńskiego, z którym oddziałem przedostać się najłatwiej do Kongresówki, jeśli rzeczywiście formacja oddziałów, przeznaczonych na Ruś, przeciągnie się zbyt długo.

Przeszedł przez plac Bernardyński, gdyż niedochodząc do hotelu George'a uderzyła go kartka, przyklepiona na drzwiach wchodowych do domu: „Poszukuje się pisarza do kancelarii adwokackiej na kilka godzin pracy. I-sze piętro, drzwi wprost“.

Zatrzymał się.

— Spróbuję... — pomyślał. Zawsze to lepiej mieć jakieś zajęcie, niż wałęsać się po mieście.

Poszedł na piętro. Na drzwiach była tabliczka: „Kancelarja adwokacka Alojzego Szwindlewicza“.

Wszedł. Przy biurku siedział maleńki człowieczek łysawy, chudy, starannie ogolony, o odstających, przezroczystych uszach, przeświecających się do słońca, o dużym, suchym, zagiętym w dół nosie. Ujrawszy obcego człowieka przyzwolicie ubranego, zerwał się z fotelu jak piłka gutaperkowa.

— Czem mogę służyć?

Tanaś wyluszczył powód swego przyjścia.

Twarz dr. Alojzego Szwindlewicza z uprzejmej i słodkiej przybrała maskę zimną i sztywną.

— Przepraszam — zauważył obojętnie — już prawie zajęte.

— Ale tylko „prawie“?

Pan mecenas uśmiechnął się sztucznym uśmiechem. Rzucił badawcze spojrzenie na Tanasia.

— Czy potrafi pan pisać bez błędu? — zapytał — bo tego nie jestem pewny.

— Potrafię.

— Przeszedłeś pan jakie szkoły?

— Przeszedłem.

Chciał mu powiedzieć, że uniwersytet skończył, ale się powstrzymał, ażeby się nie zdradzać ze swoim położeniem.

— Płaciłbym panu — rzekł słodko Szwindlewicz — sześć złotych reńskich miesięcznie... praca w kancelarji od 10-ej do 1-ej... Czy potrafiłbyś pan mnie mały „koncept“ napisać?

— Koncept? Przepraszam, nie rozumiem, o co chodzi?

— Pan nie tutejszy... — połapał się odrazu mecenas — napisać, na przykład, podanie, skargę...

— Tyle zapewne potrafiłbym, gdybym wiedział, jakie jest uzasadnienie prawne.

— O ustawy panu chodzi? O tak zwane paragrafy? Wskazałbym je...

Po bliższych wyjaśnieniach Tanaś zgodził się przyjąć to zajęcie i prosił o wstrzymanie się do jutra, o 10-ej da odpowiedź.

Od mecenasa Szwindlewicza poszedł wprost do Buczyńskiego. Był to we Lwowie jedyny człowiek, do którego miał zaufanie. Opowiedział o swojej przygodzie.

— Przyznam się panu, że strata pieniędzy mało mnie martwi, w każdym razie mniej, niż towarzystwo, w które wpadłem i z którego postanowiłem się wydobyć.

— Ulokuję pana w innym miejscu.

— Dziękuję... narazie przynajmniej. Znalazłem zajęcie.

— U kogo? Gdzie? Tak szybko?

— U Szwindlewicza... adwokata...

— Ten cię obrabuje w inny sposób... krew z ciebie wycisnie. Ileż ci będzie płacić?

— Sześć reńskich miesięcznie.

Buczyński w ręce klasnął.

— Ach, to szubrawieci!

— Jakiś czas pobieduję, zanim się z domem skomunikuję.

— Gdyby ci wszakże było bardzo ciężko, przyjdź do mnie... może się jaka rada znajdzie.

XII.

Tanaś rozpoczął pracę u adwokata, ale mieszkał jeszcze na Łyczakowie. Począł przemyśliwać nad tem, w jaki sposób uwolnić się od przymusowego towarzystwa w domu pani Magdaleny.

Po obiedzie nie miał już żadnego zajęcia, zapoznawał się przeto z miastem i najbliższymi okolicami. Codziennie w inną stronę chodził. Zabłąkał się wreszcie w dzielnicę żydowską na Grodeckie.

Na rogu przeczytał napis: Ulica Źródłana. To go zaintrygowało.

— Coby to mogła być za ulica? Czy do źródeł prowadzi, czy źródła posiada?

Jak człowiek, który błąka się bez celu, poszedł tą ulicą. Wyginała się ona łukiem koło gmachu więzienia. Z początku były domy piętrowe, a coraz dalej stały podmiejskie domki, murowane, podobne do siebie z nędzy — miały ogrodzenia z drzewa niekiedy podparte od ulicy, aby co nie spadło na kogo, niekiedy brakło w nich desek zupełnie, a mury brudne i obszargane były świadectwem ubóstwa mieszkańców tej dzielnicy.

Na zakręcie ulicy był sklepik straganiarki. Składał się on ze stolika, na którym stało rzędem kilka pudełek, wypełnionych taniemi cukierkami, suto farbowanemi na czerwono, oblepionych muchami, które, wędrując po powierzchni, obficie raczyły się słodkim podwieczorkiem. Obok stało pudełko z makagigami — ciastkami na melasie zamiast miodu z makiem — wreszcie pierniczki, jak widać, domowej roboty, mniej przez muchy ulubione.

Przy straganie z babą, siedzącą na zydelku, pod wielkim dziurawym parasolem, rozmawiała jakaś panienska.

Mijając stragan, Tanaś rzucił na nią okiem i nieświadomym ruchem nawrócił. Babina, widząc nowego kupującego, podniosła się.

— Ta niechże panienska bierze!... pan czeka...

Panienska odwróciła się i spojrzenia ich zetknęły się. Tanaś usunął się nieco na^{le} stronę.

— Proszę pani... ja nie przeszkadzam...

Panienska odpowiedziała ledwie dostrzegalnym uśmiechem, wsunęła coś do torebki i odwróciła się do chodnika.

Tanaś usunął się nieco na stronę, robiąc jej miejsce — i znowu spojrzenia ich skrzyżowały się. Nic nie powiedzieli do siebie, ale oczy ich miały wyraz wzajemnej dobroci i ustępliwości.

Panienska poszła dalej.

Tanaś kupił za dwa centy miodownika i, stojąc przy straganie, wzrokiem śledził idącą przed nim dziewczynę.

Ludzi na ulicy było mało, ciągle przeto miał ją na oku. Po chwili podążył za nią w tym samym kierunku, przyspieszając kroku, ażeby jej z oczu nie stracić.

Domki na ulicy stawały się coraz rzadsze, coraz lichtsze. Nagle na skrócie ulicy dziewczyna znikła. Doszedł do rogu, spojrział w górę — domów nie było, a zatem musiała wejść do narożnego domu.

Zatrzymał się i rozglądał się wkoło. Daleko przed nim widać było wzgórze jakieś i krzyż na szczycie, a w perspektywie, wśród zieleni drzew, tu i ówdzie błysnęły białe ściany domów. Nad tym krajobrazem smutnym wisiało słońce już ku wieczorowi pochylone i cisza, przerywana szmerem ludzkiego mrowiska, dolatującym zdaleka.

— Jakaż to miła i dobra twarzyczka tej dziewczyny... — pomyślał. — Jakież ja niemądry jestem... błysnął przede mną promień słońca i znikł, a ja gonię za nim.

Nawrócił. W oknie narożnego domu wpadła mu w oczy kartka: „Pomieszkание kątem dla pojedynczej osoby“. — Cóż to znowu za łamigłówka? „Osoba pojedyncza“? Czy może być podwójna? „Kątem“? Coby to mogło znaczyć? Nie miał najmniejszego pojęcia.

O opuszczeniu mieszkania pani Magdaleny myślał oddawna. Posiadał jeszcze parę rubli, schowanych w bocznej kieszeni kamizelki. Pan Szwindlewicz ofiarował mu wspaniałomyślnie sześć złotych reńskich — papierowych oczywiście — miesięcznie...

— Przebiedować można... — myślał — a potem w pole... Może zresztą uda mi się skomunikować z ciotką... Ale towarzystwo, w którym jestem, opuścić muszę stanowczo...

Postanowił przeto wejść do domu, który go wabił taką ciekawą kartką.

Wszedł do korytarzyka, mającego drzwi na przestrzał, prowadzące na dziedziniec. Właśnie w tej chwili z przeciwnej strony od dziedzińca ukazał się jakiś mężczyzna, z rozwichrzoną szpakowatą czupryną, w której sterczały żdzbla słomy i pierze. Czerwona twarz z opryszczonym

również czerwonym nosem świadczyły, że z gorzałką widywał się często, a surdut niewyraźnego ciemnego koloru, brudny i poplamiony, dawał świadectwo o niezbyt wielkiej zamożności. Na bosych nogach, zamiast butów, miał jakieś pantofle, głośno kłapiące o ceglana podłogę.

Ujrawszy Tanasia, spytał opryskliwie:

— Czego się pan tu włóczy?

Nieprzyzwyczajony do takiego akcentu Tanaś stropił się i rzekł zmieszanym głosem:

— Pomieszkanie...

— Pomieszkanie? To co innego... także pan i gadaj...
Chodź pan ze mną!

Otwierając drzwi, huknął w przestrzeń:

— Pałasiu!

Tanaś stał na korytarzu. Z pokoju uderzyła para zgęszczonego powietrza o niezdecydowanym zapachu.

— Czego tam wrzeszczysz? — odezwał się głos ze środka.

— Oś tobi kwatyrant...

— Także i gadaj...

Po tych słowach wysunęła się do progu prawie postać, malownicza nie mniej od mężczyzny. Słusznego wzrostu, o suchej twarzy, w założonym kaftaniku, o wyrazie energicznym i stanowczym.

Mężczyzna czuł się w obowiązku przedstawić:

— Gospodyni... żona moja... pani Pelagja Neczupurna.

Tanaś znał język ruski i na dźwięk wyrazu „neczupurna“ uśmiechnął się. Odpowiadał on rzeczywiście jak najlepiej całej niechlujnej i brudnej postaci pani Pelagji.

Gospodyni dostrzegła uśmiech.

— Czego się pan śmieje? jeszcze nic nie widział.

Tanaś stał w wahającej się postaci.

— Taże chodź pan... nie bój si... nikt pana nie ukąsi.

Na takie zapewnienie Tanaś wszedł.

W pierwszej izbie na lewo był piec warzelny, a na prawo dwa łóżka przy każdej ścianie.

Pani Pelagja ręką wskazała na łóżka.

— Oto moje łóżko, a na tem Jermołajko sypia.

Domyślał się, że Jermołajkiem był jej mąż, ten właśnie, który go w korytarzu powitał.

Pani Pelagja zachęcała trochę strwożonego Tanasia i postępującego nieśmiało.

— Chodźno pan dali... o, widzi pan... to mieszkanie fajne, nie jakieś żydowskie.

Wskazała na kąt, w którym łóżko z siennikiem stało.

— Chciałbym zobaczyć mieszkanie do wynajęcia — wtrącił.

— Taże pan masz mieszkani, o! kątem.

Tanaś miał minę zdziwioną. Pani Neczupurna to dostrzegła.

— A pan jakiego chce? Osobnego pokoju? Chce pan sam, jak hrabia, mieszkać?

— Wcale nie...

Odpowiedź ta zadowoliła Pelagję.

— Jak ni, to ni, niema co wymyślać... Pokój ładny, czysty, dwa okna... mieszkają w nim porządne ludzi... Tu mieszka panna Krystyna...

Rzuciła okiem na kąt, zasłonięty parawanikiem. Kącik wydawał się schludny i czysty. Za parawanem słyszać było szmer.

— Ta pokaż si panna!... czego się wstydzić?.. ładny chłopiec...

Tanaś przyjął komplement chłodno.

Pani Neczupurna brutalnie szarpnęła parawanik. Na krzeselku przy malutkim stoliku siedziała panna Krystyna, ta sama, którą spotkał przy straganie. Sprawilo mu to przyjemność.

Panna Krystyna zwróciła spojrzenie pełne wymówki w stronę gospodyni. Tanaś dostrzegł je; skinął lekko głową w stronę siedzącej i rzekł:

— Przepraszam...

Pani Neczupurna odezwała się:

— Ta za co pan przeprasza?... nic pan złego nie zrobił.
Odwróciła się nagle w tył i na kąt ukazała:

— A tu mieszka panna Kunegunda... kartoflami na rynku targuje.

Panna Kunegunda, siedząc nieruchomo na krzeselku przy łóżku wysoko wysłanem pierzynami, robiła pończochę z szarej, grubej włóczki. Nie patrzyła na rozmawiających. Siedziała spokojnie i szeptem liczyła oczka, które na druty nizała. Była to osoba bardzo podobna do ziemniaka grubego i pękatego, mającego wielką narośl. Ta narośl odpowiadała głowie Kunegundy,

Tanaś rozglądał się po izbie.

— Właściwie — rzekł nieśmiało — to tylko łóżko do wynajęcia...

— Tażè pan widzi... łóżko, a ni stół.

Ton stanowczy i opryskliwy, jakiego używała pani Ne, czupurna, niebardzo był zachęcającym; mimo to Tanaś zapytał:

— Ile miesięcznie?

— Dwa ryńskie sryblem.

Powiedziawszy to, pilnie wpatrywała się w twarz Tanaś, jakby pragnęła wyczytać w niej decyzję.

— Za ty ceny nie znajdzie pana lepszego w całym Lwowie.

— Namyszę się — rzekł, cofając się do drzwi.

— Niech się pan prędko namysła, bo z przed nosa wezmą.

Ażeby rozmowę podtrzymać, Tanaś zapytał:

— A kiedyż można się sprowadzić?

— Choćby zaraz... Ponieważ już jest trzy dni po pierwszym, opuszczę panu dwie szóstki.

Tanaś tyle już wiedział, że „dwie szóstki“ równa się 20 centom.

Oboje małżonkowie konwojowali go aż do korytarza, ciągle mu dogadując:

— Będiesz pan mieszkać nie z „batjarami“ (nędzarzami) z Krakowskiego placu, ale z porządnymi ludźmi z wychowaniem. Mój Jermołajko był woźnym w magistracie, ino przez intrygi wyleli go, że to niby pijak... ja także psu z pod ogona nie wyskoczyłam, a choć mnie pan widzi nieuczesałą i nieubraną — to nic... Mój ojciec miał sklep z obuwem w teatrze od Rynku Krakowskiego.

Jermołajko zachęcał po swojemu.

— Niech si pan namysli... mieszkanie choć dla samego radcy dobre... towarzystwo nie byle jakie.

Potem pani Neczupurna zachęcała:

— Towarzystwo porządne... Ta panienska, którą pan widział — ładna? Prawda?

Uśmiechnęła się, przymrużywszy oko.

— Ona 25 ryńskich co miesiąc „fasuje“... Jest szwaczką u pani Kądzielskiej... Wieczorami też szyje w domu i jeszcze sobie 10 ryńskich dorabia... Bardzo honorna... podobno pańskiego rodu... Ma już trochę „uszparowanych“ pieniędzy.

— A gdzie tu obiady można jadać?

Pani Neczupurna z pewnem zdziwieniem spytała:

— Obiady? Jak pan niebardzo wybredny, to i u nas można. Piec mamy... ja sy codziennie coś przyszcę, to i panu ugotować mogę... doda mi pan na miesiąc pięć szóstek... U pani Kunegundy weźmie się za trzy „nowych“ (centy) kwartę kartofli, za 10 szpyrki albo tłuszczu i taki panu fajny obiad ugotuję, że tylko palce oblizywać... Kartofle są — to chleba kupować nie trzeba... Jeszcze coś panu z tego i na kolację zostanie...

Tanaś słuchał uważnie. Jak na jego chudą kieszeń, budżet pani Neczupurnej podobał mu się.

Żegnając się uprzejmie z gospodarzami, Tanaś zauważył:

— Postaram się dziś jeszcze panią zawiadomić...

— Niech pan przyjdzie — zapraszała Neczupurna — pan mi się podobasz... Widzę, że będę miała porządnego

kwatyranta... O, ja się na ludziach znam... Jak ino pańa ujrzała, zaraz Jermołajkowi powiadam: to jakiś porządny pan... nie pierwszy lepszy batjar z ulicy.

Jermołajko kiwał rozwichrzoną głową:

— Takoj tak! Takoj tak!

Wróciwszy po tej rozmowie z Tanasiem do izby, Pałasia stanęła pośrodku i poczęła gadać:

— To jakiś delikatny pan... Czy pani Kunegunda uważała, jak on się grzecznie uklonił pannie Krzysi, kiedy ja parawan odsunęła?

Pani Kunegunda przestała robić pończochy, a trzymając w powietrzu druty i kiwając głową, mówiła z namaszczeniem:

— To si wi... to si wi...

Ale rozgadana Pałasia nie zadowolila się opinią pani Kunegundy, jeno wołać poczęła:

— Panno Krzysiu! Panno Krzysiu! A prawda?

Parawanik odsunął się i ukazała się łagodnie uśmiechnięta twarzyczka panny Krzysi.

— O co to chodzi?

— No — o co? O tego ładnego chłopca, co tu był. Jak on się ładnie panience uklonił i powiedział „przepraszam“, choć nic złego nie zrobił.

Krzysia milczała.

— Ale prawda, że ładny chłopiec? — nalegała na odpowiedź.

— Pani się podoba?

— Mnie? Takoj tak — odpowiedziała Pałasia.

Kunegunda zaśmiała się rubasznie, a Jermołajko odezwał się:

— Czy on tu przyjdzie, to jeszcze widłami pisano.

Pałasia obraziła się.

— Ty się tam w magistracie nauczył widłami pisać, to też oni tobie i pensję widłami wypisali.

Jermołajko, zamilkł, wyszedł obrażony do drugiej izby, do fajki napchał tytoniu i palić począł.

— A mnie się widzi, że on tu wróci — ciągnęła Pałasia — prawda, panno Krzysiu?

— Nie wiem... — I parawanik zasunął się.

Tanaś, wyszedłszy na ulicę, począł rozmyślać: sprowadzić się tu, czy nie? Miał zajęcie i niewielką pensję u Szwindlewicza, trochę jeszcze pieniędzy — mógł czekać stanowczego rozwiązania.

Niebardzo mu się podobał pan Neczupurny i jego godna małżonka; sąsiedztwo z panią Kunegundą nie wydawało się także zachęcającem; ale zawsze lepiej tu będzie, niż w tem towarzystwie hultajskim, w jakie przypadek go rzucił.

Wrócił tedy i zapukał do drzwi. Z izby posłyszał głos:

— Ta jakie tam лихо?... proszę wejść.

Wchodząc, zetknął się z panią Pelagją.

— Zdecydowałem się tu zostać... — rzekł.

— Byłam pewna, że pan wróci. Kącik suchy, spokojny, jasny... Będzie tu jak u Pana Boga za piecem...

XIII.

Po wyjściu Tanasia pani Neczupurna, trzymając w ręku papierowego guldena, którego otrzymała jako zadatek, z tryumfem krzyknęła:

— A co? Nie mówiłam? Takoj wrócił.

Parawanik panny Krzysi odsunął się i ukazała się jej blada twarzyczka zaciekawiona.

— Czego się pani tak cieszy? — spytała.

— Z dobrego kwatyranta... Będzie pani miała sąsiada. Na męża krzyknęła:

— Jermołajko! A pamiętaj, żebyś jutro rano łóżko ługiem wymył, z pluskiew oczyścił i świeżej słomy dał do siennika.

Jermołajko kiwał rozwichrzoną czupryną.

— To si wi, to si wi...

— Jutro pójdziesz do niego... trzeba rzeczy przynieść...

Jakoż rzeczywiście nazajutrz po południu Tanaś, opuściwszy kancelarię Szwindlewicza, poszedł wprost na Źródlaną, a stamtąd, już w towarzystwie Jermołajka, na Łyczakowską.

Na szczęście towarzyszy jego nie było w domu. Zabrał więc maleńki kuferek, koldrę i poduszkę sianem wypchaną i razem z Jermołajkiem odnieśli do nowego mieszkania.

Pani Neczupurna okazała się o wiele łagodniejszą niż przedtem, bo do łóżka dodała niewielki stolik i zydelek. Krzesła zbywającego w domu nie było.

Rozpoczęło się nowe życie.

Spokojnem swoim i uprzejmem zachowaniem się Tanaś powoli jednał sobie sympatię tej różnorodnej podmiejskiej kollokacji.

Wychodził o dziewiątej rano, wracał dopiero na obiad — według układu pani Neczupurnej. Wychodząc, zostawiał jej codziennie 15 centów i zupełną swobodę robienia z tem, co jej się podoba. Pani Pałasia była kobietą szorstką, ale uczciwą. Od pani Kunegundy umiała zawsze parę kartofli ponad miarę dostać, tłuszczu i „zielonego“ kupowała za osiem centów, a w ten sposób oszczędzała na tydzień czternaście centów, za które dawała co niedziela kawałek mięsa.

Rozpoczęło się życie jednostajne, równe, z odmierzonemi godzinami. Z początku wstydziło go towarzystwo, bardzo odbiegające od tej skali życia, do jakiej był przyzwyczajony. Ale nie było wyjścia — tylko czekać i pogodzić się z tem, co jest.

Jermołajko zameldował w policji jego kartę pobytu na imię Jana Grzegórczyka, to też wszyscy go panem Janem nazywali, a Pałasia z dumą chwaliła się przed sąsiadkami, że ma „kwatyranta“, który u adwokata pisze.

Nie wiedziała tylko, że adwokat za to pisanie kilkogo-
dzinne płaci „sześć ryńskich“.

Karta pobytu Tanasia nic im nie mówiła, była tylko
świadcstwem, że nie jest stałym mieszkańcem Lwowa;
ale cała postać młodzieńca, jego zachowanie się uprzej-
me, jego sposób wyrażania się, tak odmienny od tego
akcentu, jakim posługiwano się na ulicy Źródlanej, świad-
czyły, że nie należał on do ich sfery. Był przeto dla oto-
czenia swego pewnego rodzaju zagadką. Zagadkowość
zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy pewnego dnia na
stoliku Tanasia zjawilo się kilkanaście małych książeczek
z biblioteczki Władysława Mickiewicza: „O konstytucji
3-go maja“, „Duch od stepu“ i inne.

Dotychczas tylko u panny Krystyny widywano książ-
ki, które w niedziele i święta czytywała; ale te były gru-
be i wielkimi literami drukowane, a książeczki pana Ja-
na były maleńkie i miały druk bardzo drobny. Najbar-
dziej interesował wszystkich chłop z kosą, figurujący na
okładce każdej książeczki.

Gdy Tanaś był w biurze, Pałasia podchodziła do sto-
lika, na którym były starannie ułożone książeczki kie-
szonkowej biblioteczki, i przeglądała je z ciekawością.
Nie zadowalała się sama oglądaniem.

— A chodźcieno, panno Kunegundo!

Panna Kunegunda dźwignęła swoje olbrzymie cielsko
z zydelka i ociężałym krokiem zbliżała się do stolika.

— Patrzcieno, czego nasz „kwatyrant“ nakupił.
Przyglądały się obie.

— A ten chłop z kosą — co? Prawda, że ładny?

Bardzo się pannie Kunegundzie podobał. Nie mogła
ukryć swego podziwienia dla jego dziarskiej postaci.

— Fajny chłop! — zawołała.

— A uważacie, jaki to druk, drobny? Literki jak na
sznurek nanizane. Ja przecież uczona jestem, a czytać
tego nie potrafię.

Odwróciła kartkę i na dowód, że jest uczona, sylabizować poczęła powoli:

I mnie — — mat-ka Ukra-ina

... I mnie matka...

Przetarła oczy.

— Nie mogę... w oczach mi się ćmi.

— To jakiś mądry pan — zauważyła Kunegunda.

— Ja myślę, że un w gazetach pisze — oświadczyła z pewną stanowczością Pałasia.

Chłodne, ale uprzejme stanowisko, na jakim trzymał się Tanaś, i innych zdaleka od niego trzymało.

Ale nie był on wcale tak bardzo obojętny względem swego otoczenia, jak się wydawało. Interesowała go Krzysia. Wszystko w niej, począwszy od postawy zewnętrznej, układu, zachowania się, delikatności rysunku twarzy i rąk, świadczyło, że i ją los rzucił przypadkowo w to obce, pospolite otoczenie, wśród którego wyglądała jak świeży kwiat polny, rzucony na kupę ziemniaków i marchwi. Gdyby nie przypadkowe spotkanie się z Krzysią przy stoliku straganiarki, nie byłby z pewnością zamieszka z Jermołajkiem, Pałasią i Kunegundą. I dla Krzysi nie przedstawiał się on mniej tajemniczo, szczególnie od chwili, gdy ujrzała na jego stole całą niemal „Biblioteczkę ludową“.

Krzysia już o 8-ej opuszczała pokój, aby na pół do dziewiątej być w pracowni pani Kądzielskiej. Tanaś, jak tylko posłyszał szmer za parawanikiem, wstawał natychmiast; gdy przeto opuszczała mieszkanie, zastawała go siedzącego przy stoliku nad książką.

Zdaje się, że Krzysia zrozumiała tę delikatność Tanaś, bo przechodząc koło niego, nagradzała go zawsze dobrym i łagodnym uśmiechem i codziennem: — Dzień dobry panu!

W tym jej spokoju, równym i pełnym powagi, tkwiła jakaś siła moralna, jakaś odrębna atmosfera, która nikomu nie pozwalała przekroczyć jej granic.

Stykali się ze sobą dopiero około 4-ej po południu, aby równie spokojnie powiedzieć sobie: — Dobry wieczór.

I nic więcej. Nie mówili ze sobą, ale myśleli o sobie.

Krzysia po południu zasiadała przy swoim stoliku do roboty igłą — i wówczas otaczały ją rojem myśli, nic wspólnego nie mające z życiem [codziennem i szarem otoczeniem. Bystrzej od igły, poruszanej jej ręką, i dalej biegły myśli dziewczyny. — Jeszcze trochę... jeszcze trochę — myślała — a będę mogła własną pracownię otworzyć... pracować już tylko dla siebie... Dla siebie? I na tem koniec? Pojadę w Tarnowskie... zobaczę jeszcze wszystko... wszystko... i może tę krew już dawno skrzeplą...

Nagle myśl jej zwracała się w inną stronę.

— Ten Jan Grzegórczyk... nie — to nie Grzegórczyk... Mieszka za kartą pobytu — on musi być chyba z tamtej strony... Włosy jakieś ma dziwne — niby złote... a oczy podobne do błękitnego nieba... On przecie nieżonaty... naturalnie... pierścionka nie ma... taki młody...

Plątały się jej różne myśli po głowie. Długo w noc nieraz zasnąć nie mogła. Budziła się i często już do rana nie spała.

Jednej z takich bezsennych nocy, kiedy cisza zalegała izdebkę, usłyszała nagle głos Tanasia:

— Do widzenia, cioteczko!... idę znowu na Ruś.. Ach, jakże ja się cieszę, że jeszcze naszą Żywotówkę oglądać będę... Moskale skonfiskowali? Taka dola nasza... Może śmierć nasza i ofiary poniesione staną się szczeblem do wyzwolenia ojczyzny... Jeśli już nie wrócę, jak inni z Baraniego Pola, zmów pacierz za moją duszę... młodą i nieszczęśliwą.

— Sen... — pomyślała.

Żal jakiś tak mocno ogarnął jej duszę, że nie mogła zapanować nad sobą. Wetknęła głowę w poduszkę i łkać poczęła. Dlaczego? Cóż ją to mogło obchodzić, że on nieszczęśliwy?

Niepodobna było minąć się tak, jak się mijają dwa ptaki, spotkawszy się w przestworze nieba.

— Opuściła pani swoich towarzyszy niedoli...

— Musiałam... daleko było dla mnie.

— Pozwoli pani towarzyszyć sobie?

— Proszę... — odpowiedziała szeptem prawie.

Trzeba było jakoś rozmowę zawiązać.

— Smutno było bez pani... — zaczął trochę po studentku.

Na to usłyszał tylko krótkie: O!...

— Nie wierzy pani?

— Niebardzo... — odpowiedziała z uśmiechem i cytowała wiersz z Byrona: „Czegóż mam płakać, za kim i po kim, kiedy nikt po mnie nie płacze?“

Spostrzegłszy, że słowa te były może wyzwaniem, dodała:

— Ale i pan podobno opuścił Źródlaną?

— Ciotka życzyła sobie... Ale mogę zaręczyć pani, że do pewnego czasu byłem bardzo z tego mieszkania zadowolony... Więcej nawet powiem: byłem do pewnego stopnia szczęśliwym.

— Ogromnie ciekawa jestem, co panu mogło dać szczęście w takim otoczeniu?

— To zależy od tego, czego od szczęścia wymagamy.

— Ach, panie! My tak często nadużywamy tego wyrazu, że staje się on wprost banalnym... czemś podobnem do najmniejszej zdawkowej monety, brudnej, małej wartości, która już miliony rąk obiegła i nie zadowoliła nikogo.

— Prawda... ale czy nie uczuwamy pewnej przyjemności, powiem nawet, rozkoszy, gdy po długich dniach pochmurnych przenika nas cichy i łagodny promień słońca? Mimowoli wymyka się nam wykrzyknik: ach, jakie to szczęście!...

— Na jedną chwilę — dorzuciła Krzysia.

Krążyli oboje koło tematu bardzo bliskiego swoim myślom. Krzysia nie mogła nie odczuwać, że Tanaś jest dla niej czemś więcej, niż pierwszym lepszym młodzieńcem, jakich tu i ówdzie spotykała, aby wnet o tem zapomnieć. Rozumiała, że jego nadzwyczajna powściągliwość, jego krótkie „dzień dobry“, a przedewszystkiem jego delikatna uprzejmość, pokrywały coś więcej, niż dobre wychowanie. Zdawała sobie sprawę z tego, że także nie jest dla niego obojętną; ale duma niewieścia kazała jej uczucia te raczej ukrywać głęboko, niż okazywać; bo i poco, myślała, bałamucić siebie? Poco szarpać się codziennie między być albo nie być, gdy z jego strony może to tylko — grzeczność?

Ażeby przeciąć rozmowę o szczęściu, Krzysia, niby od niechcenia, odezwała się:

— Rzadko przychodzę na Wysoki Zamek, ale bardzo lubię to miejsce...

— Przyjemnych wspomnień — dorzucił trochę] złośliwie Tanaś.

— O, nie: przeciwnie, bardzo przykrych.

Wydało się jej, że słowa te mogły być źle zrozumiane; dodała więc:

— Małą dziewczynką co niedziela zabierał mnie wuj z pensji pani Boberskiej na przechadzkę i szliśmy wtedy na Wysoki Zamek... Otóż, wie pan, à propos szczęścia, były to moje najszcześniejsze chwile — po bardzo smutnych.

Zamyśliła się.

— Od tego czasu już moich stron rodzinnych nie oglądałam... Nie mam odwagi tam pojechać.

Tanasiowi mimowoli wymknęło się niedyskretne pytanie:

— Dlaczego?

— O, to długie i smutne dzieje. Kiedy wuj mnie zabrał, widziałam wtedy po raz ostatni moich rodziców... z rozbitymi czaszkami, poranionych, leżących obok siebie na podłodze w oczekiwaniu oględzin lekarskich... Okropne

były czasy! Pamiętam doskonale ten tłum dziki i pijany, wrzeszczący na dziedzińcu: mordować panów! mordować panów!

Tanaś szepnął:

— Rok 1846.

— Krwawy rok...

— A na Rusi było lepiej? I jeszcze będzie... Nieraz bawiliśmy się z oswojonym lisem lub wilkiem, ale nagle wilk znikał, uciekał do lasu i pierwsze lepsze jagnię napotkane rozszarpał, — nie dlatego, że był głodny, ale że naturę miał dziką. Takim jest i lud nasz... Wolność dla niego — to łupiestwo, morderstwo, zdzierstwo, swawola wszelka — bezkarna. I ja należałem do tych, którzy łudzili się pięknymi teorjami i tą kołysanką polityczną: wszystko przez lud, wszystko dla ludu... A cóż lud oddał Ojczyźnie? Jak spłacił swój dług, zaciągnięty u matki-ziemi, u żołnierza, który go bronił, u sędziego, który mu dał sprawiedliwość, u nauczyciela, który promień światła wpuścił do jego ciemnej i brudnej izby, u inżyniera, który budował maszyny, aby oszczędzić jego pracę? Krwawo im się wypłacił... niszczył wszelkie dobro, którego znaczenia nie rozumiał i niedocenia. Nie znam ludu polskiego, ale dusza pierwotnego człowieka jest wszędzie pono jednakowa...

Tanaś mówił z oburzeniem, z żalem.

— Po tem, czego byłem świadkiem, przyznam się panu, boję się wsi... boję się tam jechać, jak dziecko boi się iść do lasu — jego ciemność i tajemniczość przeraża...

Doszli do wylotu do stóp prawie Piaskowej góry i schodzić poczęli w dół.

— Czy mogę panią odprowadzić do domu?

— Dziękuję... już bardzo niedaleko...

— Ale wolno?...

Krzysia nie oponowała. Tanaś szedł obok.

Nareszcie przy jakimś domku zatrzymała się i rzekła żartobliwie:

— Koniec podróży.

— Dziękuję pani... — rzekł Tanaś, patrząc w jej oczy.

— Za co? Spędziliśmy chwilkę na małej rozmowie —
dzięki panu.

— Właściwie — pani.

Urwał nagle.

— Ale... mam do pani prośbę...

— Proszę, jaką?

— Ciotka moja pragnie złożyć pani uszanowanie...

Krzysia zarumienila się.

— Przeraża mnie pan...

— Chcę uspokoić.

— Ujął jej rękę, pocałował i szybko odszedł.

Weszła z dziwnie radosnem uczuciem do domu.

W umyśle jej krążył ciągle jeden frazes, jak motyl różnobarwny, otaczając ją dokoła. Druga myśl wnet goniła za nią, odpędzając tego motyla.

— Czemże jestem dla niego? Szwaczką tylko, zarabiającą na chleb powszedni.

Z kilku słów powiedzianych, z kilku myśli niedopowiedzianych przez Krzysię Tanaś nabrał przekonania, że nie jest przecie dla niej obojętny i że byłoby może dobrze połączyć ich dwa życia, sprowadzić je na wspólną drogę; bo i czemu są oboje? Rozbitkami, rzuconymi na wielkie i nieznane morze.

Sumienie podpowiadało mu inne myśli:

— A służba twoja publiczna? Przysięgałeś przecie na wierność ojczyźnie — aż do grobu, a teraz, kiedy łada dzień mogą cię powołać do służby żołnierskiej, ty marzysz o innem szczęściu, o swoim własnem tylko, o sobie tylko?

Zawahał się.

— Ależ ona pochodzi także z rodziny tych rozbitków, którzy ojczyźnie krew i życie dali. Czyżby zawahała się powiedzieć mi: „idź!” w chwili stanowczej? Nigdy. Zmiażdżone cepem chłopskim głowy rodziców, ta krew, którą

widziała na podłodze własnego domu rodzicielskiego, wywołana podszeptem złośliwego wroga, toż to znamię na całe życie, które nie zaciera się nigdy! Krew za krew, życie za życie — dopóki ojczyzna wolną nie będzie. Gdy chwila stosowna nadejdzie, z pewnością pożegna mnie bez żalu, bo wie, tak jak i ja, co to obowiązek.

Po całonocnej walce ze sobą, uspokojony i zrównoważony, odezwał się do ciotki, niby półżartem, niby serjo:

— A coby ciocia powiedziała na to, gdybym się ożenił?

Spojrzała na niego badawczo.

Myśl ta nie była jej także obcą w cichych godzinach samotnego zastanawiania się nad przyszłością. Ale szlachecka dusza kołatała się w jej ciele. Nie marzyła o świetnych koligacjach, ale o związku w równości. Nie należała do tych, którzy zadowalają się związkiem, niby na całe życie, dwóch ciał tylko; ale pragnęłaby związku dwóch równych sił umysłowych, dwóch światów wspólnej kultury. Orzeł nie składa swoich jaj w gniazdo bocianie, ani skowronek w gniazdo wronie.

Na ustach ciotki zarysował się lekki uśmiech.

— Albo niczym nie powiedziała, albo bardzo wiele — odrzekła.

— Wie ciocia, o kim myślę?

— Nie wiem. Nie mówięś mi nigdy.

Tanaś utkwiał wzrok w twarzy ciotki.

— O Krzysi... o tej dziewczynie, która mieszkała w ubogiej kolokacji na Źródlanej.

Twarz ciotki Heleny spoważniała nagle.

— Zaciekawiasz mnie... bardzo — odrzekła.

— Prawda? Ciotka pewnie myśli sobie, że to, ot, zwykła szwaczka, w której każdy młodzieniec kocha się... dla wprawy.

— Nie mam o niej najmniejszego pojęcia. Raz tylko widziałam przez krótką chwilę, kiedyś mi ją przedstawił.

— Opowiem cioci jej historję... sam się niedawno dowiedziałem.

I opowiedział historję — krótką i krwawą.

— Ciocię razi ten wyraz „szwaczka“, prawda?

— Nie przeczę...

— Zapewnić ciocię mogę, że jest to dziewczyna rozumna, wykształcona i dobra, bardzo dobra — dodał z naciskiem. Gdyby ciocia widziała, z jaką delikatnością ratowała mnie ona od głodu, z pewnością pokochałaby ją tak mocno, jak ja. Jej się zdawało, że ja nie widzę tego, co robi... Ona wyrzekła się własnych obiadów dlatego, ażeby dla mnie gotować. Bez niej z głodubym zginął albo zmarniał... Nigdy nie dała mi uczuć, że rozumiem moje położenie, aby miłości własnej nie drażnić, a gdy ciocia przyjechała, gdy się domyśliła, kim jestem, usunęła się z mojej drogi, ażeby sobie i mnie przykrości nie sprawiać. Powiem prawdę cioci: bez niej już nie rozumiałbym życia, byłoby ono już niepełne, byłbym podobny do ptaka z podciętemi skrzydłami.

Ciotka wysłuchiwała pilnie słów Tanasia.

— Wiem i czuję, że mówisz szczerze... Zrobisz, jak zechcesz, ja nie znam jej zupełnie.

— Ale ciocia zechce ją poznać?

— Jak? To trudno. Ona jest zupełnie samotna... żadnej rodziny we Lwowie nie ma. Przyjść do nas nie może — nie wypada.

— A gdyby ciocia zechciała ją odwiedzić i poznać?

— Stawiasz mnie w trudnem położeniu... jestem kobietą starszą.

— To właśnie daje cioci przywilej powagi.

Ciotka Helena uśmiechnięta rzekła:

— Złapałeś mnie na piękne słówko.

— Ale ciocia zgadza się?

Ciotka wpatrzyła się w twarz Tanasia rozpromienioną.

— Ano... zgadzam się. Potrafiłam wyratować cię od Sybiru, ale zdaje mi się, że tym razem panna Krzysia mnie zwycięży.

Na znak wzajemnego porozumienia i przymierza, Tanaś pocałował ciotkę w rękę, a za to otrzymał macierzyński pocałunek w głowę.

* * *

Młode małżeństwo zamieszkało wspólnie z ciotką Heleną. Jeszcze tej jesieni Tanaś nabył niewielki folwark Turycze, o kilka mil ode Lwowa, a z wczesną wiosną mieli się wszyscy sprowadzić na wieś. Tymczasem urządzano dom, dojeżdżając często do Turycza.

Echa powstania gasły coraz bardziej. Zima była straszna dla bezdomnych tułaczów po lasach i polach. Czekanowano wiosny, ażeby ze zdwojonemi siłami do nowej walki wystąpić. Ale w Galicji nikt już nie wierzył w możliwość dalszej walki. Oddziały, przeznaczone na Ruś, z próżniactwa i niesubordynacji rozlażyły się wszędzie, marnując beczynnienie życie.

Tanaś z Buczyńskim tylko utrzymywał stosunek stały. Pokochał tego prostego, cichego człowieka, który swoją wiedzę i uczciwość za tanie pieniądze marnotrawił nad głupimi rachunkami w Dyrekcji Skarbu. Nie było dla niego lepszego miejsca na własnej polskiej ziemi. Nie mogli mu przebaczyć Austriacy, że jako student w roku 1848 wypędzał ze Lwowa Niemców na cztery wiatry. Gdy wrócili jako zwycięzcy, mieli już hasło gotowe: ochłodzić i ogłodzić tych gorących patriotów. Ochładzano więc na Spielbergu, a ogładzano na własnej ziemi. Musieli się wysługiwać za liche pieniądze, aby żyć. Do takich biedaków należał i Buczyński.

Miedzy starym a młodym rewolucjonistą zawiązał się zyciowy i przyjacielski stosunek.

Kiedys wieczorem przyniósł Buczyński książeczkę, za tytułowaną „Boże słowa ludu polskiego“, wydaną w Paryżu w roku 1847. Na blado-żółcistej okładce każący z podniesioną ręką Chrystus miał być symbolem „bożych słów“.

— Nie masz pan tej książeczki, prawda? — zapytał, gdy Tanaś już ją oglądał. Niepodobna pod formą nauki i współczucia podsunąć ludowi więcej bałamutnych pojęć. Jest to szkodliwa dla całego narodu idealizacja ludu, robienie z chłopu suwerennika, a z szlachcica — mordercy chłopu. Jakże to lubią takie książeczki Niemcy i Moskałe!

— Przeczytam chętnie.

— Zanim ją pan przeczyta, wskażę kilka ustępów. Pan dotychczas na lud patrzyłeś tylko, teraz żyć z nim i pracować będziesz. Wprawdzie będzie to lud ruski, ale dusza ludu wszędzie pono jednaka i bardzo powoli przekształca się na duszę kulturalnego człowieka.

— Cóż to właściwie jest?

— Krótko mówiąc, apoteoza chłopu. Wszystko, co stworzył rozum ludzki — to nic; wszystko, co zrobił lub zrobi lud — to dopiero będzie mądre.

Tanaś pokiwał głową i zacytował wiersz: „O, i ja kiedyś byłem farysem!...” Chorowałem na chłopomanję, ale wyleczyłem się pod pięścią tego samego chłopu, któremu powiedziałem: wolny jesteś, ziemia twoja...

— Mieliśmy i my tutaj próbkę wolności chłopskiej. Kto o tę wolność chłopu walczył? Szlachcic polski. Kto krzyczał na cały świat, że chłopu polskiemu trzeba nadać na własność tę ziemię, którą uprawia, która go żywi? Szlachcic polski. Kto nie chciał tych próśb usłuchać? Rządy niemieckie i rosyjskie. A któż winien temu wszystkiemu? Szlachcic polski. Taka jest logika marzycieli demagogicznych. Posłuchaj, co powiada ten reformator świata:

„O, ludu polski! Twoje prawo — to ty, twoje życie, twoja wolność, twoja równość, twoja Ojczyzna, twoja ziemia na własność“.

„Bóg dla wszystkich ludzi stworzył ziemię, a więc każdy człowiek ma prawo bezwarunkowego posiadania ziemi i bewarunkowego używania jej darów na pożytek swój“.

Buczyński, przeczytawszy to, zamyślił się.

— Cóż robią tacy nauczyciele, tacy prorocy? Ganić wszechwładztwo szlachty — bardzo słusznie, bo w narodzie nie najzamożniejsi, ale najrozumniejsi powinni przewodzić. Nikt nie oddaje steru okrętu człowiekowi, który morza nie zna, ani burz nie przebywał, ani raf podwodnych nie omijał. A jednak tacy nauczyciele prawią o wszechwładztwie ludu, czyli, zamiast jednej warstwy wysuwają na czoło drugą, gorszą, bo ciemną i niedoświadczoną. Okręt ojczyzny oddają w ręce ślepego sternika. Jakież mogą być następstwa tego? Oto teraz kieruje chłopem rząd obcy, a gdy ten rząd upadnie — kierować nim będą obce ludowi dusze, szepcząc mu: „Twoja wolność, twoja równość, twoja Ojczyzna, twoja ziemia na własność“. I pnąc się po karkach chłopskich, zdobywać będą władzę najwyższą. Ci, którzy mieli budować Ojczyznę, rozdrapywać ją zaczną; ten, któremu szep-tano: ty „jesteś budowniczym“, stanie się nieświadomym niszczycielem Ojczyzny; ten, którego rzekomą pracowitość wielbiono, stanie się chciwym cudzej własności próżniakiem i wyzyskiwaczem... Tak, tak, mój młody przyjacielu: kto kąkol sieje, ten pszenicy nie zbiera.

— Jak dotychczas — wtrącił Tanaś — pomyliliśmy się co do ludu: polski okazał się dla sprawy ojczyzny obojętnym, ruski okazał się dzikim i barbarzyńskim.

— Tacy opowiadacze „bożego słowa“ są zbrodniarzami wobec narodu i nie boże, ale piekielne słowa sieją, to też nie pokój i sprawiedliwość sprowadzą na ziemię, ale burzę, która długo szaleć będzie.

W kilka dni potem znowu zjawił się Buczyński i oświadczył, że chce Tanasia zetknąć z jednym z urzędników rządu narodowego w sprawie publicznej.

Tanaś zgodził się.

Buczyński poprowadził go na Chorążczyznę. Niepo-każny od ulicy domek posiadał dość duże oficyny, oto-

czone lipami i jesionami, tak że ledwie okna z poza drzew błyszcząły.

W niewielkim pokoiku przy ścianie stało proste drewniane łóżko, przy oknie stolik takiej samej prostej roboty i kilka krzesełek równie niewybrednej fantazji. Był wieczór. Przy stoliku już z lampą siedział mężczyzna może trzydziestoparoletni, o jasnych włosach krótko strzyżonych, takichże grubych wąsach, o twarzy okrągłej, jasnej i dobrej.

Gdy Buczyński, zapukawszy w jakiś dziwny sposób, wszedł do pokoju, nieznajomy podniósł na nich oczy i trochę ostre spojrzenie zatrzymał na twarzy Tanasia. Przywitał się z Buczyńskim.

— Przyprowadzam panu pułkownikowi tego młodego człowieka, o którym już wspominałem.

— Bardzo dobrze... siadajcie...

Sam usiadł także.

— Odrazu przystąpię do rzeczy.

Zwrócił się do Tanasia.

— Wiem wszystko o tobie... pan Buczyński mi opowiadał. Komisarz pełnomocny na Galicję potrzebuje wysłać pewnego kurjera do Rządu Narodowego w Warszawie; czy możesz się pan podjąć tej służby dla ojczyzny?

— Panie pułkowniku... przysięgłem służyć... służyłem, jak mogłem, i teraz do służby gotów jestem.

— Dziękuję ci, obywatelu. Ale uprzedzić muszę, że jest to misja niebezpieczna. Jechać musisz koleją, a granica obsadzona i strzeżona pilnie.

— Panie pułkowniku... wiem, jak kule świszczą, wiem także, jak wyglądają więzienia moskiewskie.

Pułkownik rzekł:

— Dobrze... podoba mi się twoja determinacja. Widzę, że masz charakter szlachetny.

Po chwili namysłu dodał:

— Oprócz depesz, które będą krótkie, ze względu na interes ojczyzny, musisz zdać relację ustną, czyli powtó-

rzyć to, co ci powiem. Rząd Narodowy niech nie liczy na to, ażeby Galicja mogła podtrzymywać walkę orężną. Dezorganizacja zupełna. Komitety prowincjonalne beczynne i nieposłuszne; naczelny wódz Różycki wyjechał do Paryża, a kiedy komisarz wojskowy, zastępca jego, przez kurjera wysłanego do Paryża zapytywał o dalsze rozkazy i zarządzenia, odpowiedział: „Kłaniaj się Strusiowi!” Wskutek niemożliwości prowadzenia dalszej walki, Struś polecił rozwiązać organizacje kadrowe, a żołnierzom wrócić do domów.

Tanaś nieśmiało zapytał:

— A z Rusią co będzie?

— Chciałem o tem mówić. Właśnie zastępca naczelnego wodza otrzymał memorjały z Rusi, od komisarza. Piszą nam wyraźnie, iż dalszej walki nie życzą sobie, że uważają ją za bezowocną i szkodliwą, że to, co pisali poprzednio o posiadaniu żołnierza w gotowości do walki i zapasów amunicji, było nieprawdą, zmyśleniem rozmyślnem dla podtrzymania ducha w tych, którzy walczą... Boją się jak ognia wkroczenia na Wołyń... Jeśli są jakie siły wojskowe, radzą wyprowadzić je w Lubelskie.

Tanaś słuchał z zapartym oddechem. Mimowoli ręką oczy przysłonił i wymknął mu się wyraz, pełen rozpacz:

— O, Boże!

Zapanowało długie milczenie, pełne ponurego smutku. Pułkownik przerwał je pytaniem:

— Pojedziesz?

— Pojadę.

— Powtórzysz wszystko?

— Powtórzę.

Pułkownik sięgnął ręką po maleńki pakiecik, leżący na stole.

— Ze smutną pojedziesz wiadomością — namyśl się.

— Pułkowniku! W więzieniu miałem czas myśleć.

— Depesza ta zawiera nie tylko dymisję pułkownika Strusia z urzędu zastępcy naczelnego wodza i komisarza

wojennego Rządu Narodowego, ale i wiadomość, że wyjeżdża zagranicę na zawsze. Wiesz, co to znaczy?

— Wiem. Koniec powstania.

— Będiesz posłem, którego imię zapisze historyk.

Na to krótko odpowiedział Tanaś:

— Pułkowniku! Obowiązek...

Pułkownik, ująwszy schyloną głowę w obie dłonie, zadumał się, a gdy odjął dłonie, oczy jego łzami błyszczały.

— No, idź młodzieńcze! — rzekł, wstając i oddając Tanasiowi pakiecik. Wracaj szczęśliwie... jesteś młody, rozumny, śmiały, pracuj, a może ci Bóg pozwoli oglądać wolną ojczyznę, o którą my walczyliśmy bez powodzenia.

Gdy obaj opuścili skromne mieszkanie pułkownika, Tanaś zapytał:

— Powiedźże mi pan teraz, kto to jest ten pułkownik? Czy to nie Struś?

— Teraz mogę ci powiedzieć... tak jest, to był Struś.

Po powrocie do domu Tanaś opowiedział całą rozmowę ze Strusiem Krzysi i Helenie i zakomunikował rozkaz udania się z depeszami do Warszawy.

Obie kobiety przyjęły tę wiadomość z rezygnacją i spokojem, jako konieczność służby publicznej.

Chwila wyjazdu była bardzo ciężka. Struś nie wiedział o tem, bo byłby może innego kurjera wysłał. Krzysia była bliską rozwiązania. Wyjazd męża przyjęła z bohaterską odwagą.

Kiedy nazajutrz przyszło jeszcze do rozmowy na ten temat, Tanaś zapytał:

— Jakże myślisz: czy mogłem odmówić?

— Nie mogłeś — odpowiedziała krótko.

Ciotka Helena była również tego zdania.

W nocy miał Tanaś odjechać.

Przy wieczornej herbacie, gdy wszyscy troje siedzieli przy stole, Tanaś odezwał się:

— Wypadnie mi tam może dłużej zatrzymać się... Gdybym nie zdążył, to wiesz, Krzysiu? w naszej rodzinie pierworodny bywał zawsze syn... jeśli syn będzie, to Marek.

Usiłował uśmiechnąć się. Ciotka, która widziała ojca Tanasia na stole szpitala więziennego w Kijowie, zdaje się cała utonęła w tem wspomnieniu.

Tanaś ciągnął dalej:

— Zawsze Marek i Atanazy naprzemiany — prawda, ciciu?

Helena skinęła milcząco głową.

Tanaś odjechał na dworzec sam, ażeby uwagi nie zwracać na siebie.

Wyjechał — i żadnej wiadomości o nim nie było.

Urodził się rzeczywiście syn — Marek.

Niepokój kobiet rósł coraz bardziej. Rodziły się różne projekty. Chciała jechać do Warszawy Helena, ażeby na miejscu wiadomości zasięgnąć — i to zdawało się najwłaściwsze. Zdecydowano, że pojedzie. Poszła do konsulatku po wizę. W oknie administracji „Gazety Narodowej” kupiła ostatni numer. Zostawiwszy paszport, usiadła z powrotem na ławeczce pod kasztanami, otaczającymi mętne koryto Pełtwi, i poczęła czytać dział: „Z Moskwy”. Nagle pociemniało jej w oczach i numer dziennika upadł do jej nóg. Przeczytała następującą wiadomość: „Żandarmi moskiewscy na stacji Granica zatrzymali polskiego kurjera politycznego, wiozącego ważne depesze do Rządu Narodowego. Po bardzo ścisłej rewizji znaleziono depesze. Gdy je oficer żandarmerji odczytywał, kurjer rzucił się na niego i pomimo asystencji żandarmów, zdołał część depesz z rąk mu wyrwać i zniszczyć, tak że tylko mała część w ręku moskiewskiem została. Aresztowany kurjer przewieziony został do cytadeli w Warszawie, tam indagowany i, jak się dowiadujemy, na stokach cytadeli rozstrzelany. Prawdziwego nazwiska kurjera nie zdołano odkryć; wiadomo tylko, że wioził depesze pułkownika Strusia”.

Ponieważ z depeszami Strusia pojechał tylko jeden kurjer, nie ulega przeto wątpliwości, że to on właśnie padł ofiarą swego obowiązku.

Helena ukrywała jeszcze czas jakiś tę smutną wiadomość przed Krzysią, o ile można, panując nad sobą. Ale Krzysia miała jakieś złe przeczucia: ciągle rozmowę kierowała na niebezpieczeństwo dla Tanasia, martwiła się tem, że nie wraca, i koniecznie sama chciała jechać do Warszawy. Gdy raz wieczorem oświadczyła stanowczo, że pojedzie, Helenie puściły się łzy z oczu.

Krzysia strwożona pochwyciła ją za rękę.

— Ciociul coś złego się stało... ciocia ukrywa przede mną jakąś złą wiadomość...

Helena, całą mocą panując nad sobą, rzekła:

— Moje dziecko... Tanaś nie wróci...

Twarcz Krzysi stała się nagle białą jak kreda. Długo nie można było przyprowadzić Krzysi do przytomności. Odzyskawszy ją nareszcie, usiadła na fotelu i nie odpowiadała na żadne pytania; zdawało się, że mowę straciła. Widać jednak było, że myśl jej pracuje.

Po długiem milczeniu westchnęła głęboko.

— I ten zginął... Boże! Boże! kiedyż będzie koniec?...

Wiśła na Śląsku Cieszyńskim.

Skończono 15 stycznia 1920 r.,

w rocznicę zawarcia pokoju z Moskwą w Deulinie.

